

SPIS TREŚCI

1	KRONIKA UNIWERSYTECKA	03
	Apel Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola	16
	Stop mowie nienawiści	16
	Laury rozdane	17
	Zmarł Kazimierz Kutz, doktor honorowy UO	18
	Kolejne funkcje w PAN prof. Czesławy Rosik-Dulewskiej	18
	PUBLICYSTYKA, SZTUKA	19
2	Generał, który nie chciał być Andersem / <i>Stanisław S. Nicieja</i>	21
	Mój opolski Marzec '68 / <i>Stanisław Ludwik Krowicki</i>	27
	65 LAT TRADYCJI, 25 LAT UNIWERSYTETU: Wrocławskie początki opolskiej uczelni	32
	W MOJEJ PRACOWNI: Tam dom mój, gdzie serce moje / z prof. Teresą Smolińską rozmawia Beata Łabutin	34
	LISTY, POLEMIKI	37
	65 LAT TRADYCJI, 25 LAT UNIWERSYTETU: Młoda uczelnia na starych zdjęciach	39
	Samolot na rondzie / <i>Andrzej Hamada</i>	43
	Przewodnik po starości / <i>z prof. Adamem Zychem rozmawia Harry Duda</i>	45
	Epitaforium dla Kazimierza Kutza / <i>Stanisław S. Nicieja</i>	49
	Metodyczna i romantyczna / <i>Twarze Opola: dr Danuta Berlińska</i>	55
	W MOJEJ PRACOWNI: Cud-miód / z dr Izabelą Jasicką-Misiak rozmawia Barbara Stankiewicz	57
	65 LAT TRADYCJI, 25 LAT UNIWERSYTETU: Mamy w Opolu uniwersytet!	60
	Źródła Priessnitza / <i>Krzysztof Spatek</i>	62
	W MOJEJ PRACOWNI: Przeszkadzał tylko pies / z dr. n. med. Dariuszem Łątką rozmawia Beata Łabutin	65
	Za szybkie pisanie (54) / <i>Adam Wierciński</i>	68
	KRZYWY ZGRYZ: Bonaparte podbił Japonię? / Agnieszka Kania	73
	FIZYKA DLA LAIKA: Ptaszek na drucie, dziecko na zjeżdżalni / Wojciech Dindorf	77
	Dlaczego nie? / <i>Bartłomiej Kozera</i>	79
	INDEKSOWA GALERIA SZTUKI: „781” – wystawa studentów Pracowni Multimediów Wydziału Sztuki UO	80
	Warto wierzyć w siebie / <i>z Nelą Lejczak rozmawia Konrad Müller</i>	82
	Zaplątana w sieci / <i>Marcelina Chrobot</i>	84
	Wczoraj rządził tu kanonik, dziś rektor / <i>Włodzimierz Kaczorowski</i>	86
	3	RELACJE, RECENZJE, NOTY
12 tomów niekończącej się historii / <i>Barbara Stankiewicz</i>		94
Biblioteka po remoncie		97
Między Wrocławiem i Opolem / <i>Marceli Kosman</i>		98
Zwyciężyli w województwie, walczą o finał		100
Od regałów do sieci / <i>Barbara Kmiecik, Ewelina Pisarek</i>		102
Bernd Schuchter na Uniwersytecie Opolskim / <i>Małgorzata Jokiel, Monika Wójcik-Bednarz</i>		105
Magiczne, wileńskie palmy / <i>Jerzy Duda</i>		107
Nowości wydawnicze		110
Noty o autorach		114

Zdjęcie na okładce:

Studenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, lata 60. XX wieku (ze zbiorów Romana Krajewskiego)

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia

Wiadomości

Sylwetki

23.II
20184.02
2019

23.II

Uniwersytet Opolski odwiedzili przedstawiciele partnerskich uczelni: Fujian Normal University z Chin, Universitas Muhammadiyah Malang z Indonezji i Pannasastra University z Kambodży. Spotkanie zorganizował Dział Badań Naukowych i Współpracy z Zagranicą, a poprowadziła je zastępca kierownika ds. współpracy z zagranicą Halina Palmer-Piestrak. W spotkaniu udział wzięli pracownicy działów międzynarodowych i jednostek naukowych uczelni. Uczelnia z Kambodży zadeklarowała przysyłanie studentów na studia uzupełniające magisterskie oraz na krótsze pobyty, w związku z czym omawiano zasady uznawalności kształcenia; Chińczycy poprosili o utworzenie specjalnej ścieżki Szkoły Letniej Języka Angielskiego na potrzeby filologów. Podczas spotkania prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wręczył gościom certyfikaty uczestnictwa, wziął także udział w spotkaniach roboczych dotyczących zasad przyjmowania zagranicznych studentów na Uniwersytet Opolski. Ważnym punktem rozmów były warunki życia w Opolu i problem adaptacji kulturowej, o czym mówił specjalny, stypendysta fundacji Fulbrighta na Uniwersytecie Opolskim Jack Reid, zapewniając o ciepłym przyjęciu w Opolu i otwartości studentów, z którymi pracuje. Goście z Azji Południowo-Wschodniej gościli u nas w ramach programu Erasmus+ KA107 dla wydziałów: Ekonomicznego, Filologicznego oraz Nauk Społecznych, a także Sekcji Międzynarodowych Programów Studiów.



23 XI 2018. Uniwersytet Opolski odwiedzili przedstawiciele partnerskich uczelni: Fujian Normal University z Chin, Universitas Muhammadiyah Malang z Indonezji i Pannasastra University z Kambodży (fot. Sylwester Koral)

28–30
.II

W ramach programu Erasmus+ prof. dr hab. Ryszard Wolny, na zaproszenie dr Rany Yildirim, przebywał na uniwersytecie w Adanie (Turcja), gdzie przeprowadził wykłady dla studentów studiów I i II stopnia oraz odbył serię spotkań dotyczących współpracy pomiędzy naszymi uczelniami.

29.II

Gośćmi prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO, byli członkowie zespołu Polskiej Komisji Akredytacyjnej, wizytujący Wydział Matematyki, Fizyki i Informatyki.

30.II

Grupa uczniów z Zespołu Szkół im. Emila Godlewskiego z Nisy wraz ze swoimi nauczycielami odwiedziła Uniwersytet Opolski. Do tej nyskiej szkoły średniej uczęszczają uczniowie z Ukrainy i Kazachstanu, którzy wzięli udział w warsztatach międzykulturowych, zorganizowanych przez grupę naszych studentów zagranicznych. Uczestnicy kursu Induction z programu Master of Liberal Arts przygotowali zajęcia zatytułowane *W twoich oczach*. Kurs i warsztaty prowadził dr Michał Wanke z Instytutu Socjologii UO.

3.I2

Koncert zespołu Retro – grupy działającej od 2015 r., której założycielem i dyrektorem jest Jurij Mykytiuk – odbył się w Muzeum UO. W repertuarze muzyków znajdują się utwory ukraińskiej muzyki klasycznej, ludowej i obrzędowej, a także muzyka polska. Podczas godzinnego koncertu usłyszeliśmy kolędy w języku polskim i ukraińskim. W skład zespołu wchodzi: Jurij Mykytiuk, Emilia Kos, Sołomija Żekalo, Czesława Banach, Leszek Karwacki, Grażyna Sułkowska, Marzena Wójcik-Kaszczyszyn, Beata Piotrowska-Piersiak.



3 XII 2018. Koncert zespołu Retro w Muzeum UO – na zdjęciu z lewej kierownik placówki Katarzyna Mazur-Kulesza (fot. Andrzej Szczepaniak)

5.I2

Prawo autorskie i prawa pokrewne – jak uniknąć naruszeń w edukacji i udostępnianiu zbiorów przez biblioteki – to temat IV Forum Bibliotekarzy Województwa Opolskiego, obradującego w Studenckim Centrum Kultury, którego organizatorem była Biblioteka Główna UO. Forum Bibliotekarzy Województwa Opolskiego to cykliczne spotkania opolskiego środowiska bibliotekarskiego, organizowane co dwa lata przez poszczególne ksiąźnice naszego regionu. W programie znalazł się m.in. wykład prof. Ewy Ferenc-Szydełko pt. *Ustawa Prawo autorskie a funkcjonowanie bibliotek* oraz wystąpienie Kamila Śliwowskiego pt. *Wolne licencje Creative Commons (i nie tylko) od strony praktycznej. Jak korzystać z otwartych treści i jak je publikować?* Więcej na str. 102.

6.I2

Małych pacjentów oddziału pediatrycznego oraz chirurgii dziecięcej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu odwiedził św. Mikołaj, który przyniósł drobne upominki przygotowane m.in. przez Biuro Promocji UO, opolską policję i pracowników szpitala. Przy choince, z towarzyszeniem zaimprovizowanego zespołu muzycznego, w skład którego weszli członkowie personelu szpitala, śpiewano wspólnie świąteczne piosenki i kolędy.

6.I2



6 XII 2018. Mikołajkowe spotkanie w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym, w którym uczestniczyli m.in. (na zdjęciu od lewej): Joanna Mentel i Agnieszka Jukowska z Biura Promocji i Informacji UO, Adriana Mazurkiewicz-Fornalik, pełnomocnik dyrektora USK ds. praw pacjenta, dyrektor generalny USK Dariusz Madera, dyrektor opolskiego oddziału NFZ Robert Bryk, kierownik Oddziału Pediatrii dr Agata Chobot oraz dr Janusz Zaryczański (fot. Sylwester Koral)

7.I2

Autorki książek o twórczości Tadeusza Micińskiego – dr hab. Sabina Brzozowska-Dybizbańska z Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO i dr hab. Elżbieta Flis-Czerniak z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej prowadziły, w Pracowni Historii Dramatu 1864–1939 na Uniwersytecie Warszawskim, seminarium *Pro memoriam. Dramaturgia Tadeusza Micińskiego – perspektywy badawcze i inscenizacyjne* (w setną rocznicę śmierci artysty).

10.I2



10 XII 2018. Gośćmi Uniwersytetu Opolskiego byli uczniowie II LO w Kędzierzynie-Koźlu (fot. Filip Ożarowski)

10.I2

30 uczniów z II Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika w Kędzierzynie-Koźlu (klasa o profilu biologiczno-chemicznym) gościło na Uniwersytecie Opolskim. Licealiści zwiedzili Wzgórze Uniwersyteckie, wysłuchali także wykładu dr Marleny Marciniak z Wydziału Filologicznego pt. *What do you know about William Shakespeare, The Bard of Avon?*, a w Muzeum UO obejrżeli prezentację dotyczącą naszej uczelni, jej historii, oferty edukacyjnej, w tym wymiany zagranicznej i kontaktów międzynarodowych.

- W sali konferencyjnej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu odbyło się spotkanie z autorami książki pt. *Polski rok 1918 w podręcznikach do nauczania historii i literaturze dokumentu osobistego*: prof. dr. hab. Adamem Suchońskim, prof. dr. hab. Barbarą Kubis, dr Anną Gołębiowską i dr. hab. Markiem Białokurem, prof. UO, oraz recenzentem – prof. dr. hab. Lechem Krzyżanowskim z Uniwersytetu Śląskiego.

- Rektor prof. dr. hab. Marek Masnyk wziął udział w spotkaniu wigilijnym pracowników firmy Nutricia Zakłady Produkcyjne, które dobyło się w restauracji „Wenecja”.

12.I2

W nowej Bibliotece Nauk Ścisłych, Przyrodniczych i Medycznych obradowało Kolegium Rektor-skie.

13.I2

Centrum Partnerstwa Wschodniego UO gościło grupę licealistów z Ukrainy, którzy uczą się w Zespole Szkół im. Józefa Warszawicza w Prószkowie – liceum to zostało objęte patronatem naszej uczelni na początku grudnia 2018 roku. Uczniowie uczestniczyli w kursie adaptacyjnym realizowanym w ramach projektu *Razem dla integracji*, odbyli też swoją pierwszą uniwersytecką lekcję na temat wartości obowiązujących w Polsce. W studenckiej telewizji SETA wzięli udział w warsztatach telewizyjnych, a w studenckich Radio Sygnałach – w audycji radiowej. Młodzież z Ukrainy zapoznała się też z działalnością Centrum Partnerstwa Wschodniego UO. Projekt *Razem dla integracji* jest realizowany przez wojewodę opolskiego i Uniwersytet Opolski, a współfinansuje go Program Krajowego Azylu, Migracji i Integracji. Celem projektu jest pogłębienie i ułatwienie procesu integracji cudzoziemców w Polsce, a kierowany jest do obcokrajowców z państw trzecich, którzy legalnie pracują, studiują lub przebywają na innych zasadach potwierdzających długoterminowy pobyt w Polsce.



13 XII 2018. Grupa ukraińskich licealistów z Zespołu Szkół im. Józefa Warszawicza w Prószkowie gościła na Uniwersytecie Opolskim

I3.I2

- W Szpitalu Powiatowym w Strzelcach Opolskich odbyło się spotkanie dotyczące planów utworzenia oddziału klinicznego na bazie tamtejszego oddziału pediatrii, w którym uczestniczyli: prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, zastępca kanclerza Marcin Miga, dyrektor szpitala Beata Czempiel oraz dr n. med. Jarosław Mijas – ordynator Oddziału Dziecięcego z Pododdziałem Dziennym strzeleckiego szpitala.

- Instytut Sławistyki był organizatorem Dnia Czeskiego na Uniwersytecie Opolskim, w którym uczestniczyli m.in. uczniowie Liceum Ogólnokształcącego nr 9 z Wrocławiu – razem ze swoją nauczycielką Anną Chruścielską zaprezentowali na scenie Studenckiego Centrum Kultury spektakl w języku czeskim. Studenci i uczniowie wysłuchali wykładu na temat korzyści, jakie płyną z nauki języka czeskiego, ci drudzy wzięli też udział w specjalnie dla nich przygotowanych warsztatach.



13 XII 2018. Uczestnicy Dnia Czeskiego na Uniwersytecie Opolskim

I3-I4
.I2

13 XII 2018. Na Uniwersytecie Opolskim gościliśmy grupę prodziekanów i pracowników administracyjnych z Brawijaya University (Indonezja). Fot. Sylwester Koral

I3-I4
.I2

Prorektor, 13 prodziekanów oraz pięciu pracowników administracyjnych z Brawijaya University (Indonezja) gościło w naszej uczelni. Uniwersytet Bawijaya plasuje się na piątym miejscu w rankingu indonezyjskich uczelni. Do tej pory współpracowaliśmy z tą uczelnią w ramach programu Erasmus+, czego efektem była wymiana pracowników, a w okresie wakacyjnym gościliśmy indonezyjskich studentów uczelni w Szkole Letniej. Wizyta naszych gości miała na celu ustalenie wspólnych obszarów działalności naukowej, wymiany studenckiej, strategii pozyskiwania studentów z Indonezji. W rozmowach uczestniczyli m.in.: prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk i dr Michał Wanke. Przypomnijmy, że umowę o współpracy naszych uczelni prorektor prof. dr hab. Janusz Słodczyk podpisał z rektorem Uniwersytetu Brawijaya prof. Moham-madem Bisrim, w Indonezji, w kwietniu ubiegłego roku.

- Dr hab. Katarzyna Molek-Kozakowska z Instytutu Filologii Angielskiej wzięła udział w międzynarodowej konferencji na temat najnowszych trendów w dziennikarstwie: *What's (the) News: Values, Viruses and Vectors of Newsworthiness* w Brukseli. Konferencja miała charakter interdyscyplinarny, umożliwiła wymianę poglądów i badań przedstawicielom nauk społecznych i językoznawstwa. Omawiano kondycję dziennikarstwa internetowego, rolę mediów społecznościowych w demokracji oraz alternatywne i konstruktywne formy kreowania wartości informacyjnej w tekstach medialnych. Pokłosiem konferencji jest nawiązanie współpracy Pracowni Badań nad Komunikacją na Wydziale Filologicznym UO z partnerami w Niemczech i Szwajcarii.

I4.I2

Zakończył się, rozpoczęty 30 października, pobyt na naszej uczelni grupy 68 studentów partnerskiej uczelni z Kazachstanu – Euroazjatyckiego Uniwersytetu Narodowego im. Nikołaja Gumilowa. Studenci studiów magisterskich filologii angielskiej oraz nauk społecznych odbyli staże w Instytucie Filologii Angielskiej oraz w Instytucie Socjologii (uczestnictwo w zajęciach, warsztaty, spotkania z wykładowcami i studentami oraz udział w prezentacjach na temat studiów). Praktyki były finansowane ze środków uczelni macierzystej naszych gości, koordynatorami tego przedsięwzięcia byli: dr Elżbieta Szymańska-Czaplak oraz dr Michał Wanke, a przyjazdy studentów obsługiwała Paulina Panic z Sekcji ds. Międzynarodowych Programów Studiów. Kazachska uczelnia jest partnerem Uniwersytetu Opolskiego w ramach umowy bilateralnej oraz w Akcji Kluczowej 107 programu Erasmus+.



14 XII 2018. Zakończył się pobyt na naszej uczelni grupy 68 studentów partnerskiej uczelni z Kazachstanu – Euroazjatyckiego Uniwersytetu Narodowego im. Nikołaja Gumilowa

I4–I5
.I2

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, wzięła udział w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Kształcenia, powołanej przez Konferencję Rektorów Uniwersytetów Polskich, która obradowała w Ciężeniu. Tematem spotkania była wdrażana ustawa o szkolnictwie wyższym.

I7.I2

Około dwustu zagranicznych studentów Uniwersytetu Opolskiego i Politechniki Opolskiej, m.in. z Indii, Chin, Kazachstanu, Ukrainy, Białorusi, Turcji i Azerbejdżanu zjawili się na spotkaniu świątecznym w sali Wydziału Teologicznego UO, gdzie wysłuchali kolęd i piosenek w wykonaniu chóru Politechniki Opolskiej, wzięli też udział w zaimprovizowanym tańcu, mającym symbolizować przyjaźń i solidarność. Sami zaprezentowali folklor swoich krajów (m.in. taniec hinduski i ukraiński). Do zgromadzonych na sali młodych ludzi z życzeniami zwrócił się prorektor UO ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk, a także prorektor PO prof. Krzysztof Malik oraz konsul honorowy Ukrainy w Opolu i przedstawiciel konsulatu Niemiec. Ks. bp dr hab. Andrzej Czaja, prof. UO, wyjaśnił, na czym polega istota świąt Bożego Narodzenia. Młodzi ludzie z ciekawością próbowali polskich świątecznych specjałów.



17 XII 2018. Świąteczne spotkanie w sali Wydziału Teologicznego UO, w którym wzięli udział studenci w Opolu cudzoziemcy oraz władze opolskich uczelni – gospodarzem spotkania był ks. bp prof. Andrzej Czaja, na zdjęciu obok – prorektor prof. Janusz Słodczyk (fot. Sylwester Koral)

8.OI
2019

We Wrocławiu, z udziałem prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO, obradowało Kolegium Prorektorów Uniwersytetów Wrocławia i Opola. Tematem posiedzenia była wdrażana ustawa o szkolnictwie wyższym.

9.OI

Władze opolskich uczelni, naukowcy, wykładowcy, studenci polscy i zagraniczni wzięli udział w dorocznym spotkaniu opłatkowym na Wydziale Teologicznym UO, którego gospodarzem był ks. bp dr hab. Andrzej Czaja, prof. UO, Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego, a poprowadził je ks. dr hab. Marcin Worbs, prof. UO.

9.OI



9 I 2019. Doroczne spotkanie opłatkowe opolskiego środowiska akademickiego na Wydziale Teologicznym UO (fot. Sylwester Koral)

- Pod przewodnictwem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Opolu obradowała, po raz pierwszy w tym roku, Rada Społeczna USK. W porządku spotkania znalazły się takie punkty, jak uchwały w sprawie zaopiniowania zmian w planie finansowym i inwestycyjnym szpitala za rok 2018, zmiany wieloletniego planu inwestycyjnego na lata 2017–2021, przyjęcie darowizny sprzętu medycznego oraz rozszerzenie zakresu działalności poprzez utworzenie w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym Regionalnego Centrum ECMO (metoda EMCO to system pozaustrojowego wspomagania oddychania), a także program rozwoju naukowego kadry medycznej USK.

II.OI

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak oraz zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi starosty powiatu strzeleckiego Józefa Swaczyny. Podczas spotkania, w którym wzięli także udział Karol Cebula – honorowy senator UO oraz Beata Czempiel – dyrektor Szpitala Powiatowego w Strzelcach Opolskich, rozmawiano o planach utworzenia w tym szpitalu, na bazie oddziału pediatrycznego, oddziału klinicznego – w tym o sposobach pozyskania na ten cel środków finansowych (z funduszy powiatu i ze środków unijnych).

- Pracownia Paleobiologii Instytutu Biologii, Europejskie Centrum Paleontologii i Muzeum UO to organizatorzy tegorocznej Nocy Biologów, podczas której wszyscy chętni mogli wysłuchać interesujących wykładów, uczestniczyć w pokazach i prezentacjach, a także wziąć udział w zajęciach typu *Escape Room*. A w Muzeum UO spotkanie pt. *Milczący świadkowie zamierzczej przeszłości* poprowadzili dr hab. Adam Bodzioch, prof. UO – kierownik Pracowni Paleobiologii oraz dr hab. Elena Yazykova, prof. UO, kierownik Europejskiego Centrum Paleontologii.

I4.OI

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak oraz prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wzięli udział, na zaproszenie marszałka woj. opolskiego Andrzeja Buły, w spotkaniu konsultacyjnym projektu Krajowej Strategii Rozwoju Regionalnego 2030 (KSRR 2030). Spotkanie zostało zorganizowane przez Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Opolskiego.

I4.OI

- Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk przyjął przedstawicieli agencji edukacyjnej Apicius z Filipin, na czele z Loreną B. Smigielską, naturalizowaną Polką filipińskiego pochodzenia. Rozmowy dotyczyły rekrutacji studentów z Filipin na studia w Uniwersytecie Opolskim – w ich efekcie już w październiku tego roku w salach wykładowych naszego uniwersytetu mają się pojawić pierwsi studenci z tego kraju.



14 I 2019. Prorektor ds. nauki i finansów prof. Janusz Słodczyk przyjął przedstawicieli agencji edukacyjnej Apicius z Filipin, na czele z Loreną B. Smigielską

- Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wzięli udział w spotkaniu konsultacyjnym dotyczącym projektu Krajowa Strategia Rozwoju Regionalnego 2030, które odbyło się w Urzędzie Marszałkowskim Woj. Opolskiego.

I5.OI

Smaki świata – to nazwa imprezy kulinarnej w sali widowiskowej Studenckiego Centrum Kultury UO, podczas której można było poznać i spróbować potraw kuchni meksykańskiej, hinduskiej, tajwańskiej, marokańskiej, kazachskiej i tureckiej, przygotowanych przez naszych zagranicznych studentów studiów regularnych i programu Erasmus+.



15 I 2019. *Smaki świata* w sali Studenckiego Centrum Kultury (fot. Filip Ożarowski)

I5.OI

- W Opolskim Dniu Judaizmu, w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Jana Pawła II, rabin David Basok z Jerozolimy – od 2016 r. rabin Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu, wygłosił wykład pt. *Judaizm wobec kryzysu integracyjnego we współczesnej Europie*. Spotkanie prowadził ks. prof. dr hab. Stanisław Rabiej z Wydziału Teologicznego UO.

I6.OI

Katedra Liturgiki, Hagiografii i Obrzędowości Wydziału Teologicznego UO oraz Wydział Teologii Prawosławnej Uniwersytetu w Krajowej (Rumunia) to organizatorzy I Ekumenicznego Polsko-Rumuńskiego Sympozjum Liturgicznego *Duch Święty w misteriach Kościoła*, które odbyło się na Wydziale Teologicznym UO.

- Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział, na zaproszenie prezesa Opolskiej Izby Gospodarczej, jako członek kapituły, w corocznej gali wręczenia Laurów Umiejętności i Kompetencji. Więcej na str. 17.

I7.OI

W ramach cyklu *Opolskie spotkania z historią* w Muzeum UO odbyła się promocja trzymtomowej książki prof. dr. hab. Bogusława Czechowicza z Instytutu Historii UO pt. *Idea i państwo. Korona Królestwa Czech w latach 1457–1547*.

I8.OI

W Auli Błękitnej Collegium Maius UO zebrali się miłośnicy gier komputerowych – trwało Akademicki Dzień Kultury Gier, podczas którego można było wysłuchać wykładów specjalistów z branży gier komputerowych, m.in. Tymona Smektały z firmy Techland i Łukasza Sasuły, dotyczących m.in. projektowania gier wideo oraz obecnych w nich tropach literackich. Po wykładach chętni mogli zajrzeć do sali gier, gdzie studenci kierunku Game Studies przygotowali ekspozycję konsol – starych i najnowszych.



18 I 2019. Akademicki Dzień Kultury Gier w Auli Błękitnej Collegium Maius

20.OI

Wieczorem w budynku przy ul. Oleskiej spotkali się miłośnicy astronomii, zaproszeni przez członków Wirtualnej Akademii Astronomii i pracowników Instytutu Fizyki Uniwersytetu Opolskiego. Powodem spotkania było całkowite zaćmienie Księżyca, przypadające na wczesny ranek 21 stycznia. Młodzi uczestnicy *Nocy Księżycowej* obejrzeli m.in. taniec z ogniem w wykonaniu grupy Wintern, przyłączyli się także do inicjatywy niedzielnego *Światelka do Nieba*.

22.OI

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak wzięła udział w pracach zespołu doradczego przy ministrze nauki i szkolnictwa wyższego, który obradował w Warszawie. Temat spotkania: kolejne etapy wdrażania reformy szkolnictwa wyższego.



20 I 2019. Noc Księżycowa na Uniwersytecie Opolskim (fot. Sylwester Koral)

25.OI

Gościem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesławy Piątkowskiej-Stepaniak był dyrektor Opolskiego Centrum Onkologii Marek Staszewski. Rozmowa dotyczyła współpracy z Uniwersytetem Opolskim i Uniwersyteckim Szpitalem Klinicznym (budowa zaplecza klinicznego).

29.OI

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak oraz dr Barbara Curyło, pełnomocnik prorektora ds. promocji UO zagranicą, uczestniczyły w wideokonferencji z udziałem rektorów i prorektorów uczelni partnerskich: Uniwersytetu Burgundzkiego w Dijon (Francja), Uniwersytetu Jyväskylä (Finlandia), Uniwersytetu im. Jana Gutenberga w Moguncji (Niemcy), Uniwersytetu w Palermo (Włochy), Uniwersytetu w Rydze (Łotwa) oraz Uniwersytetu w Walencji (Hiszpania). W ubiegłym roku te uczelnie partnerskie zawiązały sojusz w ramach Sieci Uniwersytetów Europejskich (European Universities Network). Celem konferencji było omówienie perspektyw bliskiej współpracy naukowej i dydaktycznej między partnerami w kontekście aplikowania o finansowanie nowatorskich projektów do Komisji Europejskiej.

4.O2

Muzeum Uniwersytetu Opolskiego, Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Oddział Regionalny Śląska Opolskiego, Opolski Klub Krajoznawców to organizatorzy prelekcji w Muzeum UO pt. *Rośliny wiosenne Opolszczyzny i rezerwat przyrody – Ligota Dolna*, którą wygłosili Teresa i Henryk Hadaszowie.

Mgr inż. Ewa Makowicz z Wydziału Chemii uzyskała nominację do Polskiej Nagrody Inteligentnego Rozwoju w kategorii *Naukowiec przyszłości* za realizację projektu *Związki wykazujące fluorescencję jako specyficzne markery polskich miodów odmianowych*. Organizatorem Polskiej Nagrody Inteligentnego Rozwoju jest Centrum Inteligentnego Rozwoju, a patronem honorowym – dr Alicja Adamczak, prezes Urzędu Patentowego RP. Oficjalne wręczenie Polskiej Nagrody Inteligentnego Rozwoju 2019 będzie miało miejsce podczas uroczystej gali z udziałem ogólnopolskich mediów podczas IV Forum Inteligentnego Rozwoju, które odbędzie się jesienią tego roku. W pierwszej połowie 2019 r. laureaci w kategorii *Naukowiec przyszłości* spotkają się na gali *Polscy naukowcy przyszłości*.

Z okazji stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości wojewoda opolski Adrian Czubak wręczył przyznane przez prezesa Rady Ministrów RP Medale 100-lecia Odzyskania Niepodległości. Wśród odznaczonych za zasługi dla ojczyzny i regionu znaleźli się pracownicy Instytutu Historii UO: **dr hab. Marek Białokur**, **dr Antoni Maziarz** i **dr Mariusz Patelski**.

Stypendystami marszałka woj. opolskiego zostali doktoranci oraz studenci Uniwersytetu Opolskiego: **Andrzej Wołoszyn** (doktorant, historia), **Elżbieta Teschner** (doktorantka, biologia) oraz **Arkadiusz Gruszka** (chemia), **Luiza Dębska** (odnawialne źródła energii) i **Weronika Mateuszak** (historia).

Studentka V roku prawa **Nela Lejczak** otrzymała stypendium w ramach Programu stypendialnego *100 na 100* im. Haliny Konopackiej i Ignacego Matuszewskiego, ogłoszonego przez Fundację LOTTO, pod honorowym patronatem prezesa Rady Ministrów. Program skierowany był do studentów wyróżniających się postawą, zaangażowaniem i wynikami w nauce. Rozmowa z wyróżnioną studentką – na str. 82.

W tegorocznym Rankingu Szpitali 2018, organizowanym przez Centrum Monitorowania Jakości w Ochronie Zdrowia (CMJ) we współpracy z „Rzeczpospolitą”, Uniwersytecki Szpital Kliniczny w Opolu zajął 23. miejsce. Do rankingu zgłoszonych zostało w tym roku 207 szpitali.

Najwyższy i jeden z najnowocześniejszych domów studenckich w Polsce – DS „Kmicic” – już niebawem będzie się mógł pochwalić odnowioną elewacją, na której znalazł się także nowy, podświetlany napis z nazwą obiektu i logo Uniwersytetu Opolskiego. Uszczelniono także dodatkowo wszystkie okna w budynku, co pozwoli wydatnie zmniejszyć rachunki za jego ogrzewanie. Prace remontowe objęły także szczytową część elewacji i dachu akademika „Spójnik” oraz część pokoi w domu studenckim „Kmicic”, które zostały gruntownie odnowione. Koszt prac: pięć mln złotych.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**

APEL KOLEGIUM REKTORÓW UCZELNI WROCŁAWIA I OPOŁA

Wstrząśnięci tragiczną śmiercią prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, apelujemy o rozagę, umiar w słowach, uspokojenie emocji, obniżenie temperatury sporów na tle ideologicznym, politycznym, światopoglądowym.

Wzajemny szacunek, otwartość, tolerancja i zrozumienie dla inności to fundament niezbędny do budowy każdej społeczności.

Nie zgadzamy się na mowę nienawiści w żadnej formie i pod żadnym politycznym czy światopoglądowym sztandarem. Zapowiadamy „zero tolerancji” dla takich zachowań w naszym środowisku oraz wsparcie i pomoc dla każdej inicjatywy, która ma na celu walkę z wszelkimi przejawami agresji w życiu publicznym.

W imieniu Kolegium Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola
wiceprzewodniczący KRUWiO:

prof. Piotr Kielan
prof. Andrzej Rokita

STOP MOWIE NIENAWIŚCI

Spółeczność akademicka Instytutu Socjologii UO przyłącza się do Apelu Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola i wyraża poparcie dla idei rozważi, umiaru i odrzucenia przemocy w przestrzeni publicznej.

Jako socjologowie z dużym niepokojem obserwujemy proces brutalizacji języka, zamykający możliwości społecznego porozumienia się. Dalsza eskalacja mowy nienawiści prowadzi do bezprawia, burzenia ładu społecznego i rozkładu państwa.

Apelujemy do wszystkich uczestników życia publicznego o podjęcie działań na rzecz zatrzymania postępującej dezintegracji polskiego społeczeństwa, bowiem w naszym przekonaniu granice społecznego bezpieczeństwa zostały już przekroczone.

LAURY ROZDANE

Prof. Marian Zembala, chór *Dramma per Musica* i lek. med. Jarosław Struzik – laureaci nagród Opolskiej Izby Gospodarczej



Prof. n. med. Mariana Zembalę uhonorowano Nagrodą Orła Księcia Jana Dobrego – symboliczną statuetkę wręczył Karol Cebula (z lewej) – członek kapituły, wiceprzewodniczący Rady Opolskiej Izby Gospodarczej (zdjęcie ze strony samorządu woj. opolskiego)

Jak co roku, Opolska Izba Gospodarcza nagrodziła menedżerów, firmy i instytucje, które przyczyniają się do rozwoju i wizerunku naszego regionu. Podczas gali, która odbyła się 16 stycznia br. w Filharmonii Opolskiej, wręczono ponad 40 Laurów Umiejętności i Kompetencji 2018.

Wśród nagrodzonych znalazł się **prof. dr hab. n. med. Marian Zembala**, wybitny kardiochirurg, transplantolog, wielki orędownik powstania kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim i jego wykładowca, honorowy obywatel województwa opolskiego (wzruszającą laudację na jego cześć wygłosiła **prof. Dorota Simonides**), a także **Akademicki Chór Dramma per Musica Uniwersytetu Opolskiego** pod dyrekcją **dr Elżbiety Trylnik**.

Prof. n. med. Marian Zembala został uhonorowany wyróżnieniem specjalnym, czyli Nagrodą Orła Księcia

Jana Dobrego (warto dodać, że trzy dni później, 19 stycznia br., profesor otrzymał Diamentowy Laur Umiejętności i Kompetencji, przyznany mu przez Regionalną Izbę Gospodarczą w Katowicach). Chór Uniwersytetu Opolskiego *Dramma per Musica* Opolska Izba Gospodarcza uhonorowała Srebrnym Laurem Umiejętności i Kompetencji w kategorii: kultura.

Opolska kapituła Laurów Umiejętności i Kompetencji, w której zasiada m.in. prorektor ds. zarządzania i rozwoju UO **prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak**, doceniła też pracę **lek. med. Jarosława Struzika**, ordynatora Oddziału Chorób Wewnętrznych, Gastroenterologii, Diabetologii i Endokrynologii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu, przyznając mu Złoty Laur Umiejętności i Kompetencji.

(b)

ZMARŁ KAZIMIERZ KUTZ, DOKTOR H.C. UO

28 grudnia 2018 r. w Katowicach świat artystyczny, filmowy, rodzina, przyjaciele, politycy pożegnali zmarłego Kazimierza Kutza – wybitnego reżysera, polityka, pisarza, wielkiego człowieka. Ze słowami szczerego szacunku, podziwu, wdzięczności za wielkie i mądre dzieło jego życia wystąpili podczas uroczystości żałobnych m.in. Olgierd Łukaszewicz, Daniel Olbrychski, Jerzy Trela, Leszek Balcerowicz, Adam Michnik, Bogdan Borusewicz, Elżbieta Bieńkowska.

W imieniu społeczności Uniwersytetu Opolskiego wielkiego artystę i wybitnego Ślązaka wspominała prorektor UO **prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak**. Mówiła o tym, że Uniwersytet Opolski żegna swojego doktora *honoris causa*, wielkiego Polaka na Śląsku i wielkiego Ślązaka w Polsce.

– Żegnamy człowieka, który wytyczał drogowskazy kresowych śląskich wartości – dialogu kultur i otwarcia się na innych, wszechobecnej tolerancji, siły. Był to artysta zuchwale miłujący Śląsk i Polskę, który uznawał, że miejsce, gdzie się rodzimy *to jest jakby nasza święta ziemia, którą się nosi zawsze ze sobą*. Podczas wykładu na Uniwersytecie Opolskim w 1997 r., kiedy przyjmował tytuł doktora *honoris causa* naszej uczelni, stwierdził m.in.: *Nie będzie już takiej siły, która mogłaby zepchnąć nas, Ślązaków, z europejskiego gościńca i odebrać świadomość miejsca i czasu*. To jeden z drogowskazów, jakie wytyczył nam Kazimierz Kutz, a za które mu dziękujemy – mówiła prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak.

Kazimierz Kutz został pochowany na cmentarzu przy ul. H. Sienkiewicza w Katowicach, gdzie spoczywa wielu wielkich artystów i osoby zasłużone dla Śląska. W ostatniej drodze towarzyszyło mu kilka tysięcy osób. Towarzyszył mu także sztandar Uniwersytetu Opolskiego, którego był doktorem honorowym – tę najwyższą godność akademicką Kazimierz Kutz przyjął 10 marca 1997 r., podczas święta naszej uczelni.

Kazimierz Kutz urodził się 16 lutego 1929 r. w Szopienicach. Był reżyserem filmowym, teatralnym i telewizyjnym, scenarzystą, publicystą, pisarzem oraz politykiem – współpracował z opozycją demokratyczną w PRL, był senatorem IV, V, VI i VIII kadencji; w latach 2001–2005 wicemarszałkiem Senatu V kadencji, a w latach 2007–2011 posłem na Sejm VI kadencji.

Przez całe swoje życie był związany z Górnym Śląskiem, który znał, kochał i który był inspiracją dla jego twórczości, w tym *Tryptyku Śląskiego*, czyli filmów: *Sól ziemi czarnej*, *Perła w koronie* i *Paciorki jednego różańca*. Wyreżyserował ponad dwadzieścia filmów fabularnych i wiele przedstawień teatralnych. Dwukrotnie został laureatem Złotych Lwów na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych – za obrazy: *Paciorki jednego różańca* i *Zawrócony*.

Wspomnienie o zmarłym Kazimierzu Kutzu – na str. 49. (be)

KOLEJNE FUNKCJE W PAN PROF. CZESŁAWY ROSIK-DULEWSKIEJ

Prof. dr hab. inż. Czesława Rosik-Dulewska, dyrektor Instytutu Ochrony i Kształtowania Środowiska na Wydziale Przyrodniczo-Technicznym UO, a jednocześnie kierownik Katedry Gospodarki Odpadami i Gospodarki Wodno-Ściekowej, która od 2016 r. jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk, została powołana do pełnienia ważnych funkcji w PAN: zastępcy przewodniczącego Rady Kuratorów Wydziału IV Nauk Technicznych PAN, członka Komisji Rewizyjnej PAN i członka Prezydium Oddziału PAN Katowice.

Zainteresowania naukowe profesor Czesławy Rosik-Dulewskiej to m.in. zasady i wymogi związane z przyrodniczym zagospodarowaniem odpadów mineralnych oraz organicznych, dobór procesów unieszkodliwiania i odzysku odpadów w oparciu o ich fizyczne i chemiczne właściwości, rekultywacja biologiczna składowisk odpadów, w tym głównie energetycznych i komunalnych. Ma w dorobku ponad 265 opublikowanych pozycji naukowych, w tym 13 monografii.

(be)

2

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

 Artykuły

 Eseje

 Wywiady

 Felietony

19
str.

92



Gen. Zygmunt Berling (fot. Internet)

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

GENERAŁ, KTÓRY NIE CHCIAŁ BYĆ ANDERSEM

Red.: publikujemy fragment przygotowywanego do druku XIII tomu Kresowej Atlantydy Stanisława S. Nicieji, w którym będzie m.in. rozbudowany wątek poświęcony wielce kontrowersyjnej postaci gen. Zygmunta Berlinga i jego ostrego konfliktu z gen. Władysławem Anderssem. Czyli – historia podzielonej politycznie Polski.

Stefan Kisielewski – jeden z najbardziej wnikliwych publicystów oraz obserwatorów polskiej sceny politycznej XX w., a jednocześnie zdeklarowany antykomunista, na wiadomość o śmierci w Londynie Władysława Andersa napisał w swoim dzienniku 13 maja 1970 r.: *Umarł generał Anders. Wyprowadził tłum nieszczęsnych Polaków z Rosji, ale potem poszedł na karierę zachodniego generała, z której Polsce nic nie przyszło. Co prawda nie wiadomo, co innego miałby robić – Berlingiem zostać nie chciał. A szkoda!*

Wcześniej, w 1963 r. w liście do Jerzego Giedroycia – redaktora naczelnego paryskiej „Kultury” Kisielewski napisał: *Oburza mnie zawsze, gdy we wspomnieniach emigracyjnych oficerów czy polityków poniżany jest czy spotwarzany generał Berling. Wszak fakt, że ten, z legionowych wywodzący się formacji oficer, pozostał w Rosji i potrafił znaleźć wspólny język z komunistami dla Polski ma większe znaczenie polityczne i praktyczne niż działalność najbardziej bohaterskich oficerów polskich na zachodzie.* Takimi opiniami Kisielewski wprowadził wielkie zamieszanie w kręgach totalnych krytyków dowódcy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, która powstała z przyzwolenia Stalina u boku Armii Czerwonej.

Zygmunt Berling (1896–1980) to postać, która w polskiej publicystyce oraz dyskursie historiograficznym budzi krańcowe emocje i oceny. Dla jednych jest przykładem narodowego zaprzaństwa, renegactwa, targowicy, zdrady narodowej, niesubordynacji, czyli najgorszych cech, jakie mógł mieć polski oficer. Wylano nań hektolitry brudnej drukarskiej farby, odsądzając od czci i wiary. Niektórzy antykomunistyczni publicyści nie oszczędzili mu żadnego, najbardziej odpychającego epitetu. Daniel Bargiełowski już w tytule swej prawie 400-stronicowej książki biograficznej nazwał go renegatem i charakteryzując jego osobowość, nie stronił od określeń typu: *kanalia, największy z lajdaków, komunistyczny kuglarz* itp. Z drugiej strony pisali o nim bardzo wyrozumiali wobec jego wyborów politycznych i cech osobowościowych

hagiografowie, jak choćby Andrzej Topol czy Kazimierz Sobczak, usprawiedliwiają niemal wszystko, co budziło kontrowersje w biografii politycznej dowódcy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

CHURCHILL: „NIE PRZEKARMİĆ POLSKIEJ GĘSI!”

Przy tej skali rozpiętości ocen politycznych i historiograficznych o roli, jaką generał Berling odegrał w historii Polski, trudno znaleźć złoty środek. Dla osób nieuznających jakiegokolwiek kompromisu: *besserwisserów*, którzy mają dużą łatwość oceniania przeciwników politycznych; dla różnych mędrków publicystycznych goniących za szybkim, sugestywnym *bon motem* wbijającym przeciwnika w ziemię, nie będzie dla Berlinga nigdy jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Dla nich Polska bez Zygmunta Berlinga i Wandy Wasilewskiej byłaby o wiele lepsza. Nie są w stanie przyjąć nawet najmniejszej sugestii, że bez takich postaci Polska po II wojnie światowej mogłaby w swych granicach nie mieć Szczecina, Kołobrzegu, Wrocławia czy Jeleniej Góry. Nie dopuszczają myśli, że Polska – krańcowo zniszczona działaniami wojennymi, z przetrzebioną ludnością, z wymordowaną masowo inteligencją – mogłaby wyjść z tej wojny państwem wielkości Księstwa Warszawskiego: bez Lwowa i Wilna (bo tych miast Stalin, Ukraińcy i Litwini by nie odpuścili), ale też bez Wrocławia i Szczecina. Stalin z Rooseveltem i Churchillem mogli stworzyć większą NRD, z naszymi obecnymi ziemiami zachodnimi – Wrocław mógłby więc obecnie nosić nazwę Breslau i być stolicą niemieckiego Landu Niederschlesien. Churchill był przeciwny silnemu terytorialnemu okrojeniu Niemiec na rzecz Polski, do czego parł Stalin. Uważał, że Polska dostaje dwa razy więcej, niż jest to jej potrzebne. Słynne było jego zdanie wypowiedziane w Jałcie, kiedy postanowiono już ostatecznie, że Polska traci Kresy Wschodnie, jej granica



Gen. Władysław Anders (fot. Internet)

KRESOWE WĄTKI W GENEALOGII GENERAŁA ZYGMUNTA BERLINGA

będzie na Bugu i Sanie: *nie byłoby dobrze, gdyby polska gęś padła z niestrawności na skutek połknięcia zbyt dużej części Niemiec*. Churchill opowiadał się za wariantem, aby zachodnia granica Polski była nie na Nysie Łużyckiej (czyli pod Zgorzelcem), a na Nysie Kłodzkiej (czyli pod Skorogoszczą, w połowie drogi między Opolem a Brzegiem). W tym wariantcie ogromna połać Dolnego Śląska znalazłaby się w NRD.

Wacław Zbyszewski – jeden z najwybitniejszych polskich analityków politycznych i publicystów, który po wojnie pozostał na Zachodzie, uważał, że w czasie wojny i po jej zakończeniu Polska nie była w stanie prowadzić samodzielnej polityki. W liście z 10 sierpnia 1955 r. z Monachium do Jerzego Giedroycia pisał: *Są dwie alternatywy – być satelitą Rosji albo Ameryki*. Uważał też, że pragmatyczni Amerykanie są w swych sojuszach zmienni – raz prorosyjscy, raz proniemieccy, i w sytuacji, gdy Europę przecięła żelazna kurtyna, ceną proniemieckiej polityki Stanów Zjednoczonych mogłaby stać się utrata polskich pojałtańskich ziem zachodnich, do czego rząd Polski mógł być zmuszony, gdyby Polskę oderwano od bloku komunistycznego. Musiałoby upłynąć pół wieku, by ziemie dawniej niemieckie wrosły na trwałe w państwo polskie – musiały tam urodzić się trzy pokolenia Polaków. W latach 50. można jeszcze było łatwo przesunąć Polskę za linię Warty i Noteci i oddać Niemcom ziemie nadodrzańskie.

Dla pragmatyków, ceniących u polityków kompromis, nierozdzielających włosa na czworo, i tych, którzy uważają, że w polityce liczy się tylko efekt końcowy i aby osiągnąć cel każdy chwyt jest dozwolony, chłodno kalkulujących i zwalczających programowo hasło *ja z synowcem na czele i – jakoś to będzie!*, Berling zawsze będzie miał miejsce w pantheonie bohaterów narodowych. W każdym razie w ocenie Berlinga zawodowi historycy nadal nie są w stanie dać zadowalającej obie strony sporu wiarygodnej diagnozy.

Dotychczas najbardziej wszechstronną i umiarkowaną w swych ocenach biografię generała Zygmunta Berlinga napisał u schyłku XX wieku Stanisław Jaczyński, który, szukając przystającego do tej postaci określenia, nadał swej książce biograficznej podtytuł *Między sławą a potępieniem*.

Biografowie piszący o generale Berlingu niemal zupełnie pomijają jego genealogię i ważny wątek kresowy w jego rodzinie. A dla mnie, dla moich zainteresowań kresowych, to wątek szczególnie istotny. Najwnikliwszy z dotychczasowych biografów Berlinga – Stanisław Jaczyński ustalił, iż według legendy rodzinnej generał był pochodzenia szwedzkiego. Jakiś jego wczesny antenat miał być żołnierzem króla Szwecji Karola X Gustawa w czasie „potopu szwedzkiego” i po zakończeniu działań wojennych miał osiąść na Pokuciu, gdzieś między Kołomyją a Zabłotowem. Do końca XIX stulecia jednym z gniazd licznej już wówczas rodziny Berlingów był Stanisławów oraz leżące w jego pobliżu miasteczka. Osoby o nazwisku Berling udało mi się odnaleźć w księgach parafialnych w okolicach Zabłotowa i Kosowa, w miejscowościach: Chlebiczyn, Debestawce i Trójca.

W Debestawcach urodził się między innymi dr Zbigniew Berling (1937–2017), którego dziadek – Mikołaj był znanym pszczelarzem w Trójcy, a ojciec Józef – kowalem, właścicielem dużej kuźni w Debestawcach. Ta część rodziny przeżyła mordy banderowskie, bo w odpowiednim czasie wyprowadziła się z Trójcy i Debestawic do Kołomyi. Zbigniew Berling po wojnie ukończył studia pedagogiczne. Doktoryzował się i do emerytury pracował na stanowisku dyrektora Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej we Wrocławiu. Po przejściu na emeryturę związał się mocno z ziomkostwem Pokucian. W 1992 r. wybrano go prezesem Towarzystwa Miłośników Kołomyi „Pokucie” i pełnił tę funkcję przez wiele lat wymiennie z Danutą Krupską. Zorganizował wiele wypraw do Kołomyi i na Pokucie, organizował kolonie dla młodzieży z Kołomyi w Sulistrowiczkach koło Sobótki i w Jelczu. Rokrocznie, przez kilka lat, w tych koloniach uczestniczyło 30 dzieci z opiekunami. Uczono je języka polskiego, historii, tańców polskich i piosenek. Zbigniew Berling organizował spotkania z burmistrzem Nysy – miasta partnerskiego Kołomyi, był też wydawcą biuletynu informacyjnego „Wiadomości z Kołomyi i Pokucia” (w sumie ukazało się 50 numerów tego pisma). Początkowo były to skromne zeszyty, ale z czasem wydawano je coraz bardziej profesjonalnie i rozsyłano do bibliotek naukowych miast uniwersyteckich. Te biuletyny są kopalnią faktów, zawierają setki biogramów Pokucian uratowanych od kompletnego zapomnienia.



Nieistniejący już dwór Zdurowiczów, Dobków i Wartanowiczów w Trójcy koło Zabłotowa (na Pokuciu), w którym bywał, odwiedzając rodzinne strony, gen. Zygmunt Berling (ze zb. Edwarda Laskowskiego z Rakoniewic, w Wielkopolsce)



Mieszkańcy i bywalcy dworku w Trójcy. W tym towarzystwie wielokrotnie przebywał młody oficer Zygmunt Berling, który przyjeżdżał tam na polowania, kuligi oraz owocobranie. Od lewej: N.N., Helena Dobek (1906–1976), Stefania z Zdurowiczów Chwalibogowska (1894–1926, Anna z Pieleckich Zerygievicz, Zdzisław Dobek (1881–1927), N.N., N.N. Od lewej, w części centralnej, siedzi Maria z Zdurowiczów Dobek (1893–1937), Maria Dobek (1913–1952), Kajetana z Abrahamowiczów Zdurowiczowa (1860?–1940), Wanda Dobek (1909–1993), N.N. (ze zb. Magdy Bernackiej)

Zbigniew Berling organizował przez wiele lat konkursy na wspomnienia z Pokucia. Utrzymywał bliskie relacje z Romanem Lewickim (1912–2004) – przed wojną właścicielem majątków ziemskich w powiecie kołomyjskim (Zahajpol i Pererów), prezesem Szlachty Zagrodowej, a po wojnie, w Londynie – ministrem w rządzie emigracyjnym, odpowiadającym za pomoc krajowi, głównie przez fundowanie stypendiów i wspomaganie edukacji młodzieży (o Romanie Lewickim pisałem obszernie w IV tomie *Kresowej Atlantydy*).

RODOWÓD ZYGMUNTA BERLINGA

Ojcem generała Zygmunta Berlinga był Pokucianin – Michał Berling, brat Mikołaja Berlinga – pszczelarza z Trójcy.

Po odbyciu służby wojskowej w austriackim pułku ułanów w Krakowie osiadł w Limanowej, gdzie podjął pracę w kancelarii notarialnej Fleischmana. Tam ożenił się z pochodzącą z Żywca Aurelią Russek. W 1896 r. urodził się im syn – Zygmunt Henryk. Wkrótce Berlingowie przenieśli się do Zabłotcia koło Żywca, gdzie Michał pracował jako kancelista w warsztatach kolejowych. Berlingowie mieli sześcioro dzieci. Oprócz najstarszego Zygmunta w kolejności rodzili się: Wanda, Henryk, Emilia, Marian i Adam.

Matka, Aurelia Berlingowa, była typową matką Polką, dbającą o patriotyczne wychowanie swych dzieci. Pod jej wpływem Zygmunt wyrastał na dziełach polskich romantyków oraz na powieściach Henryka Sienkiewicza, które wieczorami czytano w domu na głos. W 1907 r. Zygmunt Berling zdał egzamin wstępny do Cesarsko-Królewskiego II Gimnazjum Klasycznego im. Bolesława

Chrobrego w Nowym Sączu – świetnej szkoły średniej, której dyrektorem był dr Stanisław Klemensiewicz. Nauka przychodziła mu łatwo. Był uczniem wrażliwym, o nastawieniu prospołecznym. Nic dziwnego, że zaangażował się razem z kolegami z kolejarских rodzin, m.in. z Antonim Rzęsikowskim i Józefem Kustroniem (przyszłym generałem) w działalność Strzelca. Jako członek Związku Strzeleckiego, o pseudonimie Żuk, uczestniczył w kursach paramilitarnych. Gdy wybuchła I wojna światowa, jak wielu z jego pokolenia, poszedł do Legionów, lecz nie do I Brygady Piłsudskiego, ale do Hallera, czyli do II Brygady. Był ofiarnym żołnierzem. Walczył w krwawych bitwach pod Mołotkowem i Rafajłową, gdzie doznał dość ciężkich kontuzji. Po wyjściu ze szpitali wracał na front. Walczył na ziemi rodzinnej, na Huculszczyźnie, w rejonie Zielonej, Kołomyi i Pasiecznej. W marcu 1915 r. przerzucono go z Kołomyi do centralnej Polski. Uczestniczył w jednej z najkrwawszych bitew – pod Jastkowem koło Lublina. Po tych zmaganiach dostał stopień chorążego. Następnie walczył pod Stochodem i Rudką Miryńską, gdzie przetrzelono mu płuco. Leczone go w Kowlu, Krakowie i Nowym Sączu. Po wyzdrowieniu objął stanowisko dowódcze w Polskim Korpusie Posiłkowym w Bolechowie pod Stryjem. W czasie kryzysu przysięgowego był internowany. U schyłku wojny wrócił do Nowego Sącza, gdzie przygotowywał się do studiów prawniczych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W Polsce międzywojennej Berling systematycznie awansował – do stopnia pułkownika. Sprawował różne ważne stanowiska dowódcze, m.in. w Kielcach i Wilnie. Miał skomplikowane życie rodzinne, a zwłaszcza konflikty z kobietami, które były jego żonami. Toczył z nimi nieprzyjemne spory o majątek. Dotyczyło to głównie jego drugiej żony – Jolandy Magyarosi, bogatej rumuńskiej arystokratki, którą poznał w szpitalu na Węgrzech w 1914 r., gdy leczył rany po bitwie pod Mołotkowem. Jolanda była wówczas sanitariuszką Czerwonego Krzyża. Przez wiele lat łączył ich romans korespondencyjny. Pisali do siebie namiętne listy. Pobrali się 20 lat później, w 1934 r. i zamieszkali w Wilnie. Ale związek szybko się rozpadł i to bardzo dramatycznie. W sprawie podziału majątku małżonków interweniowała nawet ambasada rumuńska. W kręgach wojskowo-politycznych wpływało to źle na ocenę moralnej strony Berlinga. W końcu tak się naraził swoim kolegom wyższym rangą, zwłaszcza generałom Stefanowi Dąb-Biernackiemu i Michałowi Tokarzewskiemu, że z dniem 31 lipca 1939 r. przeniesiono go

w stan spoczynku. Gdy miesiąc później wybuchła wojna, nie został zmobilizowany i jako wyższy oficer nie dostał przydziału służbowego.

Nim to się jednak stało, okres międzywojenny należy uznać za najlepszy w jego biografii osobistej. Był młody, tryskał wigorem i w jednostkach, w których dowodził, cieszył się mirem żołnierzy. Imponował swym podwładnym. Miał też opinię zdolnego dowódcy. Ale przez swój krnąbrny, choleryczny charakter nie był lubiany przez przełożonych. Z trudem poruszał się wśród legionowych koterii, w których dominowali piłsudscy. Mimo że w 1926 r., w czasie przewrotu majowego poparł Piłsudskiego, piłsudscy nie darzyli go – jako hallerczyka – zaufaniem.

Jako przystojny, inteligentny, dobrze wykształcony oficer, odnosił sukcesy na salonach towarzyskich. Mieszkająca po wojnie w Londynie Krystyna Rajgrodzka-Colwell wspominała, że w latach 30. XX w., jadąc z piosenkarką Hanką Ordonówną i pułkownikiem Zygmuntem Berlingiem na bal oficerski, była oczarowana swoim towarzyszem podróży: *Był to niezwykle elegancki pan, o dużej kulturze osobistej. Robił wrażenie światowca.*

Takie opinie kobiet o Berlingu nie były odosobnione. Prowadził aktywne życie towarzyskie. Uczestniczył w polowaniach, kuligach, balach i wspinaczkach wysokogórskich. Często bywał też w rodzinnych stronach – w Zabłotowie, Trójcy i Chlebczynie, w dworach Dobków i Wartanowiczów.

„KLUCZEM JEST REALIZM POLITYCZNY”

Andrzej Werblan (roc. 1924) – kresowiak z Tarnopola, wywieziony z rodzicami przez Sowieców na Sybir, po wojnie długoletni wpływowy działacz pezetpeerowski, piszący przemówienia dla Władysława Gomułki i Edwarda Gierka, przez pewien czas sekretarz KC PZPR odpowiedzialny za edukację i kulturę, w rozmowie z Karolem Modzelewskim – jednym z czołowych opozycjonistów w PRL i rzecznikiem prasowym „Solidarności”, powiedział: *Kiedyś pewna dziennikarka przyszła do mnie rozmawiać na temat Berlinga i Wandy Wasilewskiej. Powiedziałem, że całkiem pozytywnie odbieram ich rolę, jakie odegrali w czasie drugiej wojny światowej. Spojrzała na mnie jak na barbarzyńcę. Jak to w ogóle możliwe? Dla niej Wasilewska to jest uosobienie zdrady narodowej! Odpowiedziałem: wie pani, dla mnie i wielu mi podobnych to była kobieta, dzięki*

które z podludzi staliśmy się normalnymi ludźmi, z szansą powrotu do kraju. W każdym bądź razie stanęliśmy na początku tej drogi. Byliśmy umundurowani i dostaliśmy broń. W czasie wojny to oznaczało dramatyczną zmianę statusu człowieka. Aczkolwiek z pewnym ryzykiem, owszem. Dlatego jak się nie uwzględni realiów wojny, tego, co się z ludźmi w ogóle działo, to się tamtych czasów i tamtych wyborów nie zrozumie. (...) Klucz do rozumienia genezy Polski Ludowej i w dużym stopniu jej późniejszych dziejów nazywa się Realpolitik. Realizm polityczny. To jest klucz.

Charles de Gaulle – jeden z najwybitniejszych przywódców świata XX w., który wyprowadził kolaborancką Francję zwycięsko z wojny i dał jej pozycję europejskiego mocarstwa, miał odwagę głosić, że wrogowie mogą stać się przyjaciółmi. Zbulwersował wielu, gdy zaledwie kilkanaście lat po upokorzeniach, jakich doznała Francja od hitlerowskich Niemiec, zaprosił do swego kraju (a także do swej prywatnej rezydencji w Colombey-les-Deux-Églises) Konrada Adenauera – kanclerza Niemiec. Przy starciu dwóch mocarstw – komunistycznej Rosji i wolnorynkowej Ameryki – potrafił grać na dwóch fortepianach, szybko doprowadzając swój kraj do pełnej niepodległości. Gdy trzeba było, dla osiągnięcia celu politycznego posługiwał się blefem, a nawet kłamstwem. Tak postąpił między innymi przy kwestii algierskiej.

BERLING I ANDERS – DWIE STRONY LUSTRA

Generał Władysław Anders w swej książce wspomnieniowej *Bez ostatniego rozkazu* oraz w różnych wywiadach i artykułach pisał i mówił o generale Zygmuncie Berlingu wyłącznie źle. Uważał go za miernego dowódcę, sowieckiego agenta, dezertera, którego słusznie władze sądownicze polskiego rządu na uchodźstwie skazały na karę śmierci (choć wykonania wyroku nie zatwierdził wódz naczelny – generał Kazimierz Sosnkowski). Anders uważał Berlinga za wielkiego szkodnika Polski, targowiczanina.

Zygmunt Berling w swoich wspomnieniach i wywiadach pisał i mówił o generale Andersie jeszcze gorzej. Uważał, iż był to niedojrzały polityk. Twierdził, że wyjście armii Andersa na Bliski Wschód i wybór zachodniej marszruty w wypadku zwycięstwa Związku Radzieckiego w toczącej się wojnie mogło pozbawić polskiego żołnierza możliwości wkroczenia do kraju najkrótszą drogą. W momencie, gdy armia Andersa opuszczała Związek

Radziecki, stwierdził: *Poszli do Polski jak ci, których droga w czasach Napoleona wiodła przez San Domingo. (...) Szli na stracenie zaślepieni krzywdami, jakich doznali w Rosji i zdeptali po drodze nadzieje setek tysięcy swych braci i sióstr. Odwrócili się plecami od nieuchronnej tragedii narodu, jaką groziła klęska ZSRR w wojnie z hitlerowską III Rzeszą. (...) Poszli za człowiekiem, który wystawił na sprzedaż i honor, i nasze żołnierskie imię.*

31 sierpnia 1942 r. na brzegu sowieckim zostało z armii Andersa – jak napisał Berling w swych wspomnieniach – tylko nas czterech patrzących na odpływający ostatni statek. Jaśkiewicz blady powiedział: „No, i pojechali”. Po wyjściu armii Andersa słowo *Polak* stało się w Związku Radzieckim synonimem wroga. Tam obowiązywało hasło i zasada: kto nie z nami, ten przeciw nam.

Berling, próbując podsumować to, co się wydarzyło, w III tomie swych wspomnień napisał: *Los przynosi Andersowi klęskę. Wraz z naszym sojusznikiem niesiemy Polskę wyzwolenie i wolność. To my jesteśmy w Warszawie i na drodze do pewnego zwycięstwa. I już dziś nikt nie wątpi, że o kształcie tej części Europy decydować będzie Związek Radziecki, a wszystko, co chcemy uzyskać dla naszego kraju, może nam dać tylko przyjaźń i sojusz ze Związkiem Radzieckim. Musimy sobie uprzytomnić, że o realizację naszych jakichkolwiek pretensji, sprzecznych z jego wolą, nikt z pozostałych sojuszników wojować nie będzie.*

Można się nie zgadzać z tym twierdzeniem, ale jest tu realizm polityczny i zdolność przewidywania, bo Roosevelt i Churchill, a później Truman, oddali Polskę Stalinowi. Nie był to dla nich ważny problem. I dopiero za kilka lat, w okresie zimnej wojny, upomną się o suwerenność i demokrację w Polsce. Upomną się też o prawdę o Katyniu.

Odwieczny dramat Polski podzielonej – dwóch wybitnych dowódców wojskowych II wojny światowej, Anders i Berling, a dzieliła ich krańcowa wrogość, brak szacunku, a nawet nienawiść.

Piszę to w momencie, gdy w Gdańsku zabito prezydenta tego miasta – Pawła Adamowicza. I Polska jest podobnie podzielona, nawet nie na dwie części, ale na więcej.

Piszę to w chwili, gdy najbardziej znaczący polscy politycy tego czasu – Donald Tusk i Jarosław Kaczyński mówią o sobie z taką samą nienawiścią, jak niegdyś Anders z Berlingiem. Czy to polskie polityczne piekło, towarzyszące nam od dziesięcioleci, będzie ciągle obecne w narodowej debacie?

STANISŁAW LUDWIK KROWICKI

MÓJ OPOLSKI MARZEC '68 (część I)



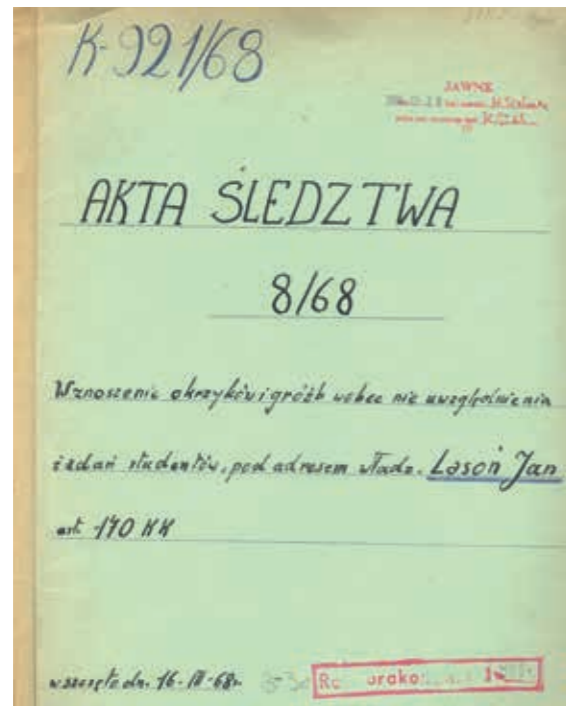
Milicyjne zdjęcie Jana Lasonia, byłego studenta WSP, aresztowanego w marcu 1968 r. IPN Wr 012/2801 t. 1, k. 15a

Pół wieku minęło od wydarzeń z Marca 1968 r. w Opolu. Wielu uczestników tamtych dni już nie żyje; a ci, którzy jeszcze pozostali przy życiu, pamiętają niewiele. Za to tryskają świeżością umysłu niektóre osoby nauczające bądź studiujące, albo tylko mieszkające wówczas w Opolu, a których na barykadach nikt nie widział. Dziś prezentują wydarzenia, nierzadko z sobą w roli głównej.

Doszło już nawet do tego, że znany z nieprzejednanego stanowiska wobec warcholów, syjonistów i wicherzycieli red. Marek Szymański z b. „Trybuny Opolskiej” i „Trybuny Ludu” – w ramach oficjalnego spotkania w mieszkańcami Opola zorganizowanego w marcu 2017 r. w Muzeum Śląska Opolskiego – nie tylko się dowartościowywał po-

gadankami o *opolskich anegdotach kulturalnych i towarzyskich* z lat 60. XX w., lecz przymuszony przez obecnych na tym spotkaniu dr. Leszka Kantora i mgr. Krzysztofa Borkowskiego¹, powiedział, że na WSP studenci byli nakłaniany do wyjścia na ulice przez jednego z pracowników – Żyda. W Wagonówce [Zakładach Naprawczych Taboru

¹ Usłyszeli oni od pracownicy Muzeum Śląska Opolskiego, że mówią „nie na temat” bądź usiłują wykorzystać „ imprezę kulturalną do swoich [...] prywatnych celów”; zaś od zebranej tam publiczności, że przyszła słuchać „tylko Pana Marka” (cyt. za: A. Dmitruczuk, *Starcie na spotkaniu w M[uzeum] Ś[ląska] O[polskiego]*, „Gazeta Wyborcza” 2017, nr 64 z 17 III, dod. „Magazyn Opole”, s. 2).



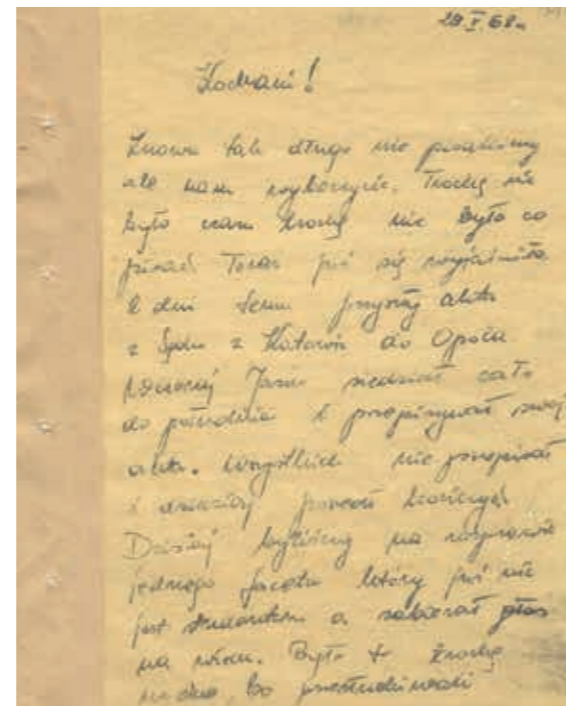
Akta śledztwa przeciwko Janowi Lasoniowi, byłemu studentowi WSP, aresztowanemu w marcu 1968 r. IPN Wr 012/2801 t. 1

Kolejowego w Opolu – S.L.K.] już cięli metrowe kable na studentów. I dlatego trzeba było zatrzymać ich protest². Oczywiście tą osobą, która dla dobra studentów to uczyniła, był on sam!

Zacznę od tego, że w wydarzeniach Marca '68 uczestniczyłem jedynie jako statysta: nigdy nie przemawiałem publicznie i *po cichu* także nie agitowałem; nie rozlepiełem również afiszy i nie kolportowałem ulotek. Kilka razy z własnej woli przetłumaczyłem na esperanto ulotkę *Krajowej Rady Wolnych Studentów Polski*, wzywającej do strajków w ośrodkach akademickich, i wysłałem do Hiszpanii, a konkretnie Kraju Basków (Bilbao). Dotarły dwie. O opolskich studentach nie mogłem pisać, bo SB, mimo tajemnicy korespondencji (zagwarantowanej w konstytucji PRL), łatwo by namierzyła esperantystę³.

² Ibidem.

³ Samą czynność tłumaczenia niektórych koledzy z pokoju widzieli, nawet mi dopingowali. I nikt z nich mnie nie „zakapował”; a mieszkało nas pięciu w jednym pokoju, w tym dwóch członków PZPR.



Kopia listu wysłanego do studentów przebywających w obozie wojskowym w rejonie Żagania po wydarzeniach marcowych w 1968 r. (kopia wykonana przez WSW w ramach tajnej kontroli korespondencji, przekazana SB i dołączona do akt sprawy operacyjno-śledczej krypt. „Wichrzyciele”). IPN Wr 011/461, k. 97/18

Powód był taki, że na rok przed Marcem omal nie zostałem wydalony ze studiów, bo zostałem zakapowany do I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR za odmowę czytania tekstu o KPP i powiedzenie na ćwiczeniach z historii ruchu robotniczego u mgr. Edwarda Mendla, przyszłego *docenta marcowego*, że jestem demokratą⁴. Uratowała mnie... przynależność do Stronnictwa Demokratycznego⁵.

Mieszkałem przez pięć lat w Domu Studenta „Mrowisko” przy ul. Katowickiej. Wydarzenia w Warszawie

⁴ Piszę o tym nieprzypadkowo. Wiele osób funkcyjnych z opolskiej WSP po transformacji ustrojowej wypowiadało się publicznie, że w Marcu '68 wszelkie zło pochodziło tylko z KW PZPR. Na moim przykładzie widać, że istniały możliwości pomocy „podpadniętym” pracownikom nauki i studentom. Trzeba było tylko chcieć pomóc. Ja taką pomoc, zupełnie bezinteresowną, otrzymałem przed Marcem od lwowianki, Lidii Smyczyńskiej, sekretarz Miejskiego i Powiatowego Komitetu SD w Opolu i jednocześnie studentki WSP na Wydziale Filologiczno-Historycznym.

⁵ Byłem wówczas sekretarzem Koła SD na Wydziale Filologiczno-Historycznym, a przewodniczącym był student polonistyki, Kazimierz Kościak – piszący także do „Famy” (pisma studentów WSP).

zaskoczyły wszystkich. I studentów, i profesorów. Przede wszystkim brakowało rzetelnej informacji, bo władze uczelniane, także partyjne, chowały głowę w piasek. Jednocześnie organa porządkowe wzmocniły czujność, kontrolując ponad miarę osoby, zwłaszcza młode, przyjeżdżające do Opola i stąd odjeżdżające⁶.

Wreszcie 13 marca 1968 r. sprawę wzięli w swoje ręce aktywiści Związku Młodzieży Socjalistycznej i Związku Młodzieży Wiejskiej opolskich uczelni, potępiając w przyjętej rezolucji *nieodpowiedzialne wystąpienia elementów wichrzyelskich i chulikańskich, które miały miejsce w Warszawie*. Była w niej też mowa o Radiu „Wolna Europa” i innych ośrodkach wrogich Polsce Ludowej, a także warszawskiej młodzieży *bananowej* oraz rozważnej postawie MO i ORMO. To tak rozłościło studentów, że dosłownie zawrzało.

Znalazła się też iskra zapalna, jaką był powrót z Lublina studenta III roku mechaniki, Jana Kazimierza Czecha (miał tam uczestniczyć w Festiwalu Teatrów Studenckich)⁷. Mieszkał także w DS „Mrowisko”, od razu przystąpił do oplakatowania holu informacjami, które zebrał podczas strajku lubelskiego. I w późnych godzinach wieczornych 14 marca 1968 r. doszło w „Mrowisku” do spontanicznego wiecu – w proteście przeciw krokowi podjętym na warszawskich uczelniach wobec *prowo-dyrów* (jak ich oficjalnie nazwano), a także przeciwko kłamstwom w prasie, radiu i telewizji. Na podestach prowadzących do pokojów pojawili się pierwsi mówcy.

Przybył rektor prof. Maurycy Horn z obstawą, czyli czołowymi osobami funkcyjnymi PZPR i wezwał do zejścia się. Ktoś zaintonował *Jeszcze Polska...* Podchwycili wszyscy. Spojrzałem na koleżanki – miały łzy w oczach. Serce biło mi jak młot. Nigdy tego nie zapomnę! To mój pierwszy udział w wiecu organizowanym nie przez władze oficjalne. Rektor stracił wtedy pewność siebie, obiecał wyjaśnienie wszystkich kwestii na najbliższym zebraniu partyjnym z udziałem I sekretarza KW PZRR

⁶ Było to związane z zapowiedzią zastępcy komendanta Komitetu Wojewódzkiego MO ds. SB ppłk. Józefa Spisaka, że dla „awanturnych ekscesów” nie będzie pobłażania w Opolu.

⁷ Festiwal został odwołany, bo w owym dniu wybuchł w Lublinie studencki strajk. Nie do końca jasna jest wiadomość, podawana obecnie przez samego Czecha, że o protestach studenckich dowiedział się niemal w szczególach podczas śniadania w lubelskim hotelu od... funkcjonariuszy SB. Przecież mieli oni zabronione rozmawiać o sprawach służbowych w obecności osób postronnych, a tym bardziej spoufalac się z nimi.

Mariana Miśkiewicza⁸, który miał odpowiedzieć na postulaty studentów. Było to w czwartek, zaś na piątek zapowiedział dzień rektorski, żeby dać czas do namysłu, o czym mi przypomniał po latach Harry Duda. Nie czekając na zakończenie wiecu, rektor opuścił zgromadzenie⁹. Gdy po północy rozeszliśmy się do pokojów, ktoś pousuwał z holu wszystkie plakaty.

Nazajutrz studenci opolskiej WSP przeczytali w „Trybunie Opolskiej”... treść rezolucji sprzed dwóch dni uchwalonej przez 50 aktywistów ZMS i ZMW z opolskich wyższych uczeni i Studium Nauczycielskiego oraz o *gorącym oburzeniu uczniów LO w Niemodlinie, Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Chróście Nyskiej*, a także... nauczycieli z *gromady Tarnów Opolski oraz powiatu oleskiego*¹⁰; zaś o wiecu w akademiku opolskiej WSP nie było ani słowa, co studentów jeszcze bardziej oburzyło. Postanowili zatem zorganizować wiec na terenie samej uczelni – i to bez aktywistów młodzieżowych, których nazywali *samożwańcami*, a plakaty głosiły: *Precz z aktywem!* Żądano też od rektora interwencji w sprawie rezolucji, a od władz państwowych rzetelnej informacji. Nowe plakaty solidaryzujące się ze studentami spoza Opola pojawiły się w holu DS „Mrowisko”, podgrzewając i tak napiętą atmosferę. Do tego doszło jeszcze przekładanie terminu rozpoczęcia zebrania PZPR. W odpowiedzi pojawił się afisz zapowiadający zwołanie studenckiego wiecu w WSP na godz. 18.00.

Protesty studenckie zaskoczyły całkowicie władze partyjne Opola, jak i władze samej uczelni. Pierwsze wywierały naciski na rektora Horna, by *bunt zdusił w zarodku*, zaś profesor Horn zawierał zanadto swej partii, która przyzwyczajona przez lata do posłuszeństwa ze strony społeczeństwa, stanęła oko w oko z rodzącym się buntem studenckiej młodzieży w obronie honoru narodowego. Władza chciała problem rozstrzygnąć sprawdzonymi metodami. Wskazuje na to przebieg zebrania

⁸ Niektórzy świadkowie tamtych wydarzeń twierdzą dziś, że chodziło tylko o „sekretarza POP”. Przecież rektor zanim przemówił do studentów, musiał wcześniej poinformować przybyłego z nim I sekretarza KW PZPR, że chce na niego scedować ten obowiązek, a ten, nie mając więcej niż rektor informacji o sytuacji w Warszawie i innych ośrodkach akademickich, nie podjąłby się tego zadania.

⁹ Wielu autorów pisze, że wychodzącemu z wiecu prof. Hornowi towarzyszyły gwizdy. Nie mogę tego potwierdzić ani zaprzeczyć. Po prostu nie pamiętam.

¹⁰ Powszechne potępienie inspiratorów i prowodyrów zajęć warszawskich, „Trybuna Opolska” 1968, nr 74 z 15 III, s. 1-2.

partyjnego w sąsiedniej uczelni, tj. Wyższej Szkole Inżynierskiej, gdzie kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KW PZPR Tadeusz Minczakiewicz wygłosił referat o genezie i skutkach *ekscesów warszawskich*, co – jak potem napisano w „Trybunie Opolskiej” – przyjęto tam w *pożuciu odpowiedzialności i ze zrozumieniem*. Gdyby w tym samym czasie z takim referatem ów prelegent wystąpił w środowisku studentów WSP, zrozumienia by nie znalazł, a jedynie by rozsierdził słuchających! Zatem nawoływanie rektora Horna do uspokojenia, bo komitet [województwa] *wszystko wyjaśni*, graniczyło z wielką naiwnością.

Mimo upomnień rektora, że podjęta akcja jest nielegalna, około godz. 18.00 studenci zaczęli się zbierać w holu akademika, by zaraz przejść do będącego w pobliżu gmachu uczelni. Po odśpiewaniu piosenki *Warszawa da się lubić*, zażądano wydania kluczy do auli, gdzie miało się odbyć zebranie partyjne. Postanowiono przenieść zebranie POP do sali audytornej (czyli 154). Rozpoczęło się ono z półtoragodzinnym opóźnieniem, o godz. 19.45¹¹, w dodatku jako zamknięte dla bezpartyjnych. I nawet na takowe nikt z KW PZPR nie przybył. Tamtejsi funkcjonariusze partyjni woleli z oddali kierować wydarzeniami¹².

Mój kolega z pokoju w DS „Mrowisko”, Kazik Kobiałko, a jednocześnie przewodniczący Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich, nader poważnie dochowywał *tajemnicy partyjnej*. Pozostaje mi zatem sięgnąć do *Protokołu zebrania POP-u PZPR przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu w dniu 15 marca 1968 r., zagajonego przez tow. Adama Suchońskiego o godz. 19.45*. Oto najbardziej charakterystyczne głosy osób dyskutujących:

Tow. Piróg [fizyk]: *Nie wolno nam chować głowy w piasek. Jesteśmy przed V Zjazdem PZPR. Nasza POP powinna się ustosunkować do problemów poruszanych przez studentów.*

Tow. Kawecki [wykładowca religioznawstwa]: *Trzeba mocno uderzać. Nasi przeciwnicy wykorzystują każdą sytuację i naszą słabość. [...] Na nich potrzeba pałek. Partia postąpiła źle, bo nie zgnieciono wszystkich buntów w za-*

¹¹ Nie było to jakimś wyjątkiem. W owym czasie zebrania PZPR w opolskiej WSP odbywały się z reguły z soboty na niedzielę w późnych godzinach wieczornych, a kończyły nad ranem dnia następnego. Przypominało to – jako żywo – konspiracyjne lata wojny i okupacji, z PPR-em w roli głównej.

¹² Zenon Kawecki był naszym wykładowcą z przedmiotu religioznawstwo i jednocześnie I sekretarzem opolskiego Komitetu Miejskiego PZPR.

rodku. [...] *Elementy wrogie odniosły zwycięstwo. Tak nie może być.*

Tow. Owczarek [historyk starożytności]: *My nie znamy istoty sprawy; sądzę, że tow. Kawecki też jej nie zna. Tu trzeba postępować mądrze. Ten kto w Polsce rządzi, powinien mieć mądrzejszych doradców. [...] Osobiście uważam, że wystawienie „Dziadów” Mickiewicza i zdjęcie ich ze sceny, to może być prowokacja. [...] Jako uczeń szkoły średniej zadawałem sobie pytania, dlaczego nauczyciele unikają trudnych problemów, skoro należałoby dyskutować z młodzieżą. W 1956 r. ukończyłem historię i byłem bardzo niešťęśliwy, że to, w co wierzyłem, zostało przewrócone w październiku 1956 r. Będąc jeszcze uczniem szkoły średniej, należałem do ZMP i wiem, że młodzież jest bardzo wrażliwa, nawet buntownicza. Gdyby jej wytłumaczono, o co chodzi tutaj, na pewno nastąpiłoby uspokojenie. Nie pokazano studentom grupy wrogów, nazwano ją [młodzież] tylko syjonistyczną. [...] Prowodyr zajął [na polskich uczelniach – S.L.K.] nie jest pokazany¹³.*

Tow. Borkowski [przewodniczący ZMS]: *Rezolucja POP wobec studenckiej manifestacji [chodzi przede wszystkim o Warszawę – S.L.K.] jest za spokojna. Należałoby ją wyostrzyć¹⁴.*

Tow. Gąszczyński [lektor j. łańcińskiego]: *Jestem zdania, aby POP ustosunkowała się do rezolucji studentów.*

Na tym samym zebraniu przemawiał też złotousty Kazik Kobiałko. Długo rozwodził się o konieczności uświadomienia ideologicznego *głupawych* studentów. W końcu stwierdził, że jego koledzy nie są wrogami socjalizmu, co uzasadniał tym, że na wszelkich apelach ochoczo i dobitnie śpiewają *Międzynarodówkę*. W sumie wyszło to na niezłą obronę studentów.

Pominąłem tu tzw. mowy enigmatyczne, bo nic z nich nie wynikało. Albo chciał tylko dany aktywista partyjny zaistnieć na niwie *przewodnej siły Narodu* (odnosi się to także do takich osób, jak: płk dypl. Izidor Helin¹⁵ lub

¹³ To właśnie wystąpienie dr. Leonarda Owczarka stało się przyczyną wyrzucenia go z pracy. Uznano je za poparcie przez niego dążeń „warchołów studenckich”.

¹⁴ Nic więcej nie powiedział ów student; albo może i powiedział, lecz nie zostało to zaprotokolowane.

¹⁵ Obecny na tym zebraniu bezpartyjny Harry Duda (załatwił sobie wejście z dr. Marianem Treszelem, który „stał na bramce” do sali 154, audytornej), powiedział mi, że wystąpienie Helina było „znakomite – i merytorycznie, i formalnie, zwrócone ku racjom studentów, młodości i prawdzie”. Ale co konkretnie Helin wówczas powiedział, Harry dziś już nie pamięta – poza jednym jedynym zdaniem: „I co my mamy powiedzieć tej młodzieży, która tam na korytarzach czeka, skoro wy, towarzysze, właściwie przyszlście tu do nas z niczym”.

dr Janusz Michulowicz czy nawet *obywatel Zięba* (jak napisano w protokole, choć to był prorektor i członek Stronnictwa Demokratycznego); albo też protokół został sfalszowany, gdy uświadomiono sobie, do jakich to beżeceństw na tym zebraniu dopuszczono¹⁶.

Uczestnicy partyjnego zebrania przyjęli uchwałę *ostro potępiającą warcholskie wybryki elementów syjonistycznych i dogmatycznych*. Lecz studentom oczekującym przed aulą obiecano, że ich wiec się odbędzie. W zaprotokolowanych głosach w dyskusji widoczne jest jedno: tzw. profesura opolskiej WSP jeszcze mniej wiedziała o ówczesnej sytuacji w Polsce niż sami studenci lub nie chciała się wychylać.

Wiec w auli rozpoczął się odśpiewaniem hymnu państwowego. Wznoszono tam różne okrzyki. Odcinając się od rezolucji aktywu ZMS i ZMW, studenci domagali się sprostowania w mediach nieprawdziwych informacji o postawie opolskich studentów. Żądali, aby aktyw robotniczy nie był używany do *tłumienia manifestacji studenckich*. Jednocześnie występowali przeciw próbom poróżniania studentów z klasą robotniczą¹⁷. Podkreślono też nienaruszalność zasad ustroju socjalistycznego w Polsce.

Studentów bulwersowała pogłoska o pobiciu przez milicję i ORMO profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, co porównywano do pogwałcenia terytorialnej autonomii Uniwersytetu z doby okupacji hitlerowskiej, a także pobicia osób studiujących w Gliwicach, Gdańsku i innych ośrodkach akademickich. Zapowiedzieli na 18 marca 48-godzinny strajk okupacyjny. Nad ranem uchwalili re-

¹⁶ Źródło: Archiwum Państwowe w Opolu,teczka – KW PZPR w Opolu, sygn. 2737, k. 1-5.

¹⁷ Adam Kaprzyk v. Kasprzyk już jako 60-latek tłumaczył owe żądania dość krytycznie, bo „szlachetnością i bezinteresownością najwyższego lotu”, przy pominięciu kwestii bytowych, „nie pozyskano szerokich mas pozaakademickich i uzyskanie aprobaty z zewnątrz. [...] Polska młodzież nie tylko miała przeciwko sobie władzę, i to w dodatku wyjątkowo przekłętą, a może – co bolalo wówczas szczególnie i boli do dziś – polskiego robotnika zwanego aktywem robotniczym”. Świadectwem poparcia polityki partii i rządu PRL przez mieszkańców Opola miał być wiec zorganizowany 21 III 1968 r., o godz. 14.00, przez władze wojewódzkie na pl. Armii Czerwonej (obecnie Mikołaja Kopernika). W „spontanycznym” zgromadzeniu mieszkańców Opola uczestniczyło podobno 30 tys. osób (wg „Trybuny Opolskiej”). Przemawiał tam I sekretarz KW PZPR, mówiąc, że w walce z Polską Ludową zorganizowano w Opolu studenckie protesty i kolportaż ulotek „o rzekomych [!] pobiciu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego [...], żeby wywołać chaos” (A. Kasprzyk, Co znaczy pokolenie ‘68, „Gazeta Wyborcza. Opole” 2008, nr 57 z 7 III, s. 5; Opolszczyzna całym sercem z partią i Wiesławem. 30 tys. ludzi na pl. Armii Czerwonej, „Trybuna Opolska” 1968, nr 81 z 22 III, s. 1-2).

zolucję celem przesłania na adres Sejmu i rządu PRL¹⁸.

W sobotę, 16 marca 1968 r., do opolskiej SB dotarły informacje o przyjeździe do Opola studentów z Krakowa¹⁹. Sytuacja w WSP stawała się coraz bardziej napięta, 17 marca, po kolacji, na wiecu w holu DS „Mrowisko” ponownie przemawiał Jan Kazimierz Czech, wzywając do udziału w strajku okupacyjnym. Na zebranie przybył również profesor Horn i poprosił o rozważę. Zapadła też decyzja o kolportażu ulotek w mieście. Zwrócono uwagę na prowokatorów i współpracowników SB we własnych szeregach, pokrzykując raz po raz: *Kapusie, zdjąć kapelusze!*

(cdn.)

¹⁸ Domagano się w niej obiektywnej informacji o wydarzeniach warszawskich, zwolnienia aresztowanych za udział w manifestacjach i – ponownie – aby „aktyw robotniczy nie był używany do tłumienia wystąpień studenckich” (Archiwum Państwowe w Opolu, Zespół KW PZPR, sygn. 942 – Rezolucja studentów Opola do Sejmu PRL i do KC PZPR).

¹⁹ Poza Adamem Kaprzykiem chyba nie było nikogo więcej. Ów opolanin studiował w Krakowie. Gdy tam 13 III 1968 r. wybuchł strajk, który brutalnie rozpedziły milicja i ORMO, zaś prasa pisała w dalszym ciągu tylko o Warszawie, Kaprzyk nie chciał, by reszta Polski miała jego i kolegów „za tych biernie przypatrujących się”; i 15 III zgłosił się do strajkowego komitetu, wybierając „swoje Opole”. Wyruszył pociągiem dnia następnego, wysiadł w Groszowicach (dziś dzielnica Opola), bo obawiał się oblavy na dworcu opolskim. W południe dotarł do akademika Wyższej Szkoły Inżynierskiej i dopiero stamtąd (zachowując największą konspirację) zaczął poszukiwać kontaktów ze studentami WSP. Nieprawdziwe zatem są informacje tych autorów, którzy podają, iż Kaprzyk od samego początku pomagał Janowi Czechowi w organizowaniu akcji strajkowych na terenie opolskiej WSP. Zatem opolscy studenci rozpoczęli swój protest bez żadnej inspiracji z zewnątrz.

WROCŁAWSKIE POCZĄTKI OPOLSKIEJ UCZELNI

1 października 1954 r. studia w Opolu – w przeniesionej tu z Wrocławia Wyższej Szkole Pedagogicznej – podjęło 190 studentów pierwszego rocznika, ale też studenci starszych roczników, którzy naukę rozpoczęli we Wrocławiu. Opolska uczelnia oferowała wtedy cztery kierunki studiów: filologię polską, rosyjską, matematykę i fizykę. Wśród studentów wrocławskiej polonistyki, którzy kontynuowali naukę w Opolu, na III roku studiów, była m.in. nieżyjąca już Urszula Dembska (później – dr Urszula Krause, wieloletni pracownik naukowo-dydaktyczny Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, a później Uniwersytetu Opolskiego). To z jej albumu pochodzą zamieszczone niżej zdjęcia.



Luty 1955 r., pierwszy rok akademicki w opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Studenci III roku polonistyki przed siedzibą uczelni przy ul. Luboszyckiej 3



Opole, czerwiec 1956 r., pokój nr 214 nowo oddanego do użytku skrzydła Domu Studenta przy ul. Katowickiej 81 (wtedy – ul. Stalagrodzkiej, dziś DS „Mrowisko”). Po egzaminie magisterskim pierwszego rocznika polonistów. Na zdjęciu, od lewej: Tadeusz Bednarczuk, Irena Rzeczkowska, Edward Kasperski, Maria Ciszewska, Zbigniew Kołodziejczyk, Bronisława Gołąbek, Urszula Dembska



Wrocław, 9 maja 1953 r. Studenci I roku polonistyki tamtejszej Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (w październiku 1954 r. przeniesionej do Opolu) przed wrocławskim dworcem PKP, gdzie w czynnie społecznym porządkują skwer

TAM DOM MÓJ, GDZIE SERCE MOJE

Z dr hab. Teresą Smolińską, prof. UO z Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa, rozmawia Beata Łabutin

Dom, zamieszkiwanie – to zjawiska przykuwające uwagę antropologów kultury i socjologów, którzy coraz częściej spoglądają na przestrzeń domu jak na strukturę nie tyle fizyczną, co mentalną, porządkującą i organizującą obraz świata człowieka. W grudniu zeszłego roku Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa (Katedra Kulturoznawstwa i Folklorystyki) Uniwersytetu Opolskiego był współorganizatorem dużej międzynarodowej konferencji na Uniwersytecie Łódzkim poświęconej kulturowym formom, praktykom i strategiom zdomowienia przestrzeni. Do współpracy naukowej zaproszono etnografów, etnologów, antropologów kultury, folklorystów, a także kulturoznawców i historyków – z nadzieją, że przedstawią materiały z własnych badań empirycznych oraz teoretyczne ustalenia na temat kulturowych wzorów zdomowienia jednostki, eksponując nie tylko tradycyjne wymiary tego zjawiska, ale i nowe perspektywy badawcze.



Prof. Teresa Smolińska (fot. Tadeusz Parcej)

– Świat zmałał. Podróżujemy często, daleko, bez wysiłku, czasem na długo opuszczając dom w pogoni za pracą czy przygodą. Próbuje się stworzyć jego namiastkę na różne sposoby w dość nieprawdopodobnych czasach. Tak było zawsze, tym bardziej tak jest teraz...

– O tym właśnie rozmawialiśmy podczas naszej konferencji w Łodzi. Bo choć motyw domu pojawia się w badaniach socjologów czy antropologów praktycznie od zawsze, to dynamicznie zmieniająca się rzeczywistość, która nas otacza, formułuje coraz to nowe pytania, przedstawia nam zjawiska proszące się wręcz o zbadania i opisanie. Migracje w poszukiwaniu pracy, bezrobocie, tymczasowość zamieszkania, tzw. dwumieszkańczość, bycie w siedliskach, również konsumpcja przestrzeni na styku miasta – wieś to tylko niektóre czynniki wpływające współcześnie na proces zdomowienia.

Staraliśmy się objąć naszą refleksją proces zdomowienia szeroko rozumianej przestrzeni – nie tylko domu czy mieszkania, co jest oczywiste, ale i przestrzeni pozadomowych, często mających charakter półprywatny. Interesowały nas nie tylko takie miejsca, typowe dla mieszkańców miasta, jak klatka schodowa, brama kamienicy, plac przed blokiem, klub seniora, działka, opuszczony budynek, warsztat pracy, biuro, ale i, że tak to nazwę, konsumpcja przestrzeni pozamiejscowa, a w sensie geograficznym i pozaeuropejska (Ameryka Południowa, Afryka). Chodziło nam o każde miejsce, jakie człowiek oswaja, za-

mieszkując je, czy nawet zawłaszczając, tym samym personalizując tę przestrzeń, emocjonalnie identyfikując się z nią i umacniając te więzy.

– Po co zdomowiamy, czy może lepiej – udomowiamy, coraz to dziwniejsze, coraz mniej spodziewane miejsca? By poczuć się bezpiecznie?

– To najprostsza i najlepsza odpowiedź. Gdziekolwiek byśmy nie byli, chcemy się poczuć u siebie. Bardzo wyraźnie to widać na przykładzie osób wyrwanych ze swoich oswojonych, zdomowionych przestrzeni z powodu klęsk żywiołowych czy – nazwijmy to – awarii cywilizacyjnych, jak na przykład katastrofa atomowa w Czarnobylu. Właśnie o tym mówiła jedna z prelegentek. Ofiary katastrofy czarnobylskiej nie tylko musiały opuścić swoje domy, ale i nie mogły stamtąd zabrać legalnie praktycznie niczego – ani sprzętów, ani pamiątek, ani ukochanych zwierząt domowych. No to przemyśleli najdziwniejsze rzeczy. O ile zrozumiałe były próby przemylenia do nowych miejsc rodzinnych dokumentów, ikon czy nawet garstki ziemi z grobów przodków, o tyle – nie wiem, czy tak to mogę oceniać – typowo wschodniosłowiańskim symbolem wydaje mi się zabieranie... drzwi domostw.

– Drzwi, które wyrwane z kontekstu prowadzą donikąd... Bo przecież już nie do domu.

– Słusznie pani zauważa, że same *drzwi wyrwane z kontekstu prowadzą donikąd*, ale choć zabrakło tu granicznego progów, to i tak ocalał jakże charakterystyczny symbol. Chodzi tu o granicę, o przeniesienie, zabranie ze sobą aury domu, aury swojej bezpiecznej przestrzeni, zabranie jej ze sobą przy pomocy jakże czytelnych symbolicznie drzwi do nowego, swojego życia. Te drzwi postawione w nowym mieszkaniu (a konkretnie oparte o ścianę) pozornie tylko prowadzące donikąd, dawały namiastkę dawnej przestrzeni, choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa, swojskości, bycia u siebie. Jeśli wchodzi przez swoje drzwi, to znaczy, że wchodzi do siebie, przekraczam tym samym próg, który – przypomnijmy – w tradycyjnej kulturze tak często był głównym bohaterem wielu obrzędów przejścia, a szczególnie tych rodzinnych.

Dla wysiedlonych z Czarnobyla te symbole miały wielkie znaczenie także dlatego, że zostali odrąceni nie tylko przez obcych, na których trafili w wyniku przesiedlenia,

ale także przez rodzinę, krewnych, powinowatych czy znajomych, którzy – bojąc się skutków napromieniowania – nie chcieli ich do siebie przyjąć, wręcz nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego, nazywając ich świetlikami... Wysiedleńcy stracili więc swoją przestrzeń w sensie materialnym, ale i emocjonalnym, co było dla nich bardzo trudne do zniesienia. Co ciekawe, badaczka przedstawiła udokumentowane przypadki śmierci niektórych takich osób, czasem wcale nie w podeszłym wieku, których nie potrafiono wyjaśnić z medycznego punktu widzenia. Umarli bez widocznej przyczyny – z tęsknoty i poczucia wszechobecnej pustki.

– Wspomniała Pani, że niezwykle umiejętnie swoją przestrzeń, którą mają do dyspozycji, zdomowiają kierowcy tirów.

– To bardzo ciekawy wątek. Mówiła o nim młoda badaczka z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, która – poświęcając urlopy – spędziła wiele tygodni, podróżując z kierowcami wielkich ciężarówek nie tylko po Polsce, ale i po Europie.

– Co zobaczyła podczas tych podróży? Przysłowiowe paprotki w kabinie ciężarówki? Rodzinne fotografie?

– O, to tylko jeden z aspektów zdomowienia przestrzeni przez kierowców. Oczywiście są w kabinach tirów zdjęcia dzieci, żon, nawet psa, jakieś ulubione bibeloty. Jest tam leżanka, w innym kącie stoliczek, szafka na ubrania, kolejny kąt jest ewidentnie przewidziany jako strefa higieny, inny to miejsce przygotowywania posiłków i tak dalej. Nieduża przestrzeń jest bardzo umiejętnie zagospodarowana, wypełniona sprzętami i narzędziami, jakie widzimy w domach, w mieszkaniach, wykorzystany jest każdy centymetr kwadratowy, wszystko się mieści. Zminiaturyzowane mieszkanie po prostu. Jednak najistotniejsze wydaje się coś innego – bycie z rodziną, bycie w domu, mimo dzielącej od niego odległości.

– Bycie w domu wówczas, gdy czeka się godzinami, na przykład na granicy, albo na rozładunek towaru gdzieś na drugim końcu Europy?

– To kwestia organizacji czasu. Badaczka przedstawiła przypadki kierowców, którzy tak organizują sobie podróże,

by na przykład nie tylko porozmawiać z najbliższymi, z żoną przez *skype'a* (żeby przypomnieć o konieczności załatwienia różnych spraw terminowych itp.), ale i – po południu móc przepytac dzieci z lekcji, przypilnować je zdalnie, gdy żony nie ma w domu, bo na przykład poszła do fryzjera. To z jednej strony zabezpieczenie swojego miejsca, swojej pozycji w rodzinie, a z drugiej – obrona przed samotnością. Taki sposób życia w trasie pomaga im pogodzić się z tym, że fizycznie są poza domem, pomaga oswoić oddalenie. Starają się funkcjonować tak, by – chociaż są setki, tysiące kilometrów od domu – żyć tak, jakby w nim byli.

– Część badań, których wyniki przedstawiono w Łodzi, objęła kobiety pracujące na terenie budowy Elektrowni Opole w Dobrzemiu Wielkim.

– Autorka, etnografka z Uniwersytetu Wrocławskiego, przebadła dwie grupy kobiet, które znalazły zajęcie przy tej budowie – grupy zupełnie różne. Pierwsza to wysokiej klasy, doskonale wyedukowane specjalistki po technicznych studiach, które przyjechały na tę budowę z racji swoich kwalifikacji, traktują swój pobyt tutaj jako miejsce tymczasowe i ostatnią budowę, co – jak wynikało z badań – powtarzają sobie i swojej rodzinie przy każdej kolejnej wyjazdowej, dodajmy – doskonale płatnej pracy. Te panie stawiają – można rzec – na tymczasowość. Raczej się nie integrują ze środowiskiem, utrzymują też dystans wobec innych grup zawodowych. Jednocześnie starają się podtrzymywać intensywne więzi ze swoimi rodzinami, które generalnie nie akceptują ich nieobecności. Są więc tu, na miejscu, poważnie wyalienowane. Nie zależy im na zdomowieniu przestrzeni, którą zamieszkują tymczasowo.

Druga grupa to kobiety stanowiące personel socjalny, przede wszystkim w hotelach zamieszkałych przez pracowników budowy. W tej grupie wiele jest Ukrainek, które zdomowiają tę swoją tymczasową przestrzeń najlepiej, jak potrafią. Są bowiem w dwójnasób samotne. Po pierwsze – bez rodzin, po drugie – w obcym kraju, z barierą językową utrudniającą życie. Te kobiety próbują stworzyć sobie dom tu, na miejscu, budując namiastki więzi rodzinnych. Spotykają się po pracy, opowiadają o sobie, o rodzinnych stronach, są wręcz wylewne, co z jednej strony bierze się pewnie z ich wschodniosłowiańskiej natury, a z drugiej – po prostu ze strachu przed samotnością. Urządzają też swoje pokoje, ozdabiając je

bibelotami, kwiatkami, fotografiami, figurkami świętych. Pomagają sobie wzajemnie. Gotują, pieką ciasta. Zdają sobie sprawę, że to tylko miejsce pracy, ale chcą w tymże miejscu pracy mieć coś na kształt domu. Oswajają więc swoją przestrzeń, zdomowiają ją.

Zadomowianie przestrzeni to, jak widać na tych kilku zaledwie przywołanych tu przykładach, nie tylko wiele różnych działań, ale też i przedmioty – życie tych przedmiotów i życie wśród nich, powiązania ludzi i rzeczy codziennego użytku, ale też takich ze sfery *sacrum*. Zadomowianie przy użyciu wszelkich możliwych narzędzi czy przedmiotów jest człowiekowi potrzebne, jest konieczne dla jego poczucia bezpieczeństwa, wewnętrznej harmonii, spokoju. Jest jak najbardziej naturalne.

– Mówi się o niektórych z nas, że są domatorami. Myślę jednak, że na swój sposób wszyscy nimi jesteśmy.

– Oczywiście. I realizujemy to w każdym miejscu, w każdym dostępnym, dobry dla nas sposób.

Organizatorami konferencji *Nie tylko w mieście. Kulturowe formy, praktyki i strategie zdomowiania przestrzeni* w Uniwersytecie Łódzkim (5–7 grudnia 2018 r.) byli: Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego; Polskie Towarzystwo Ludoznawcze; Wydział Studiów Humanistycznych Uniwersytetu Karola w Pradze; Instytut Archeologii i Etnologii, Polska Akademia Nauk w Krakowie; Komisja Etnograficzna, Polska Akademia Umiejętności; Instytut Polonistyki i Kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego.

Partnerzy: Komitet Nauk Etnologicznych Polskiej Akademii Nauk (Komisja Antropologii Miasta i Komisja Folklorystyczna) i Muzeum Kinematografii w Łodzi.

LISTY, POLEMIKI

Szanowna Pani Redaktor,

przeczytałem w ostatnim numerze (9–10) „Indeksu” rozmowę Agnieszki Wójtowicz z poetką Ireną Wyczółkowską. Zbulwersowały mnie słowa o ówczesnej opolskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej: *...to była, jak państwo wiedzą, uczelnia, gdzie odbywała się tak zwana negatywna selekcja. Mianowicie, trafiały tu osoby, które nie dostały się na inne uczelnie, albo pochodziły ze wsi i małych miasteczek. Jeśli chodzi o kadre, to nie będę tego komentować. Co tu opowiadać...*

Ze zmarłymi się nie polemizuje, ale... Studiowałem filologię polską w opolskiej WSP niemal w tym samym czasie, co rozmówczyni Wójtowicz, ściślej – rok niżej. Słuchałem wykładów takich profesorów, jak Stanisław Rospond, Stanisław Kolbuszewski, Leon Zawadowski, Józef Kokot. Uczęszczałem na ćwiczenia, prowadzone przez młodych asystentów, którzy wyrosli na wybitnych uczonych, jak Henryk Borek czy Dorota Simonides. A wśród kolegów miałem m.in. znanych później poetów: Bogusława Żurakowskiego, Wiesława Kazaneckiego, Irenę Wyczółkowską, z młodszych m.in. Stanisława Nyczaję i Harrego Dudę. Na moim roku studiował też, starszy od mojego rocznika, pochodzący – o zgrozo – z małej wioski, Jan Goczoł.

Jestem dumny, że studiowałem w Opolu pod kierunkiem wspomnianych Profesorów, dlatego z ogromnym żalem przyjąłem słowa Zmarłej, krzywdzące opolską uczelnię i jej pracowników.

Piotr Obrączka,
student filologii polskiej w opolskiej WSP w latach 1960–1965



Żakinada, rok 1958. Do zdjęcia pozuje Krystian Werner, szef Studenckich Radio-Sygnalów, które powstały w 1957 roku

65 LAT TRADYCJI, 25 LAT UNIwersYTETU

MŁODA UCZELNIA NA STARYCH ZDJĘCIACH

Te zdjęcia wykonał, aparatem Beltica II, w latach 1957–1961, a więc ponad pół wieku temu, ówczesny student matematyki Roman Krajewski, który pomógł także w ich opisanu, podobnie jak Stanisława Giecwicz-Pilarska, Paweł Czupryna i Wojciech Dindorf.



Żakinada na opolskim Rynku, 1958. W tłumie uczestników widoczni (siedzą na ławkach, w pierwszym rzędzie): doc. Władysław Dziewulski (z płaszczem na ręce), rektor prof. Stanisław Kolbuszewski (z łańcuchem na piersi), obok – dr Klara Dąbrowska i dziekan Wydziału Matematyczno-Fizycznego doc. Rościśław Oniszczuk, doc. Władysław Studencki (w jasnym płaszczu)



Inauguracja roku akademickiego 1957/1958 odbyła się w sali posiedzeń Wojewódzkiej Rady Narodowej. Na zdjęciu (od lewej): dziekan Wydziału Matematyczno-Fizycznego doc. Rościław Oniszczyk, rektor WSP prof. Stanisław Kolbuszewski, prof. Witold Kruk-Ołpiński



Wykład ówczesnego prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Tadeusza Kotarbińskiego z prakseologii w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, rok 1959

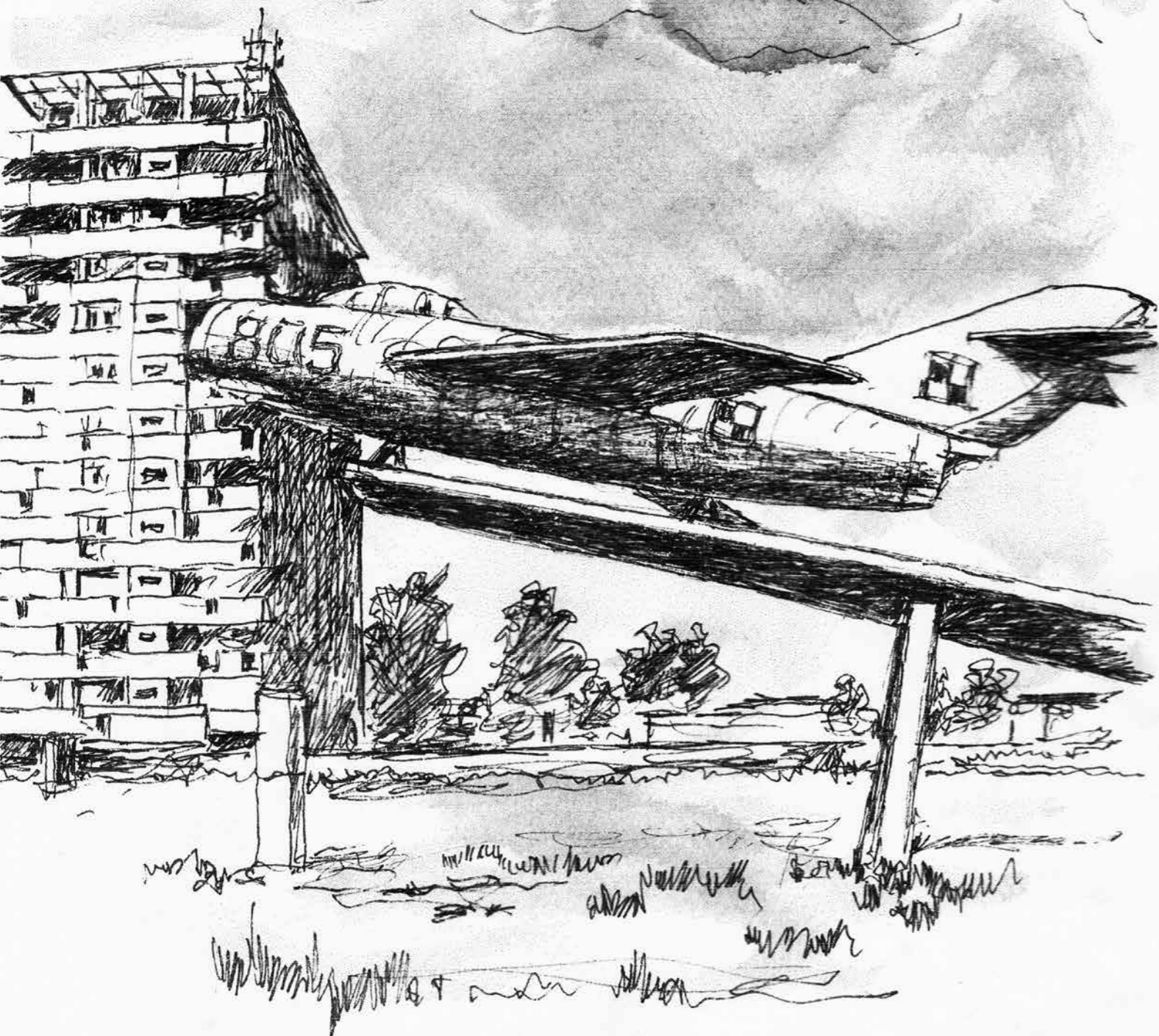


Studenci matematyki porządkujący w czynie społecznym teren przed siedzibą uczelni przy ul. Oleskiej – po oddaniu gmachu do użytku. Na zdjęciu: Edward Kuza, Karolina Kapka, Jadwiga Horodko, Ernest Cebula, Wacława Lenarciak, Paulina Dębicka, Katarzyna Rajczakowska, Romualda Rajczakowska, Jan Śliz, Wiara Andrejko, Edward Salachna, Danuta Rusak, Elwira Szarlonas, Roman Krajewski. Wiosna 1959 roku



Studenci podczas zajęć Studium Wojskowego (w każdy czwartek, przez całe studia). Na zdjęciu: pluton studentów IV roku matematyki, pierwszy z lewej – por. Jerzy Więcek (taktyka). W tych czasach szefem Studium Wojskowego był płk Mieczysław Galiński, a wykładowcami, oprócz wspomnianego por. Jerzego Więcka: kpt. Tadeusz Cieszyński (terenoznawstwo), kpt. Władysław Szarek (szkolenie ogniowe i broń), kpt. Adam Sala (musztra i walka na poligonie w Winowie)

Rok 1968. Na opolskim rondzie przy ul. Książąt Opolskich niespodziewanie pojawił się samolot (rys. Andrzej Hamada)



OPOLE 1968

A. HAMADA 0118

ANDRZEJ HAMADA

SAMOLOT NA RONDZIE



To była wielka sensacja, która poruszyła mieszkańców Opola...

W 1968 r. na rondzie przy ulicy Książąt Opolskich niespodziewanie wylądował samolot! To była wielka sensacja, która poruszyła mieszkańców Opola. Ale szybko się okazało, że nie wylądował, lecz ustawiono go tam na środku ronda, na specjalnym postumencie startowym, jako dar Wojska Polskiego. I był to prawdziwy samolot myśliwski, jakiś MIG. Teraz można było go oglądać i podziwiać z bliska. Stał ten MIG na nowym, dopiero co zbudowanym, pierwszym w Opolu rondzie, które też było w Opolu rewelacją – dumni mieszkańcy chodzili specjalnie po to, żeby je oglądać.

Nastąpiło wielkie usprawnienie komunikacji, bo wcześniej było tu normalne skrzyżowanie ulic, ale o największym w Opolu nasileniu ruchu. Ulica Książąt Opolskich prowadziła do naszej cementowni „Opole” i dalej do Zakrzowa, przecinała w tym miejscu ulicę Nysy Łużyckiej, tranzytowy trakt z Katowic do Wrocławia. Tu właściwie kończyło się miasto – przy skrzyżowaniu stała niewielka stacja benzynowa i dalej pola.

Pamiętam dobrze to trudne skrzyżowanie, bo na tej stacji tankowałem w 1962 r. pierwszą w życiu benzynę, po przywiezieniu z Wrocławia mojego nowego, też pierwszego w życiu auta skoda oktavia. W pobliżu stacji

benzynowej mieściła się zbudowana już po wojnie słynna Wytwórnia Ozdób Choinkowych.

Rondo powstało w 1964 r. z inicjatywy, oczywiście, Papy Musioła, który podjął tę budowę, jak to Musioł, w czynie społecznym. Rozpisano harmonogram dla zakładów pracy i robota szła. I ja też budowałem to rondo, z pracownikami Urzędu Wojewódzkiego, bo tam wtedy pracowałem (miło było tak stać opartym o łopatę, gawędząc z kolegami z pracy).

Wkrótce zbudowano przy rondzie wysokie, też pierwsze w Opolu 11-kondygnacyjne „wieżowce” (projektowali je krakowscy architekci: Stefan Golonka i Stanisław Sitariski) oraz siedzibę wojewódzkiej straży pożarnej, według projektu pani architekt Marii Szumlańskiej z Kędzierzyna.

W takim to otoczeniu pojawił się nagle ten sensacyjny samolot.

I zaraz zaczęły się z nim kłopoty. Pierwszy zabrał głos architekt miejski Zbigniew Winogradzki: że to samowola budowlana, że budowanie i stawianie pomników bez pozwolenia budowlanego jest naruszeniem prawa budowlanego i jest karalne – a to przecież jest pomnik. Pomniki podlegają też ocenie wojewódzkiej komisji artystycznej, więc wnioski o pozwolenie budowlane trafiły do komisji. Nie lada był ubaw, komisja więcej rechotała niż opiniowała. W końcu wydała wyrok oddalający wniosek: że to nie jest dzieło sztuki, zatem nie podlega jej ocenie, to jest wehikuł powietrzny, dzieło techniki.

Za tym darem wojskowym stał nie byle kto, bo pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego Zenon Kawecki. Pomimo to sprzeciwu nie słabły: samolot na środku ronda odwraca uwagę kierowców, a to jest zagrożenie bezpieczeństwa, grozi wypadkiem. Wniosek: nie może tam pozostać.

Pojawiły się i pytania: dlaczego stoi zwrócony w kierunku zachodnim? Czy startuje przeciw nadlatującym z zachodu wrogim alianckim maszynom? A może sam szykuje się do ucieczki z kraju na zachód? Bo takie ucieczki wtedy się zdarzały i było o nich głośno w kraju.

Głosy tzw. opinii publicznej się nasilały. I samolot nagle... znikł. Nie wiadomo, jak to się stało – rankiem 1 sierpnia 1968 r. samolotu na rondzie nie ma. I żadnego po nim śladu. Zaskoczenie było ogromne, komentarzom nie było końca. Fama głosiła, że wylądował cichcem gdzieś na jakimś placu w Ozimku.

I tak głośny w Opolu epizod z dziwnym samolotem na rondzie zakończył się.

W kolejnych latach nasze rondo się unowocześniło. Najpierw przed blokiem więziennym stanę dwa wysokie budynki mieszkalno-usługowe (architekci opolscy: Jan Matejuk i Zdzisław Tarwid), zasłaniające nieatrakcyjny widok Aresztu Śledczego. Wreszcie w 1982 r. pojawiła się nowoczesna estakada, dzięki której przelotowa trasa E-40 mogła bezkolizyjnie przebiegać nad rondem. Co zaowocowało żartami, że estakadę po to zbudowano, żeby już żaden samolot nie mógł z ronda wystartować (do ucieczki).

Dziś pierwsze w Opolu, najstarsze rondo z estakadą, nazwane placem Konstytucji 3 Maja, znakomicie usprawnia ruch na tym bardzo ruchliwym skrzyżowaniu.

PRZEWODNIK PO STAROŚCI

Z prof. dr. hab. Adamem Zychem, psychologiem z Instytutu Pedagogiki i Pedagogiki Specjalnej Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu, rozmawia Harry Duda



Prof. Adam A. Zych (fot. Adam Rajczyba)

– Mam przed sobą wydaną w roku 2017, zarówno w wersji papierowej, jak i na CD, wielotomową „Encyklopedię starości, starzenia się i niepełnosprawności” pod redakcją naukową Pana Profesora. Zbiór encyklopedycznych haseł z definicji musi być możliwie kompletny i zarazem komplementarny – hasła wchodzą jedne w drugie, uzupełniają się i jak cegły kształtują w końcu budowlę określonego systemu myślowego. Czy znana jest Panu podobna encyklopedia w Europie lub na świecie, czy też powinniśmy ją traktować jako unikatową, bo jak dotąd prekursorską?

– Była to długo wyczekiwana przez czytelników zbiorowa publikacja encyklopedyczna, a tematyka tej encyklopedii jest na tyle wyjątkowa, że siłą rzeczy kompendium poświęcone starości i starzeniu się, ale i niepełnej sprawności, musi mieć charakter autorski i dlatego też bliskie jest raczej monografii lub podręcznikowi akademickiemu. Profesor Kazimierz Jacek Zabłocki w swojej recenzji na łamach „Gerontologii Współczesnej” (2018, nr 1) napisał: „Encyklopedia ta jest nieocenionym podręcznikiem nie tylko dla studentów medycyny i innych zawodów związanych ze zdrowiem, ale również dla studentów socjologii, psychologii, nauki o zdrowiu, pedagogiki zdrowia, a szerzej nauk zajmujących się ochroną i promocją

zdrowia. O takim podręczniku – *Encyklopedii...*, się marzy, bowiem ujmuje on zwięźle, ale ogarniając całość istniejącej wiedzy o starości, starzeniu się i niepełnosprawności, a zarazem napisany jest przez znakomitych specjalistów, przejrzyste skonstruowany z przystępnym wykładem treści, zaoszczędza to czas żmudnych poszukiwań w innych publikacjach, a zarazem zachęca do dalszego świadomego poszukiwania i do dalszego studiowania”.

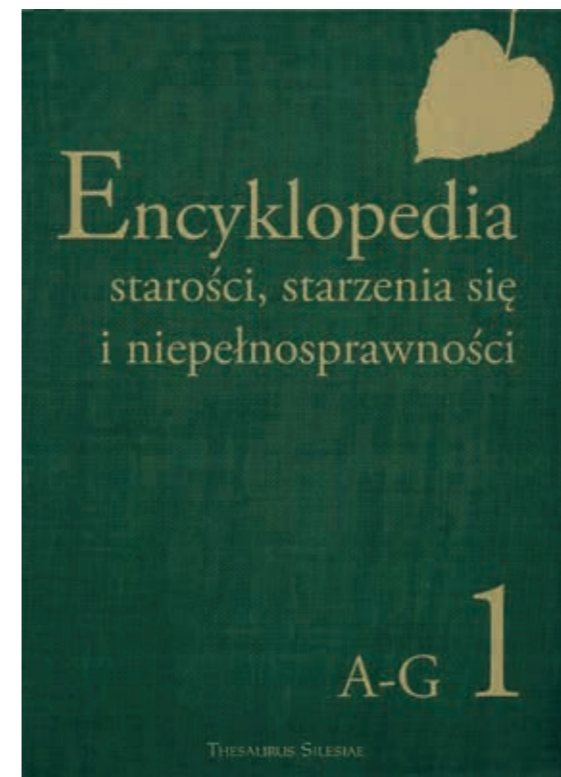
Jak napisałem w *Słowie wstępnym* tej encyklopedii (t. 1, s. 6): „Na światowym tle polski dorobek w zakresie leksykografii gerontologicznej jest bardzo skromny: dysponujemy *Encyklopedią seniora* (1986) i kompendium *300 wiadomości o starości* (1987) Lucyny Frąckiewicz (1926–2009) i Bogny Żakowskiej-Wachelko (1931–2015), dodajmy, że publikacje te ogłoszono drukiem 30 lat temu, zaś z nowszych prac tego rodzaju obecne są *Słownik gerontologii społecznej* (2001) i *Leksykon gerontologii* (2007, wyd. 3. 2017), mojego autorstwa, oraz popularny poradnik *Encyklopedia seniora* (2014).

Podczas międzynarodowych badań, pobytów stypendialnych i studyjnych oraz prowadząc gościnne wykłady w takich ośrodkach akademickich, jak np. Instytut Pedagogiki Specjalnej i Lecznicy Uniwersytetu Justusa Liebiga w Giessen, Instytut Gerontologii w Kijowie, Centrum Starzenia się Uniwersytetu Northwestern w Chicago, Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, Biblioteka Bodlejańska Uniwersytetu Oksfordzkiego czy Niemiecki Instytut Kultury Polskiej w Darmstadt, miałem okazję zapoznać się z dorobkiem leksykograficznym współczesnej gerontologii. W dobie Internetu tego typu publikacje mamy na wyciągnięcie ręki — są one dostępne *online*... Poza klasycznymi już encyklopediami gerontologicznymi, mamy zbiorowe dzieła tematyczne, jak np. *Encyklopedia ageizmu*, czyli dyskryminacji z powodu wieku, *Encyklopedia gerontologii finansowej* lub najnowsza *Encyklopedia geropsychologii*, obejmująca zagadnienia psychologii starzenia się i starości, zatem nasza encyklopedia, rekomendowana czytelnikom „Indeksu”, nie jest czymś wyjątkowym, raczej dochodzimy do powszechnych standardów w zakresie informacji naukowej.

– Widzę to dzieło jako na wskroś nowoczesne, ponieważ jest międzydiscyplinarne i holistyczne zarazem. Dokonuje się w nim sumowania wiedzy o człowieku w rozlicznych aspektach długiego życia, czyli starości. Zapewne wielu czytelników zada sobie pytanie,

dlaczego obok „starości” i „starzenia się” objął Pan tytułem i inspirowaną treścią także „niepełnosprawność”. Co prawda starości w jej ostatecznym przebiegu najczęściej towarzyszy choroba i niepełnosprawność, chociaż nie zawsze, lecz nie każda niepełnosprawność związana jest ze starością. Z czego to zatem wynika?

– Niepełnosprawność osób starzejących się i starych różne ma oblicza. W Polsce, zgodnie z metodologią Eurostatu, pod koniec roku 2014 blisko co druga osoba w wieku 60 lat i więcej została zaliczona do osób niepełnosprawnych biologicznie, czyli takich, które z powodu rozmaitych problemów zdrowotnych miały ograniczoną zdolność wykonywania czynności życia codziennego. Jak wykazał Narodowy Spis Powszechny z 2002 r., co siódmy mieszkaniec Polski (14,3 proc.) był osobą niepełnosprawną, prawie 60 proc. niepełnosprawnych to osoby w wieku 55 lat i więcej. Dodajmy, że częstość występowania niepełnosprawności biologicznej znacząco rośnie po ukończeniu 70. roku życia. Wprawdzie nie należy utożsamiać starości z chorobą, a choroby z niepełnosprawnością, niemniej jednak wiele schorzeń, ujawniających się po przekroczeniu „smugi cienia”, może z czasem prowadzić do niepełnosprawności, dlatego też nie należy lekceważyć stanowiska ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia, którzy uważają, że wśród osób starzejących się może występować zjawisko tzw. ciągu przyczynowo-skutkowego: choroba – uszkodzenie – niesprawność – inwalidztwo, a w konsekwencji niesamodzielność i zależność od innych. Przykładem mogą być choroby lub zaburzenia z kręgu wielkich zespołów czy też problemów geriatrycznych, czyli dysfunkcje, które mogą stać się przyczyną niepełnosprawności funkcjonalnej u osób starzejących się bądź starych. Istotne są również czas powstania, zakres bądź skala, stopień i rodzaj niepełnosprawności. W przypadku osób niepełnosprawnych pojawia się konieczność podwójnego przystosowania się do ograniczeń związanych z niepełną sprawnością i do zmian związanych z własną starością. Z kolei osoby pełnosprawne starzejąc się, w pewnym momencie swego życia muszą się zmierzyć z obniżoną sprawnością, a z biegiem lat niepełnosprawnością, a nawet zniedołężnieniem. Dodam, że ogłoszenie drukiem tej encyklopedii urzeczywistniło się dzięki finansowemu wsparciu, jakiego udzieliły Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w Warszawie oraz Oddział PFRON w Katowicach.



„Encyklopedia starości, starzenia się i niepełnosprawności”, red. naukowa Adam A. Zych, Katowice: Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski, 2017

– Czy Pan proponował lub narzucał określone hasła konkretnym autorom w zgodzie z podjętą wcześniej koncepcją całości, czy też korzystał z propozycji zgłaszanych przez autorów pod ogólne hasło wywoławcze „encyklopedia”? Przy okazji, czy znamy liczbę tych haseł?

– Encyklopedia zawiera ponad 1000 haseł rzeczowych w formie obszernych artykułów i prawie 200 biografów. Zespół autorski tej encyklopedii, liczący 280 osób, na moją prośbę zgłosił wiele nowych haseł, aktualnych w zmienionej demograficznie rzeczywistości.

Układ haseł i przemyślenie siatki pojęć to była trudna sprawa. Rozesłaliśmy zaproszenia do specjalistów. Największy odzew był w środowisku lokalnym, stąd mamy wielu autorów z Opola. Zespół jest świetnym połączeniem uznanych naukowców i praktyków. Nazwiska profesorów Uniwersytetu Opolskiego: ks. Marka Lisa, Mirosławy Nowak-Dziemianowicz, Wiesława Sikorskiego czy Anny Weissbrot-Koziarskiej mówią same za

siebie. A praktycy to np. dr Dorota Piechowicz-Witoń z Opolskiego Centrum Dialogu Obywatelskiego czy dr Zdzisław Markiewicz, dyrektor Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Opolu. Można mieć nadzieję, że wiedza zawarta w tekstach haseł będzie przydatna zarówno osobom starszym, jak i ich opiekunom, a także pracownikom służb społecznych, działaczom samorządowym, studentom kierunków medycznych, społecznych i humanistycznych oraz wszystkim osobom tworzącym środowisko, w którym żyją i żyć muszą osoby starsze lub niepełnosprawne.

– Znam co najmniej kilka przypadków owocnego współistnienia w jednej osobie pasji naukowej i artystycznej, lecz obie te dziedziny są wymagające, zwłaszcza czasowo, i cechuje je jednak dość odmierne podejście do materii słowa. Jak Pan widzi to „współistnienie” u siebie?

– Parafrazując znane powiedzenie: *poetą się bywa...*, mogę dodać: *a mistrzem się jest*. Poezja w czasach, gdy się nią czynnie zajmowałem, nigdy nie przeszkadzała w badaniach czy w pisaniu tekstów naukowych, wręcz przeciwnie – wyczuwała na słowo, co szczególnie jest przydatne w redagowaniu tekstów encyklopedycznych, gdy liczy się precyzja, przejrzystość narracji, ale i oszczędność słowa. Jak zwodniczy może być język, niech świadczy ten oto żart:

Dziadek idzie w wnuczką na spacer. Dziewczynka widzi kota: – Dziadku, czy to kot, czy kotka? – Oczywiście, że kot – odpowiada dziadek. – Nie widzisz, że ma wąsy!

– Znamy różnorodne definicje starości. Przyswoił Pan ogromny obszar wiedzy o niej. Jaka jest zatem Pańska jej definicja?

– Procesy okresu starzenia się należy rozpatrywać wielowymiarowo – z różnych punktów widzenia i w kilku aspektach. W wymiarze biologicznym lub fizjologicznym starzenie się rozumiane jest jako naturalne, nieodwracalne, nasilające się zmiany metabolizmu oraz właściwości fizykochemicznych komórek, prowadzące do upośledzenia samoregulacji i regeneracji organizmu, a także zmian morfologicznych i czynnościowych jego tkanek i narządów. Zatem w znaczeniu fizjologicznym jest to proces pojawiający się wraz z wiekiem, a polegający na stałym zmniejszaniu się aktywności biologicznej organizmu, co przejawia się w mniejszej zdolności do

regeneracji i adaptacji. Z kolei w rozumieniu psychospołecznym starzenie się jest dynamicznym, ciągłym procesem zmian, przebiegającym w czasie, obejmującym nie tylko przemiany fizjologiczne organizmu, ale także zmiany psychiczne i społeczne. Wreszcie w kategoriach społecznych starzenie się jest procesem przechodzenia jednostki przez kolejne stadia cyklu życiowego, z którymi łączą się specyficzne choroby i zaburzenia życia społecznego, czyli starzenie się jest jedną z faz życia, którą można rozpatrywać w aspektach: biologicznym, psychicznym i społecznym. Natomiast starość to nieunikniony efekt procesu starzenia się, w którym kolejno następujące zmiany biologiczne, psychiczne i społeczne zaczynają oddziaływać względem siebie synergetycznie, prowadząc do naruszenia równowagi biologicznej i psychicznej bez możliwości przeciwdziałania temu, czyli jest to końcowy okres starzenia się. Ta wielowymiarowość starzenia się i starości oraz interdyscyplinarne ujęcie tych zjawisk obecne jest w naszej encyklopedii, w postaci bloków haseł rzeczowych. W tomie 3. omówione zostały np. starość jako kategoria naukowa, ale i jako wyobrażenie kulturowe, a ponadto mamy hasła: starość w Biblii i w Biblii hebrajskiej, starość w filmie, filozofii, islamie, judaizmie, w kulturach Wschodu i Zachodu, ale i w nauce Jana Pawła II, w poezji, psychoanalizie, religiach Wschodu etc. Podobnie jest z kategorią starzenia się, która występuje tutaj w takich hasłach, jak: starzenie się komórkowe, starzenie się ludności, starzenie się mięśniowo-szkieletowe czy koncepcja Unii Europejskiej starzenia się w miejscu. Wszystkim zainteresowanym procesami starzenia się, nieuchronnej starości, ale i niepełnej sprawności polecam całym sercem tę wyjątkową publikację encyklopedyczną.

– Najserdeczniej gratuluję tak wspaniale spełnionego dzieła i dziękuję za rozmowę.

Prof. dr hab. Adam A. Zych — z wykształcenia psycholog i pedagog, a z zamiłowania poeta i tłumacz. Jest profesorem zwyczajnym Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu, zajmuje się m.in. gerontologią społeczną, pedagogiką starzenia się i starości oraz psychologią religii. Został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Miasta Oświęcimia oraz wyróżniony przez minister rodziny, pracy i polityki społecznej za nowatorskie działania w zakresie upowszechniania wiedzy na temat starzenia się społeczeństwa polskiego (2015). Otrzymał też honorowy tytuł „Przyjaciel Seniora” (2016), nadany przez Wrocławską Radę Seniorów. Jest pomysłodawcą i redaktorem naukowym pięciotomowej *Encyklopedii starości, starzenia się i niepełnosprawności*, która została ogłoszona drukiem w roku 2017 przez Stowarzyszenie Thesaurus Silesiae – Skarb Śląski w Katowicach.

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

EPITAFIUM DLA KAZIMIERZA KUTZA



10 marca 1997 roku. Doktor *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego Kazimierz Kutz z rektorem prof. Stanisławem S. Niciją (z tyłu prorektor prof. Krystyna Borecka i Kazimierz Sochacki, dyrektor administracyjny). Fot. Jerzy Mokrzycki

Nie żyje Kazimierz Kutz – artysta, polityk, publicysta, jedna z najwybitniejszych postaci wywodząca się ze Śląska, członek naszej opolskiej społeczności uniwersyteckiej.

Uroczystość nadania Kazimierzowi Kutzowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego miała, w odróżnieniu od poprzednich, niezwykle uroczysty charakter. Stało się to 10 marca 1997 r., w pierwszym roku mojego rektorowania. Uważałem, że taka uroczystość, jak nadawanie tej najwyższej godności uniwersyteckiej, nie może być kameralna, że wręczenie dyplomu nie powinno się odbywać w jakiejś małej salce, przy ograniczonej liczbie publiczności. Tak było na naszym uniwersytecie z poprzednim doktoratem *honoris causa* prof.

Gerharda Nickla, anglisty z Uniwersytetu w Stuttgarcie – odebrał dyplom honorowy naszego uniwersytetu w małej salce Klubu Akademickiego przy ul. Nysy Łużyckiej, w obecności około 30 osób. Nikt właściwie w mieście, a tym bardziej w kraju, tego nie zauważył.

Byłem i jestem zdania, że uroczystość wręczenia dyplomu doktora *honoris causa* może i powinna być wydarzeniem medialnym, skupiającym uwagę dużej publiczności. Uniwersytet ma wówczas okazję zademonstrować, jakie wartości sobie ceni, jakie osobowości mogą być drogowskazem i gdzie te wartości można znaleźć. I wtedy postanowiłem, że tu, na Śląsku Opolskim, na młodym uniwersytecie, przyznamy doktorat *honoris cau-*



Kazimierz Kutz i Jerzy Janicki z senatorami Uniwersytetu Opolskiego
(fot. Jerzy Mokrzycki)

sa bodaj najwybitniejszemu żyjącemu Ślązakowi – postaci dynamicznej, wielobarwnej i powszechnie znanej.

Ten pomysł wywołał kontrowersje. Część, zwłaszcza starszej generacji, przekonana, że godność doktora *honoris causa* na uniwersytecie można przyznać tylko uczonemu, intelektualistcie, badaczowi z profesorskim tytułem, twierdziła, że nadawanie tytułu doktora *honoris causa* reżyserowi filmowemu nosi znamiona doktoratu *humoris causa* i ośmieszy nasz młody uniwersytet.

Ripostowałem: Kazimierz Kutz to nie tylko reżyser filmowy, jest to zjawisko w kulturze polskiej, którą w pięknej artystycznej formie potrafił w swych filmach pokazać. Jego wyróżnik to umiejętność ukazania oryginalności kultury śląskiej, folkloru, języka, obyczajów. Ponadto jego wczesny dorobek filmowy, jak choćby słynne filmy, nagradzane na europejskich festiwalach, m.in. *Krzyż Walecznych*, *Ludzie z pociągu*, *Nikt nie woła*, dowodziły, że jest to twórca uniwersalny, głęboko rozumiejący historię Polski. Że Kutz to także świetny rozmówca, błyskotliwy publicysta dotykający w swych wypowiedziach wszystkich najważniejszych problemów, którymi żyła ówczesna Polska – może być więc wzorem obywatelskiej postawy, intelektualnych wyborów i wartości, które trzeba szanować i cenić.

Senat Uniwersytetu Opolskiego przyjął moją propozycję i uroczystość zorganizowaliśmy z wielkim rozmachem. Sam akt nadania tytułu poprzedzony był przeglądem filmów Kazimierza Kutza w kinie „Odra”, w centrum miasta. Codziennie jeden film: od *Krzyża Walecznych* po *Zawróconego*. Każdy pokaz poprzedzony był prelekcją wybitnego filmoznawcy. Przeglądowi towarzyszyła duża wystawa plakatów z filmów i spektakli teatralnych w reżyserii Kazimierza Kutza. W holu głównym uczelni pracownicy biblioteki uniwersyteckiej urządzili wystawę książek i publikacji oraz zdjęć biograficznych artysty. Sama uroczystość odbyła się w dużej, starej auli przy ul. Oleskiej 48 (nie było jeszcze auli na Wydziale Teologicznym) i wzięło w niej udział ponad 600 osób z naszego miasta, województwa i kraju.

Laudację wygłosił prof. Marian Marek Drozdowski, a wśród recenzentów był m.in. prof. Henryk Kluba – rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej w Łodzi, słynnej europejskiej wszechnicy filmowej, reżyser znakomitych filmów, przyjaciel Romana Polańskiego. Na uroczystość przybyli wszyscy ważniejsi aktorzy związani z Kazimierzem Kutzem i jego filmami, m.in. Franciszek Pieczka, Jerzy Trela, Olgierd Łukaszewicz, Anna Dymna.

Uroczystość uhonorowania Kazimierza Kutza tytułem doktora *honoris causa* naszej uczelni stała się swoistym spektaklem pełnym emocji i wzruszeń. Wystąpienie artysty po otrzymaniu dyplomu było bulwersujące. Nosiło tytuł *Polska odwrócona plecami od Śląska*. Całość zarejestrowała Telewizja Polska, a wiadomość o tym wydarzeniu poszła tego dnia we wszystkich głównych wydaniach dzienników, a nazajutrz w najważniejszych gazetach.

Wszystkie późniejsze uroczystości wręczania doktoratów honorowych Uniwersytetu Opolskiego miały podobną oprawę i rozmach, zwłaszcza wyróżnienie Wojciecha Kilara, Zbigniewa Religi, Adama Hanuszkiewicza czy Daniela Olbrychskiego.

Miałem satysfakcję zwłaszcza, gdy główny przeciwnik mego pomysłu wyróżnienia Kazimierza Kutza, wówczas prominentna postać w Opolu, mówiący, że może to być doktorat *humoris causa*, podszedł do mnie po uroczystości i powiedział: *Miał pan rację. Pomyliłem się. Dobrze, że wyszło na pana...*

To wydarzenie miało jeszcze inne, niespodziewane dla mnie konsekwencje. Rok później odbyła się w Teatrze Wielkim w Łodzi uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* równocześnie dla trzech wybitnych polskich reżyserów: Andrzeja Wajdy, Romana Polańskiego i Jerzego Kawalerowicza. Były to pierwsze tytuły doktora *honoris causa* przyznane przez słynną łódzką szkołę filmową. Zostałem zaproszony na tę uroczystość i przeżyłem wielkie zaskoczenie, kiedy celebrujący uroczystość prof. Henryk Kluba – rektor PWSFTiT w Łodzi przywitał mnie specjalnie, mówiąc: *Jest z nami rektor z Opola, który miał odwagę przeforsować, aby doktoraty honoris causa na uniwersytetach dawać także artystom filmowym, który głosi tezę o symbiozie nauki ze sztuką i twierdzi, że artyści znakomicie mieszczą się w formule, jaką wyznaczają europejskie standardy przy nadawaniu tytułów doktora honoris causa.*

Kazimierz Kutz bardzo wysoko cenił sobie nasze opolskie wyróżnienie. Czuł się członkiem naszej społeczności uniwersyteckiej. Gdy tylko miał możliwość, przyjeżdżał do Opola na kolejne inauguracje roku akademickiego bądź na wręczanie dyplomów doktora *honoris causa* w dniu święta Uniwersytetu Opolskiego 10 marca. Miał zawsze przy tej okazji znakomite wystąpienia, bo trudno było sobie wyobrazić, że przyjechał z Warszawy czy Katowic i nie zabrał głosu. Był przecież świetnym mówcą, znakomicie czującym widownię, autorem błyskotliwych *bon motów*. Do legendy przeszły jego wystąpienia w auli na Wydziale Teologicznym, podczas uroczystości nadawa-



Rok 1999, po uroczystości przyznania Tadeuszowi Różewiczowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego. W gabinecie rektora, w gmachu przy ul. Oleskiej, od lewej: Tadeusz Kijonka, nieżyjący już długoletni redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk”, ówczesny wojewoda opolski Adam Pęziół, prof. Dorota Simonides, Krzysztof Zanussi, rektor prof. Stanisław S. Nicieja. Na kanapie, od lewej: Tadeusz Różewicz i Kazimierz Kutz (fot. Jerzy Mokrzycki)

nia tytułów doktorów *honoris causa* prof. Zbigniewowi Relidze i Hendrikowi Fothowi, a zwłaszcza Adamowi Hanuszkiewiczowi, gdy dowcipnie spuentował swą mowę słowami: *ten uniwersytet wyspecjalizował się w dawaniu doktoratów honoris causa osobom wielożennym* (bo Adam Hanuszkiewicz miał trzy żony, podobnie jak Kazimierz Kutz).

Tamto wydarzenie sprzed 22 lat dało mi osobiście wielki dar przyjaźni z Kazimierzem Kutzem. Spotykałem go często. Bywałem zapraszany na jego jubileusze w różnych miejscach, m.in. w teatrze katowickim, gdzie obchodzono jego 80. urodziny) i na promocje jego książek. Byliśmy wspólnie w Senacie Rzeczypospolitej V kadencji. Kazimierz Kutz był wówczas wicemarszałkiem Senatu i często w przerwach zabierał mnie na kawę do swego gabinetu. Rozmawialiśmy o książkach, filmach, polityce, a te rozmowy często kończył zdaniem: *Co mogą zrobić dla Uniwersytetu Opolskiego?*

Wiem od przyjaciół, że tuż przed śmiercią mówił o naszym uniwersytecie i tamtej uroczystości z wielkim sentymentem i zadumą. Pamiętał ją dobrze. Na tydzień przed odejściem wręczono mu doktorat *honoris causa* Łódzkiej Szkoły Filmowej, lecz nie w dużej sali, nie przy okazji wielkiego spektaklu teatralnego, ale w sali szpitalnej, bo był już na łożu śmierci.

Kazimierz Kutz stanowi zjawisko w polskiej kulturze filmowej i teatralnej. Był na swój sposób „osobny”, w pewnym sensie nieakceptowany przez tzw. księstwo warszawskie – tak nazywał krąg Andrzeja Wajdy i tych artystów, którzy w przeciwieństwie do niego nie uprawiali tzw. kina plebejskiego. U Kutza bohaterami są przede wszystkim prości żołnierze, chłopci, robotnicy, górnicy, podczas gdy w filmach Wajdy dominują inteligenci – widzimy ich w takich filmach, jak choćby *Popiół i diament*, *Dyrygent*, *Bez znieczulenia* czy *Panny z Wilka*. Kutz mówił często, że nie pasuje do tzw. warszawki, źle się w niej



Konferencja prasowa z okazji przyznania Kazimierzowi Kutzowi tytułu doktora *honoris causa* naszej uczelni. Na zdjęciu (od lewej): Kazimierz Kutz, rektor prof. Stanisław S. Nicieja, Franciszek Pieczka, ówczesny rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeusz Sławek (fot. Jerzy Mokrzycki)

czuł. Musiał mieć wielką siłę, że potrafił wytworzyć drugi biegun w polskim filmie, nie zważając, jak go warszawski *mainstream* traktuje. Nie bywał na tamtych salonach, nie wyjeżdżał z tamtym kręgiem towarzyskim do Jastarni, Chałup czy gdzieś na Mazury, gdzie spotykali się najbardziej znani polscy artyści.

Znakomicie pokazuje to ostatnia książka Zuzanny Łapickiej *Dodaj do znajomych* (Warszawa 2018). Pozycja plotkarska, wypełniona takimi postaciami, jak: Andrzej Wajda, Janusz Głowacki, Wojciech Pszoniak, Daniel Olbrychski, Andrzej Łapicki, Filip Bajon, Agnieszka Osiecka, Krystyna Janda, Gustaw Holoubek, Maja Komorowska, Krzysztof Krauze, Krzysztof Kieślowski. W świecie tym nie ma Kazimierza Kutza.

Kazimierz Kutz ciężko znosił przemijanie czasu i swoją starość. Jego ostatnie wywiady są wstrząsające, brutalne. Traci w nich umiar w używaniu słów, które można uważać za obelżywe. Schyłek życia przyniósł mu też wielką

klęskę polityczną. On, który w wyborach do Sejmu i Senatu dostawał na Śląsku po kilkaset tysięcy głosów, był przekonany, że to magia jego nazwiska daje mu mandat polityczny. A było tak, dopóki wiązał się z partiami, które święciły w danym momencie historycznym sukcesy, miały tzw. falę wznoszącą. Tak było w przypadku jego startu z listy Platformy Obywatelskiej, a wcześniej z list Solidarności.

Gdy w pewnym momencie Kazimierz Kutz obraził się na Donalda Tuska, uważając, że jego rząd zaniedbuje Śląsk, lekceważy go, przeszedł pod skrzydła partii Palikota i wówczas poniósł w wyborach do parlamentu europejskiego (2014) sromotną klęskę. Jego kontrkandydatem na Śląsku był Jerzy Buzek – dawny premier w rządach AWS, który odszedł razem ze swym ugrupowaniem w niesławie, bo AWS w ogóle nie przekroczyła progu wyborczego, przegrała z kretelem z SLD. Kutz uważał Jerzego Buzka za *nygusa* i polityka o zdolnościach *co najwyżej*



Kazimierz Kutz z Jerzym Janickim i rektorem prof. Stanisławem S. Nicieją (marzec 1997 r.). Fot. Jerzy Mokrzycki

konferansjera – takich określeń używał w czasie kampanii wyborczej. Sądził, że dla niego, na Śląsku, Buzek to żaden konkurent. I tu się straszliwie pomylił. Okazało się, że pamięć wyborców jest krótka. Były premier Jerzy Buzek po kilku latach politycznego niebytu objawił się jako nowy zbawca Śląska. Dostał dużo – 393 tys. głosów, a Kutz, który sądził, że jest *papieżem Ślązaków* – otrzymał tylko około 20 tysięcy. Nawet Janusz Korwin-Mikke dostał trzy razy więcej, bo ponad 60 tysięcy. To był dla Kutza kompletny szok, z którego nie mógł się długo podnieść. Pamiętam, gdy spotkaliśmy się w Warszawie, był załamany. Takie samo wrażenie odniosła prof. Dorota Simonides, bardzo z nim zaprzyjaźniona. Zawalił się jego dawny świat. Podcięło to też jego zdrowie. Zaczął chorować. Zniknął z ekranów telewizyjnych i debat publicystycznych.

Życie ludzkie toczy się po sinusoidzie. Wszyscy mamy wzloty i upadki, dni triumfu, radości i wielkich uniesień, ale też co pewien czas dramatów, poniżeń, klęsk, ciężkich chorób, odejścia bliskich. Kutz tego doświadczył. Ale jego życiowym sukcesem jest to, że zapisał się na trwałe w historii polskiej kultury, filmu, teatru, polityki. Jego pogrzeb na katowickim cmentarzu był wielką uroczystością żałobną. Chowano go w obecności setek

artystów, polityków, ludzi kultury i nauki. Spoczął na tej katowickiej nekropolii obok innych wybitnych artystów, m.in. Zbyszka Cybulskiego, Wojciecha Kilara, Henryka Góreckiego, Juliusza Ligonia.

Na pogrzebie przemawiało 21 osób, m.in. Daniel Olbrychski, Olgierd Łukaszewicz, Leszek Balcerowicz, Adam Michnik. Nie zabrakło tam też naszego uniwersyteckiego głosu. Przy sztandarze Uniwersytetu Opolskiego przemawiała prorektor – prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, przypominając związki Kazimierza Kutza z opolską uczelnią.

Śmierć Kazimierza Kutza mnie zaskoczyła. Byłem wówczas na Węgrzech i nie mogłem przyjechać na pogrzeb do Katowic. A powinienem tam być. Odszedł artysta bardzo mi bliski. Społeczność naszego uniwersytetu straciła jedną z najwybitniejszych postaci w naszej opolskiej rodzinie akademickiej. Jego nazwisko będzie zawsze w annałach historii naszej *Almae Matris*.

Cześć Jego Pamięci!

ROMANTYCZNA I METODYCZNA

Minęły przeszło dwa lata od śmierci dr Danuty Berlińskiej



Dr Danuta Berlińska w Auli Urzędu Marszałkowskiego w Opolu (fot. Grzegorz Gajos)

Od 2012 r. Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach–Opolu, przy wsparciu samorządowej wspólnoty wojewódzkiej oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prowadzi cykl spotkań pod hasłem *Twarze Opola, poświęconych ludziom ważnym dla miasta, muzeum i regionu. Także tym, którzy już odeszli, ale wyraźnie zaznaczyli swoje miejsce w krajobrazie kulturowym Opolszczyzny. Ostatnio do tego grona wybitnych postaci dołączyła zmarła 24 listopada 2016 r. socjolożka – dr Danuta Berlińska, którą przypomnieli jej uczniowie i późniejsi współpracownicy: dr Magdalena Piejko, dr Michał Wanke i dr Anna Czerner. Zresztą już sam tytuł spotkania wiele mówi: Danuta Berlińska – romantyczna i metodyczna. Czego nas nauczyła, co nam pozostawiła?*

Każdy, kto ją znał, odkrywał jej przeróżne niezwykłości – wspomina profesor Dorota Simonides, którą Danuta wspomagała w kampanii wyborczej do Senatu RP po śmierci Edmunda Jana Osmańczyka: Jej osobowość wymykała się standardowym ocenom, gdyż każdorazowo, w różnorodnych kontaktach zadziwiała bogactwem swego umysłu, odkrywczością oceny rzeczywistości, zwracając uwagę na zjawiska w ich nowo odkrytym kontekście, co wynikało z jej wielkiej ciekawości naukowo-badawczej.

Jej prawdziwym powołaniem i sensem życia była bowiem nauka. Od 1980 r. pracowała w Instytucie Śląskim, uczestnicząc w badaniach śląskoznawczych, które kontynuowała później na Uniwersytecie Opolskim. Od początku prezentowała interesujące prace i nowatorskie studia, a gdy po transformacji nastał czas osławiania się



7 czerwca 1998 r. ponad 80 tys. Opolan stanęło wzdłuż trasy A4, łącząc ze sobą dwa krańce województwa w *łańcuchu nadziei* – pomysłodawczynią tej akcji była dr Danuta Berlińska. Na zdjęciu – protestujący przeciwko likwidacji województwa opolskiego pracownicy Uniwersytetu Opolskiego (fot. Jerzy Mokrzycki)

z kategorią mniejszości niemieckiej, dokumentowała i analizowała proces tworzenia tożsamości regionalnej, broniąc odrębności etnicznej Ślązaków. W swej fundamentalnej pracy pt. *Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim w poszukiwaniu tożsamości* (1999), zdaniem prof. Aleksandra Kwiatka, *silniejszy akcent niż inni badacze kładzie na rolę tradycji w śląskim procesie narodowo-twórczym, dając do zrozumienia, iż mniejszość dysponuje własną historią, wcale nie polską i niekoniecznie niemiecką*. Była niezastąpionym ekspertem w sprawach mniejszościowych na Śląsku, nic dziwnego zatem, że została doradcą wojewody ds. mniejszości niemieckiej, włączyła się też w walkę o utrzymanie województwa opolskiego, była jedną z głównych inicjatorek *łańcucha nadziei*, który utworzyli mieszkańcy naszego województwa trzymający się za ręce, łącząc tym samym granice województwa: *Brońmy swego Opolskiego*. Ale była również rzecznikiem prasowym rektora Uniwersytetu Opolskiego w czasie, gdy atakowano go za ratowanie zabytków znajdujących się obecnie na Wzgórzu Uniwersyteckim. Jako rzecznik reagowała nie tylko w prasie, ale walczyła konsekwentnie z falą hejtów w Internecie. *Okazała się wyjątkowo sprawnym rzecznikiem o wielkiej dynamice i odwadze cywilnej, była niezwykle skuteczna, sugestywna i konkretna, umiejętnie broniła racji uniwersytetu* – wspominał rektor

prof. Stanisław Nicieja. – *Nie mogłem się pogodzić, że oto jedna z najbardziej fascynujących, pogodnych i charyzmatycznych osobowości na Śląsku Opolskim odeszła na zawsze*.

Ciekawość naukowo-badawczą, ciekawość świata i wszystkiego, co ją pasjonowało, przenosiła na studentów, z którymi miała znakomity kontakt. Ciągłe zabiegana, rozemocjonowana, a przy tym wyjątkowo wrażliwa na ludzkie sprawy, była – jak to określiła senator Simonides – *rzecznikiem wszystkich poszkodowanych przez transformację, lekarzem wszelakich chorób*. Myślała perspektywicznie, wszak przygotowała nas do aktywnego członkostwa w Unii Europejskiej jako współautorka pracy pt. *Lobbying na rzecz polskich regionów w Brukseli* (2001).

Domeną dr Danuty Berlińskiej była *socjologia w działaniu, nowoczesna, czujna na zmiany społeczne, daleka od demagogii i stereotypów* – stwierdzili promotorzy jej wizerunku w cyklu *Twarze Opola*, uznając za doniosły jej *intelektualny wkład w pełniejsze zrozumienie takich wydarzeń powojennych, jak istnienie Obozu Pracy w Łambinowicach czy, bliższe już czasom współczesnym, konflikty symboliczne związane z procesami upamiętniania ofiar obu systemów totalitarnych*.

(jhn)

CUD-MIÓD

Z dr Izabelą Jasicką-Misiak, adiunkt w Katedrze Chemii Analitycznej i Ekologicznej Wydziału Chemii UO, rozmawia Barbara Stankiewicz



Dr Izabela Jasicka-Misiak (fot. Piotr Musiał Photography)

– Jakież to chemiczne tajemnice można odkryć w łyżce miodu?

– To chemiczny koktajl, składający się przede wszystkim z cukrów prostych: fruktozy i glukozy, jest i trochę sacharozy (najwięcej w miodzie akacjowym). Miód zawiera też niezwykle cenne białka, pochodzące z wydzieliny pszczołich gardzieli. To enzymy, którym zawdzięczamy prozdrowotne właściwości miodów, dzięki nim w miodzie znajdują się duże ilości nadtlenku wodoru, czyli wody utlenionej. Nie bez powodu więc miód jest nazywany naturalnym antybiotykiem. Znajdziemy w nim także związki tzw. lotne, nadające miodom m.in. smak i aromat, należące do grupy terpenoidów.

– A witaminy?

– Wbrew potocznej opinii, witamin w miodzie jest bardzo mało; trochę witaminy C, witamin z grupy B oraz makro- i mikroelementów. Są za to związki ostatnio szalenie modne, o właściwościach przeciwutleniających, które należą do grupy związków fenolowych: proste kwasy flawonowe i flawonoidy – zwłaszcza te ostatnie mają silne właściwości przeciwutleniające, dlatego nazywane są wymiataczami wolnych rodników. Przypisuje się im działanie przeciwnowotworowe, mają też przeciwdziałać powstawaniu innych chorób cywilizacyjnych: autoimmunologicznych czy neurodegeneracyjnych. Dlatego uważa się, że miód jest produktem bardzo wskazanym dla chorych m.in. na chorobę Parkinsona i Alzheimera, choroby, których powodem, jak wskazują badania na-

ukowe, może być nadmiar wolnych rodników w organizmie. Oprócz tych, które organizm sam produkuje i sam zwalcza (bo wytwarza też antyoksydanty), jest narażony na stały dopływ tych związków z zewnątrz. Żyjemy przecież w zanieczyszczonym środowisku, jesteśmy też narażeni na promieniowanie ultrafioletowe i jonizacyjne, do tego dochodzi niewłaściwa dieta, używki, alkohol... Dlatego musimy sobie pomóc poprzez zażywanie suplementów i spożywanie jak najmniej przetworzonej żywności – tu nieocenione są produkty pszczele, a wśród nich właśnie miód.

– Jak się zaczęła ta przygoda Katedry Chemii Analitycznej i Ekologicznej z miodami?

– Mój mentor, prof. Paweł Kafarski, doktor honorowy naszego uniwersytetu, ma kolegę, chemika, pana Zdzisława Zieniewicza, który jest zapalonym pszczelarzem – to on właśnie zaraził nas tym tematem. Pierwsze prace dotyczyły opracowania metody, która – tak nam się wtedy wydało – zastąpi tradycyjną, stosowaną przez pszczelarzy metodę określania rodzaju miodu. Pszczelarze obserwują swoje pszczoły, często wywożą je w okolice, gdzie rosną konkretne miododajne rośliny, np. na wrzosowiska. Wiedzą więc, że w zebranych przez pszczoły miodzie powinny dominować pyłki np. wrzosu. Potrafią też określić rodzaj miodu, kierując się jego smakiem i barwą. Nie są to jednak dane pewne. Dlatego od lat stosuje się tzw. analizę pyłkową. Miód jest badany pod mikroskopem, wprawny laborant liczy kwiatowe pyłki i ustala, które z nich dominują. To bardzo stara metoda, wymagająca dużej wprawy i wiedzy, trzeba posiłkować się specjalnymi albumami zawierającymi opisy pyłków różnych roślin, różniące się między sobą wielkością, kształtem... I tu pojawia się pytanie: a co, jeśli pyłek dominujący pochodzi z innej strefy klimatycznej, bo np. miód przywieziono z dalekich Indii? Trudno sobie wyobrazić klucz, który zawierałby pyłki roślin z całego świata. A poza tym, laborantów przygotowanych do tej pracy jest niewielu (tu muszę wspomnieć o zaprzyjaźnionym z nami dr. Dariuszu Teperze z Laboratorium Badania Jakości Produktów Pszczelich w Puławach, z którym współpracujemy od lat). Pojawiła się więc potrzeba wypracowania innej, bardziej uniwersalnej metody oceny rodzaju miodu.

– Podkreśliła Pani, że początkowo wydawało się, że będzie to metoda eliminująca starą, tradycyjną...

– Tak myśleliśmy, jednak okazało się, że obie metody efektywnie się uzupełniają. Najprościej mówiąc, my szukamy w miodach tzw. markerów botanicznych, obrazo-

wo mówiąc: *chemicznego odcisku palca* typowego dla poszczególnych miodów. Pierwsza ścieżka tej metody to szukanie pojedynczych związków chemicznych, specyficznych dla danego gatunku miodu. Następnie, poprzez chemiczne analizy składu, konstruujemy profile przypominające trochę kod kreskowy produktu spożywczego – tu nie szukamy już pojedynczych związków chemicznych, ale grup związków. I określamy, które grupy są dominujące w danym miodzie. Trzecia ścieżka to analizowanie dużego zbioru danych, pod kątem różnych cech, metodami statystycznymi – efektem tej pracy są tzw. mapy cieplne, przypominające kod QR. Ale, jak wspomniałam, te badania chemiczne i tradycyjna pyłkowa metoda wzajemnie się uzupełniają. Teraz np. badamy mało popularne miody: nostrykowy, koniczynowy, nawłociowy, faceliowy... Ze względu na małą popularność nie figurują one w *Normie polskiej* (odkąd weszliśmy do Unii Europejskiej ta norma już nie obowiązuje, ale musimy się do jakichś danych odnosić), zatem nie ma ustalonych procentowych zawartości pyłku przewodniego. I tu z pomocą przyszedł nam wspomniany dr Dariusz Teper, który zbadał te miody pod mikroskopem, dzięki czemu przyjeśliśmy, że np. o miodzie faceliowym możemy mówić wtedy, gdy zawartość pyłku facelii jest większa niż 45 procent.

– Tylko 45 procent?

– Nie ma miodu czystego, tzn. w stu procentach wrzosowego na przykład. Nawet wtedy, gdy ule ustawimy na wrzosowiskach, bo nie da się przecież zmusić pszczoł do zbierania pyłku tylko z jednej rośliny... Za miód lipowy na przykład uważamy miód, w którym zawartość pyłku lipy sięga 20 proc. – co oznacza, że pozostałe 80 proc. jest mieszkanką różnych pyłków, ale dominującym jest pyłek lipy.

– Chemicy określają rodzaj miodu skomplikowanymi metodami, tymczasem pszczelarze piszą po prostu na etykietce: „Miód lipowy”. Oszukują?

– Odkąd zawodowo interesuję się miodami, poznałam wielu pszczelarzy, wielu z nich staram się służyć pomocą, często jestem zapraszana na ich zjazdy... I jestem pełna podziwu dla ich pracy i wiedzy. To ludzie z ogromnym doświadczeniem, to prawdziwe skarbnice wiedzy wynikającej z codziennych obserwacji przyrody. Oni dbają o swoje pszczoły, to ich pasja, bacznie obserwują, z jakiego pożytku korzystają, wiedzą, jakiej barwy, konsystencji i smaku są zebrane przez nich miody. Wiedzą dokładnie, jak cenną wskazówką, pomagającą określić rodzaj mio-

du, jest czas jego krystalizacji. A skoro już o krystalizacji... Konsumenty, niestety, chętniej sięgają po miody „wieczne” płynne – bo łatwiej się je nabiera łyżką...

– Dlaczego – niestety?

– Bo to jest właśnie oszustwo. Dobry jakościowo, naturalny miód od momentu wyjęcia go z ula powinien skryształizować w ciągu 3–4 miesięcy (akacyjny do roku), osiągając konsystencję, której tak nie lubimy, tzw. krupiec. Ten proces w produkcji naturalnym jest nieunikniony. Jeśli więc po kilku miesiącach nasz miód jest nadal płynny, możemy być pewni, że jest sfałszowany, najprawdopodobniej dodano do niego bardzo szkodliwy dla naszego organizmu syrop glukozowo-fruktozowy, którym dziś jesteśmy po prostu zalewani. Znajdziemy go w większości sklepowych produktów spożywczych, począwszy od zagęszczanych soków owocowych. Jest to syrop produkowany głównie z buraków albo ryżu. Nie waham się nazwać go toksycznym, przyczyniającym się do rozwoju cukrzycy, miążdżycy, nie mówiąc już o otyłości. I niestety czasem taki syrop można znaleźć właśnie w tym „wiecznym” płynnym miodzie. Zwłaszcza trzeba uważać na produkt konfekcjonowany przez firmy wprowadzające na rynek miód będący mieszkanką miodów sprowadzanych z zagranicy – dziś najczęściej z Ukrainy, do niedawna głównie z Chin i Indii. Jako konsumenci mamy prawo wiedzieć, skąd produkt pochodzi, chcemy też być pewni, że jego jakość jest wysoka. Wśród badań chemicznych, jakie przeprowadzamy, jest więc także określanie markerów pochodzenia geograficznego – bo substancje chemiczne produkowane przez rośliny są typowe dla konkretnej strefy klimatycznej, w jakiej rosną.

– Bywa niestety i tak, że pszczelarze – wiedząc o naszym upodobaniu do miodu płynnego – przed sprzedażą podgrzewają go w wysokiej temperaturze. Miód się rozpuszcza, tracąc przy tym swoje cenne, prozdrowotne właściwości. Enzymy ulegają zniszczeniu, powyżej 45 stopni niszczą się też związki polifenolowe... Miód staje się zwykłym słodzikiem. A bywa i tak – co okazuje się podczas naszych badań – że mamy do czynienia z miodem podgrzewanym parokrotnie. Bo nie udało się go sprzedać, więc znowu go podgrzano, żeby poprawić wygląd... Analiza chemiczna takiego miodu wykazuje bardzo wysoki poziom hydroksymetylofurfuralu, co jest dowodem na wielokrotne podgrzewanie.

– To znaczy, że gorące mleko z miodem – przekleństwo mojego dzieciństwa – podawane jako lekarstwo na przeziębienie, żadnym lekarstwem nie było?

– Przykro mi, ale nie. Miód rozpuszczamy wyłącznie w chłodnych płynach, inaczej traci swoje właściwości.

– Pani ulubiony miód?

– To kwaskowaty, bardzo aromatyczny miód nawłociowy, pozyskiwany przez pszczoły z nawłoci pospolitej, rośliny powszechnie w Polsce występującej. To ulubiony miód całej naszej katedry, jemy go od ponad dziesięciu lat i... przestaliśmy się przeziębzać. Pierwszy słoiczek przywiózł nam wspomniany pszczelarz, Zdzisław Zieniewicz, z Borów Dolnośląskich. Okazuje się, że jest to miód szczególnie cenny, co wykazały prowadzone równolegle do moich badania prof. dr. hab. n. farm. Bogdana Kędzi z Poznania, który ustalił, że właściwości antibakteryjne tego miodu przewyższają właściwości słynnego, modnego i bardzo drogiego miodu manuka z Nowej Zelandii. Owszem, miody manuka są wyjątkowe, dlatego że zawierają duże ilości metyloglioksalu, substancji zabójczej dla bakterii *Helicobacter pylori* – w polskim miodzie nawłociowym występuje on w ilościach mniejszych. Ale reszta – to po prostu dobry, wręcz agresywny marketing, którego naszym miodom brakuje.

– Poza miodem nawłociowym, który bardzo lubię, nad którym pracuję (bo badamy miody nawłociowe, jak się okazuje – różne w zależności od tego, w którym regionie kraju występują), i do którego staram się zachęcić naszych pszczelarzy, bardzo lubię też miód wrzosowy i spadziowy, ze spadzi sosnowej.

– Może już pora na własną pasiekę?

– Garnitur pszczelarza już mam, dostałam w prezencie... Pasieki odwiedzam ze studentami, byliśmy m.in. w Maciejowie pod Kluczborkiem, gdzie ostatnie lata życia spędził ks. dr Jan Dzierżon Wprawdzie mąż, powołując się na rodzinne tradycje, namawia mnie na postawienie ze dwóch uli, jednak nie zdecydowałam się. Ja wiem, ile pracy, ile czasu pochłania to zajęcie – to powód, dla którego żywię do pszczelarzy ogromny szacunek.

Dr Izabela Jasicka-Misiak – adiunkt w Katedrze Chemii Analitycznej i Ekologicznej Wydziału Chemii UO. Prowadzi badania z zakresu chemii produktów naturalnych, które koncentrują się na wyodrębnianiu i identyfikacji substancji pochodzenia naturalnego, głównie roślinnego, na ocenie ich aktywności biologicznej oraz możliwościach potencjalnego zastosowania jako suplementów diety, wyrobów medycznych czy preparatów kosmetycznych.

65 LAT TRADYCJI, 25 LAT UNIwersYTETU

MAMY W OPOLU UNIwersYTET!

25 lat temu w Sejmie RP

10 marca 1994 r., na XIV posiedzeniu Sejmu, które prowadziła wicemarszałek Olga Krzyżanowska, poseł sprawozdawca Komisji Edukacji, Nauki i Postępu Technicznego prof. Jerzy Zdrada przedstawił projekt ustawy o powołaniu Uniwersytetu Opolskiego. Po tym wystąpieniu w imieniu poszczególnych klubów parlamentarnych głos zabrali posłowie: Dorota Dancewicz (Sojusz Lewicy Demokratycznej), Władysław Medwid (Polskie Stronnictwo Ludowe), Kazimierz Szczygielski (Unia Demokratyczna), Izabela Jaruga-Nowacka (Unia Pracy), Krzysztof Popenda (Konfederacja Polski Niepodległej), Jerzy Wuttke (Bezpartyjny Blok Wspierania Reform), Joachim Czernek (Mniejszość Niemiecka), Andrzej Lipski (Polska Partia Socjalistyczna). W debacie posłowie wszystkich partii i orientacji politycznych jednomyślnie poparli ten projekt.

Obradom, z sejmowej galerii, przysłuchiwali się ówczesny rektor WSP w Opolu prof. Jerzy Pośpiech, ks. prof. Helmut Sobeczko, prof. Maria Nowakowska, a także senator Dorota Simonides.

Poniższe fotografie wykonano w kuluarach Sejmu, bezpośrednio po debacie i głosowaniu nad powołaniem Uniwersytetu Opolskiego.



Na zdjęciu, od lewej: poseł Jerzy Zdrada gratuluje rektorowi WSP w Opolu prof. Jerzemu Pośpiechowi, z prawej – poseł Joachim Czernek



Na zdjęciu, od góry, od lewej: posłowie – Helmut Paździor, Władysław Medwid, Izabela Jaruga-Nowacka, minister edukacji narodowej Aleksander Łuczak, posłowie – Gerhard Bartodziej i Jerzy Szteliga, w środkowym rzędzie, od lewej – posłowie Jerzy Zdrada i Jerzy Wuttke, prof. Jerzy Pośpiech, ks. prof. Helmut Sobeczko, poseł Krzysztof Wiecheć. W pierwszym rzędzie, od lewej: posłanka Dorota Dancewicz, senator Dorota Simonides, prof. Maria Nowakowska



Na zdjęciu, na dole: posłanka Dorota Dancewicz, premier Waldemar Pawlak, wyżej – poseł Jerzy Zdrada, ks. prof. Helmut Sobeczko, prof. Maria Nowakowska

KRZYSZTOF SPAŁEK

ŹRÓDŁA PRIESSNITZA



Kuracjusze Priessnitza przy jednym ze źródeł leczniczych

W pierwszej połowie XIX w. w środowisku ludzi zajmujących się i propagujących metody wodolecznicze pojawił się Vincenz Priessnitz (1799–1851), który przypominał zapomnianą metodę leczenia, polegającą na polewaniu pacjentów wodą, stosowaniu prostej, pożywej diety oraz wykonywaniu nieskomplikowanych ćwiczeń fizycznych. To jemu również zawdzięczamy nazwę powszechnie używanego prysznica.

Urodził się we wsi Gräfenberg położonej w bliskim sąsiedztwie miasta Freiwaldau na Śląsku Austriackim

(obecnie Czechy). Był samoukiem i pomimo braków w wykształceniu wyróżniał się inteligencją, świętą pamięcią i nadzwyczajnym zmysłem obserwacji. Kiedy Vincenz miał osiem lat, jego ojciec stracił wzrok, chłopiec musiał więc zająć się całym gospodarstwem, nie ukończył zatem żadnej szkoły. Praca na roli pozwoliła mu wnikliwie obserwować przyrodę i podpatrywać życie zwierząt – w pamięci utkwiła mu postrzelona w nogę sarna, która z pozytywnym efektem leczyła codziennie swą ranę w zimnej źródlanej wodzie. Obserwował też

ludzi, którzy zajmowali się leczeniem innych. Udane kuracje zastosowane przez niego u bliskich oraz wśród sąsiadów przyniosły mu rozgłos uzdrowiciela nie tylko na terenie Śląska, lecz również w Czechach i na Morawach. Ludzie nazywali go doktorem ran, ludowym wiejskim chirurgiem, który opatrywał urazy i złamania przy pomocy gąbki moczonej w zimnej wodzie, uważając, że *to nie chłód, który leci, ale ciepło, które wywołało użycie wody ze studni leczy i jest zdrowe*.

Przez całe zawodowe życie był nieświadomym twórcą współczesnej hydroterapii, a metody przez niego opracowane zostały rozpowszechnione przez jego uczniów, którzy opublikowali ponad 200 prac. Byli to przede wszystkim lekarze odbywający w Gräfenbergu studia. Z biegiem lat powstało około stu podobnych instytutów w różnych częściach świata (Niemcy, Francja, Węgry), założonych przez pierwszą generację jego następców. Mimo że wielu lekarzy zarzucało mu brak wiedzy medycznej, w trakcie swoich badań stworzył on podstawy medycyny naturalnej. Wiedział, że woda nie jest faktycznym środkiem leczniczym, lecz pobudza jedynie lecznicze siły, pomaga w cyrkulacji fluidów, wreszcie – wzmacnia ciało i umacnia silną wolę. Temu właśnie podporządkował swoje diagnozy: obserwował skórę pacjenta, jego ciało, posturę oraz reakcje na letnią i ciepłą wodę, a następnie wybierał metody lecznicze, poddając się swej intuicji i doświadczeniu. Nie leczył choroby, lecz chorą osobę. Woda nie była więc jedynym elementem kuracji, gdyż terapia była w konsekwencji kombinacją słonecznych kąpiel, przebywania na świeżym powietrzu, ćwiczeń fizycznych, prostego jedzenia oraz odpowiedniej dawki snu.

W 1822 r. Vincenz Priessnitz w swym rodzinnym Gräfenbergu (obecnie Lázně Jeseník) założył jedną z pierwszych na świecie placówek stosujących wodolecznictwo. Miejsce to wybrał nieprzypadkowo, gdyż w okolicach Jesenika, na zboczach góry Studniční vrch oraz masywów Zlatý Chlum i Křížový vrch, znajduje się unikatowa grupa wód leczniczych. Z ziemi wybija ponad 60 zarejestrowanych i nazwanych źródeł mineralnych, obok których w XIX i na początku XX w. kuracjusze stawiali pamiątkowe pomniki. Jest to jedno z największych skupisk tego typu obiektów na świecie, a są one swoistym świadectwem wdzięczności uleczonych osób i dowodzą niezwyklej skuteczności tutejszych wód leczniczych (na części z nich możemy spotkać niemieckie nazewnictwo).

Najbardziej okazałe pomniki przy źródłach znajdują się w sąsiedztwie Sanatorium Priessnitza. Są to m.in. Český pomník – Böhmisches Denkmal (Monument Czeski), zbudowany w 1874 r. na początku uzdrowiskowej promenady, autorstwa Josefa Václava Myslbeka. Na jego szczycie znajduje się alegoria bogini Higieny, a powyżej ujścia źródła – owalny medalion z podobizną Priessnitza. W niedalekim sąsiedztwie, na jednym z budynków sanatoryjnych, znajduje się odnowiony Domáci pramen – Haus Quelle (Źródło przy Domu) zbudowany w 1839 roku. Obecnie, niestety, już nie tryska z niego źródłana woda. Bardzo okazały pomnik przy źródle znajduje się na stokach góry Studniční vrch – to Rumunský pramen, czyli Rumänische Quelle (Źródło Rumuńskie), ufundowany przez króla rumuńskiego Karola I i wykonany według projektu Eduarda Zelenky w latach 1888–1890. Na stoku Křížového vrcha, w tzw. Ogradach Smetany, znajduje się okazały Anglický pramen – Englische Quelle (Źródło Angielskie), powstały z inicjatywy Angielki Matyldy Deshwood w 1848 r. oraz pramen U Iva – Stadtpark Quelle (Źródło pod Lwem), którego marmurowy obelisk powstał w 1896 roku. Jego oryginalna, niemiecka nazwa została zmieniona po 1945 r. (obecna nazwa nawiązuje do wypływu w kształcie lwiej paszczy). Na stoku Studničného vrcha stoi również pomnik o nazwie Polskie Źródło, który powstał w 1878 r. z inicjatywy redaktora „Czasu” – Edwarda Koźmiana oraz ks. prof. Andrzeja Wygockiego. Jego obudowę tworzy marmurowa stela z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Na stoku tej góry znajdziemy także okazały, postawiony jako jeden z pierwszych, pomnik przy źródle – Priessnitzův pramen – Priessnitz Quelle (Źródło Priessnitza). Przy tym właśnie źródle młody Vincenz Priessnitz w 1812 r. obserwował postrzeloną sarnę, która codziennie moczyła swą ranę w zimnej wodzie. Cztery lata później 17-letni wówczas Vincenz został ciężko ranny przez konia. Przywołany do niego lekarz nie podjął się leczenia, stwierdzając, że nie jest już w stanie mu pomóc. Wtedy Priessnitz przypomniał sobie ranne zwierzę i postanowił wypróbować lecznicze działanie wody. Leczenie trwało rok – całe ciało trzy razy dziennie obwiązywano mu płótnem namoczonej zimną źródlaną wodą. Prócz tego Vincenz pił znaczne ilości tejże wody.

Po wyzdrowieniu, w pełni przekonany o zdrowotnych właściwościach zimnej wody, postanowił zastosować ten sposób leczenia ludzi rannych i po przebytych urazach. Skuteczność terapii była tak wielka, że po niedługim czasie zaczęli do niego przybywać nie tylko ludzie ubodzy,

ale także majętni, z odległych zakątków Europy. Obecnie do kuracji pitnej jest zalecana woda ze źródła Jitřni pramen – Böhmsche Quelle (Źródło Poranne). Pomnik postawiony przy tym źródle pochodzi z 1842 roku. Jego woda jest lekko radioaktywna, dzięki czemu stymuluje i pobudza organizm swym działaniem analgetycznym, czyli przeciwbólowym. Radioaktywność tej wody pochodzi od rozpuszczonego w niej radonu (wody radonowe). Jest to gaz szlachetny, bezbarwny i bezwonny, cięższy od powietrza, łatwo rozpuszczający się w wodzie, zwłaszcza zakwaszonej lub słabo zmineralizowanej. W lecznictwie uzdrowiskowym stosuje się przede wszystkim kąpiele radonowe, rzadziej natomiast inhalacje i kurację pitną. Zabiegi radonowe, szczególnie inhalacje, powodują również u mężczyzn zwiększenie liczby plemników i ich ruchliwości, wynikiem czego jest zwiększenie płodności. Ze względu na promieniotwórczość, radonoterapia ma zarówno wielu zagorzałych zwolenników, jak i przeciwników. W sąsiedztwie Jitřnego pramena znajdują się trzy malowniczo położone pomniki przy źródłach: Josefův pramen – Josephs Quelle (Źródło Józefa), Drahuščin pramen – Drahus Quelle (Źródło Drahuszki) i Müller Quelle – Müllerův pramen (Źródło Młynarza). Ich wody tryskają w kompleksie pięknych lasów bukowych, należących do zespołu kwaśnej buczyny górskiej, która w okolicach Jesenika jest już rzadko spotykana. Są to zbiorowiska zgodne z roślinnością potencjalną, czyli odpowiadającą warunkom klimatycznym, a szczególnie glebom występującym na danym siedlisku. W buczynach tych występuje wiele interesujących gatunków roślin, m.in. efektowna lilia złotogłów, storczyk podkolan biały, przetacznik górski, tojeść gajowa, parzydło leśne oraz spotykany w miejscach otwartych pokrzyk wilcza jagoda. Cała roślina zawiera wiele trujących alkaloidów, z których najważniejszym jest atropina, wykorzystywana obecnie w medycynie. Pokrzyk znany był już w starożytności jako roślina trująca, lecz nie miał zastosowania w lecznictwie. Pierwsze wiadomości o jego działaniu leczniczym podaje średniowieczna zielarka św. Hildegarda z Bingen, zalecając go w nerwobólach. Fuchs podaje opis rośliny, podkreślając jej trujące właściwości nazwą *Solanum mortiferum*, czyli niosącą śmierć. W średniowieczu i w późniejszym okresie wyciągi z pokrzyki stanowiły główny składnik maści oszalałających oraz narkotycznych. Była to tzw. maść czarownic, która była narzędziem wielu zbrodni i samobójstw. W okresie renesansu zaczęto wykorzystywać jej działanie rozszerzające źrenice do podkreślenia

oczu dworskich dam, stąd łacińska nazwa gatunkowa pokrzyki *belladonna* – piękna kobieta. Obecnie atropina wykorzystywana jest w okulistyce jako środek pomocniczy przy badaniach dna oka. Poza tym obszarem miejsca występowania tutejszych leczniczych źródeł porastają zbiorowiska antropogeniczne (ze sztucznie wprowadzoną na początku XX w. monokulturą świerka lub modrzewia na siedliskach buczyn), które charakteryzują się niewielkimi wartościami przyrodniczymi.

Niestety, ponad połowa z pomników postawionych przy źródłach w okolicach Jesenika jest zniszczona lub uszkodzona. Piękny fragment z nieistniejącego już pomnika przy źródle Smrkový pramen – Fichten Quelle (Źródło pod Świerkami) postawionego w 1850 r., można podziwiać w muzeum Priessnitza znajdującym się w części uzdrowiskowej Jesenika (Lázně Jeseník). Istniejące pomniki stanowią ulubiony cel kuracjuszy i turystów licznie odwiedzających uzdrowisko. Już na przełomie XIX i XX w. wydano plany i mapy z ich lokalizacją – *Plan des Quellen Gebietes im Kaltwasser-Curort Gräfenberg*. Dziś prowadzą do nich dobrze znakowane szlaki turystyczne oraz wytyczona w ostatnim czasie ścieżka przyrodniczo-dydaktyczna Vincenza Priessnitz.

W MOJEJ PRACOWNI

PRZESZKADZAŁ TYLKO PIES

Z dr. n. med. Dariuszem Łątką, neurochirurgiem, ordynatorem Oddziału Neurochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu, rozmawia Beata Łabutin



Dr n. med. Dariusz Łątka i jego książka (fot. Sylwester Koral)

Książka autorstwa doktora nauk medycznych Dariusza Łątki, ordynatora oddziału neurochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nosi tytuł „Artroplastyka jako alternatywa spondylodezy w leczeniu dyskopatii szyjnej” i ukazała się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego z końcem 2018 roku. Monografia poświęcona jest artroplastyce szyjnej – stosunkowo

nowej metodzie operacyjnej wykorzystywanej w inwazyjnym leczeniu schorzenia cywilizacyjnego, jakim staje się dyskopatia. Autor, jako jeden z pierwszych polskich neurochirurgów, rozpoczął wprowadzanie w Polsce opisywanej w książce metody leczenia, która na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat stawała się na świecie coraz bardziej popularna.

– **Skąd wziął się pomysł napisania książki? Jest Pan człowiekiem kojarzonym przede wszystkim z salą operacyjną i pionierskimi, czasem niezwykle skomplikowanymi zabiegami neurochirurgicznymi ratującymi ludziom życie i zdrowie, a tu zamiast skalpela pióro...**

– W życiu każdego lekarza przychodzi moment, by się zatrzymać i spojrzeć wstecz na to, co się przez lata robiło, na moment zastanowienia, czy wszystkie te działania miały i mają sens. Książka jest dla mnie taką właśnie refleksją.

– **Która...?**

– Która utwierdziła mnie w przekonaniu, że robiłem i robię rzeczy potrzebne. Poza tym – a może przede wszystkim – książka to sposób na dzielenie się doświadczeniami z innymi lekarzami, zwłaszcza z młodszymi kolegami, którzy dzięki temu nie muszą wyważać otwartych drzwi, a mogą uczyć się na cudzych błędach.

– **Jakim cudem znalazł Pan czas na pisanie, opracowanie książki, dopieszczenie jej? Kieruje Pan oddziałem neurochirurgii, operuje, systematycznie bierze Pan udział w konferencjach i sympozjach specjalistycznych na całym świecie.**

– Faktycznie, z czasem jest zawsze krucho, ale ja mam zasadę, że jak coś zaczynam – cokolwiek by to było – to zawsze doprowadzam do końca. Skoro postanowiłem zebrać swoje doświadczenia i przelać na papier, to już nie miałem wyjścia... Pisałem około półtora roku, wciąż uaktualniając dane. Postęp w medycynie jest bowiem tak błyskawiczny, że pod koniec pracy musiałem uwzględniać napływające bezustannie najświeższe dane z piśmiennictwa specjalistycznego. Mogę zatem powiedzieć, że książka jest tak aktualna, jak tylko być może, to znaczy – odnosi się w momencie wydania do wszystkiego, co w mojej dziedzinie ukazało się do początku 2018 roku. Dostęp do materiałów we współczesnym, skomputeryzowanym świecie jest dość prosty, trzeba tylko wiedzieć, co klikać. Poza tym dużo materiałów wykorzystanych w książce to moje własne dane, zdobyte dzięki własnym doświadczeniom.

– **Mówiąc o swojej książce, zawsze podkreśla Pan, że bez wsparcia by nie powstała. Czyjego wsparcia?**

– Bardzo mi pomógł uniwersytet i osobiście pani rektor Wiesława Piątkowska-Stepaniak, która podczas naszych prywatnych rozmów wskazywała na własne doświadczenia i zachęcała do pracy. Pomagała rodzina, bo na czas pisania moje obowiązki domowe zostały nieco zaniedbane, żeby użyć łagodnego określenia... Przeszkadzał tylko mój pies, bo on żadnego zrozumienia dla neurochirurgii nigdy nie wykazywał, mimo że tłumaczyłem, namawiałem...

A poważnie – jestem głęboko wdzięczny moim kolegom neurochirurgom z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu i współpracownikom z VITAL MEDIC Centrum Leczenia Kręgosłupa w Kluczborku, z którymi od lat dzielę sukcesy i porażki w codziennej pracy na salach operacyjnych, a także neuroanestezjologom, radiologom, instrumentariuszkom, pielęgniarkom, fizjoterapeutom, sekretarkom medycznym i całemu pozostałemu personelowi pomocniczemu, bo – jak od lat podkreślam – neurochirurgia to gra zespołowa i w pojedynkę nic się tu ugrać nie da.

Moja rodzina i przyjaciele okazali daleko idącą wyrozumiałość; ci ostatni powstrzymywali się od kpin, gdy dopieszczałem swoją książkę, zamiast grać w tenisa...

– **Co dla Pana oznacza wydana książka – czy to swego rodzaju podsumowanie dorobku lekarskiego? Krok do habilitacji? Ślad dla potomności? Pierwsza z wielu książek, jakie wyjdą w przyszłości spod Pana ręki?**

– Mam nadzieję, że będzie ona ukoronowaniem habilitacji, bo mam dość spory dorobek naukowy tzw. tła. Monografia, jaką właśnie wydałem, może stanowić osiągnięcie naukowe będące podstawą do ubiegania się o ten tytuł. Książka zyskała bardzo dobre recenzje największych w Polsce autorytetów w tej dziedzinie, więc jestem dobrej myśli. Zobaczymy, co przyniesie nadchodzący rok.

Dla naszego uniwersytetu to pierwsza książka medyczna, więc pękam z dumy i jestem wdzięczny za wszelką pomoc ze strony uczelni. Wydanie tej książki to bardzo ważne wydarzenie w moim życiu, ale też – mam nadzieję – dość istotne w życiu akademickim Uniwersytetu Opolskiego. Myślę, że to dobry prognostyk na przyszłość i że książek tego typu będzie się nakładem wydawnictwa uniwersyteckiego ukazywało coraz więcej.

Wierzę też, że dla mojego syna Kajtka, który dostarczył mi już wielu powodów do dumy, książka będzie inspiracją do dalszej pracy i do kultywowania naszej tradycji rodzinnej w myśl zasady: Minimum jeden neurochirurg w każdym pokoleniu...

W notce promocyjnej Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego czytamy m.in.: „Autor jest jednym z pionierów tej metody w Polsce, dysponującym dużym osobistym doświadczeniem opartym na ponad tysiącu szyjnych mikrodyskektomii z dostępu przedniego, w tym kilkuset w kombinacji z artroplastyką, z wykorzystaniem większości dostępnych na rynku ruchomych systemów protezowania. Praca zawiera wyczerpujące, wszechstronne i krytyczne omówienie zagadnienia na podstawie metaanalizy danych z piśmiennictwa i kilkunastoletniego własnego doświadczenia, prezentowanych w szeregu referatów na krajowych i światowych konferencjach naukowych. Autor formułuje wnioski przydatne nie tylko w ocenie perspektyw dalszego rozwoju tej metody, ale też do wykorzystania w codziennej lekarskiej praktyce neurochirurgia i chirurga kręgosłupa”.

ADAM WIERCIAŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (54)

Rozmowa o języku, o żeńskich i męskich końcówkach w nazwach zawodów. Pytanie: *Ostatnio ktoś mnie przekonywał, żeby zrezygnować z „naukowczyń” na rzecz „uczonych”.* Odpowiedź: *To jest staroświeckie [sic!] słowo i przez to zalatuje albo nie zawsze pożądaną ironią, albo zupełnie niepożądanym patosem: „Uczeni mężowie orzekli...” (Byłem kiedyś mężem kolejarza. Z Michałem Rusinkiem rozmawia Natalia Waloch, „Wysokie Obcasy” 2018, nr 48, s. 44).*

Takie dobre słowo, ciągle zresztą żywotne, nazywać staroświeckim. Czy nie za wcześniej skazywać je na niebyt? Nie można nazywać wszystkich „naukowczyń” – uczonymi całkiem z innych względów. Zabrakłoby przecież „naukowczyń” zasługujących na to miano. „Naukowczyń” i „uczona” to nie to samo. To wcale nie są synonimy. Każdy uczyony jest naukowcem, ale nie każdy naukowiec – uczonym. Uczony to naukowiec ze znakiem jakości. Jak nazwać Stefana Banacha, genialnego matematyka znanego w świecie, twórcę sławnej lwowskiej szkoły matematycznej? „Naukowcem”? Byłoby to określenie co najmniej niestosowne. Banach był uczonym. I to znakomitym. Józef Koźielecki, znany psycholog, uzdolniony pisarsko, napisał o swojej książce eseistycznej: *Jej głównym bohaterem jest Stefan Banach, uczyony lwowski, jeden z najwybitniejszych matematyków mojego stulecia; piszę o nim najobszerniej w szkicu pierwszym* (Józef Koźielecki, *Banach geniusz ze Lwowa*, Warszawa 1999, s. 7). „Uczyony” brzmi tu dobrze i wcale nie zalatuje albo nie zawsze pożądaną ironią, albo zupełnie niepożądanym patosem.

Kiedy „naukowiec” stawał się coraz popularniejszym określeniem pracownika nauki, poważni badacze żartowali złośliwie z tego słowa. Sławny matematyk, Hugo Steinhaus (odkrywca Banacha), pokpiwał: *Naukowiec to taki, co wymyślił ten wyraz!; Naukowiec – nauk owiec.* Wybitny socjolog, Józef Chałasiński, ironizował: *Autorzy tego określenia chyba wyłącznie przez grzeczność z całego stada wybrali skojarzenie z owcą, a nie jej partnerem.* Nawiasem: gdyby kilkadziesiąt lat temu ktoś ośmielił się nazwać prof. prof. Tadeusza Manteuffla, Aleksandra Gieysztorę czy Stefana Kieniewicza – „naukowcami”, zostałoby to potraktowane jako niegrzeczność, jako

próbę pomniejszenia tych wybitnych badaczy i pisarzy historycznych. „Uczyony” to wcale nie słowo z lamusa. A że stało się tak, że „naukowcy” wypierają uczonych i w życiu, i w języku, to rzecz godna zastanowienia. Prawo Kopernika obowiązuje widać i w nauce. Ale uczeni na szczęście ciągle istnieją. To ci, którzy mają często imponujący dorobek naukowy, nazwisko obywające się bez tytułu, a często i legendę za życia. Kariera słowa „naukowiec” mówi też o stanie nauki. W 1967 r. Zenon Szpotański [nie mylić z Januszem Szpotańskim] pisał z zadumą: *Ileż słów w ciągu wieków stało się patetycznymi, jak „cnota”, „uczony”. Teraz żywy język o nich zapomina i tworzy wyrazy pozbawione kształtu i stylu: zamiast „cnoty” – „zalety moralne”; zamiast „uczzonego” – „naukowiec”* (Zenon Szpotański, *O wolności myślenia*, Kraków 1986, s. 100). Ale jeszcze kilka lat wcześniej Zenon Klemensiewicz wyjaśniał, że nie można wyrazów „naukowiec” i „uczony” używać zamiennie. Tłumaczył: *Każdy uczyony jest naukowcem, ale tylko stosunkowo nieliczni naukowcy wnoszą się na poziom uczonego, tzn. pracownika nauki, który zdobyciami twórczego wysiłku przyczynia się do postępu swojej dyscypliny.* I przypominał o stosowności i poprawności stylistycznej: – *niewątpliwie nazwanie Fryderyka Joliot-Curie znakomitym naukowcem jest grubym nietaktem stylistycznym* (zob. *Polszczyzna piękna i poprawna. Porady językowe*, wybrał i opracował Stanisław Urbańczyk, wydanie zmienione i rozszerzone, Wrocław 1966, s. 152–153).

Po co odsyłać do lamusa takie dobre i użyteczne słowo? Jeszcze niedawno pisał Józef Koźielecki o różnicach między uczonymi a naukowcami i martwił się dominacją tych ostatnich (zob. Józef Koźielecki, *Zbyt mało uczonych, zbyt dużo naukowców*, „Nauka” 2009, nr 3, s. 27–35), a Bartosz Brożek rozprawiał o rzemieślnikach i artystach w nauce, i o typach pośrednich: *artysta trochę rzemieślnik i rzemieślnik – trochę artysta: Większość naukowców to zwyczajnie dobrzy rzemieślnicy, którzy małymi krokami, prowadzeni za rękę przez reguły metodologiczne, wyrwywają przyrodzie jej tajemnice.*

Zdarzają się oczywiście także uczeni-artyści, operujący na granicach metody i potrafiący – czasem jedną przenikliwą uwagą czy odważną i zaskakującą hipotezą – wpłynąć

na zmianę kierunku naszych poszukiwań (Bartosz Brożek, *Wzorce piękna*, „Tygodnik Powszechny” 2016, nr 14, s. 47).

Uczyony to nie jakaś tam skamielina językowa, ani synonim „naukowca”, szeregowego pracownika nauki (nazwanie wszystkich „naukowczyń” – uczonymi byłoby nadużyciem), to ciągle jak najbardziej odpowiednie określenie wybitnego badacza. Uczonymi byli Aleksander Brückner, Szymon Askenazy, Stefan Banach, Władysław Konopczyński, Jan Stanisław Bystróż, Julian Krzyżanowski czy Stanisław Pigoń. Z dorobkiem, z nazwiskiem i z legendą. Instytucje jednego człowieka.

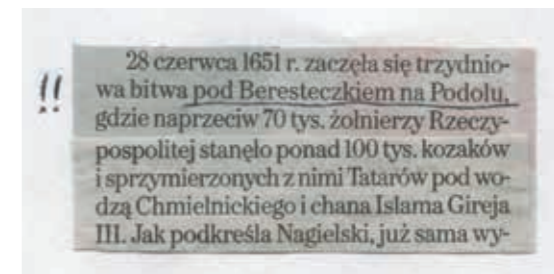
* * *

W dorzecznym felietonie o dzisiejszych policjantach i nauczycielach, o formach ich strajków ostatnich, znalazło się nie pasujące chyba do tego tekstu określenie: *Zawiedli mnie ci uczciwi, porządni nauczyciele, którzy milczeli. [...] Milczał, zdaje się, Nauczyciel Roku 2018, w końcu etyk i filozof. Czemu? A wy, moi przyjaciele belfrzy [sic!], czemuście i wy nie wykrztusili ani słowa?* (Robert Mazurek, *Dzień nauczyciela*, „Rzeczpospolita” 2019, nr 4, s. 40).

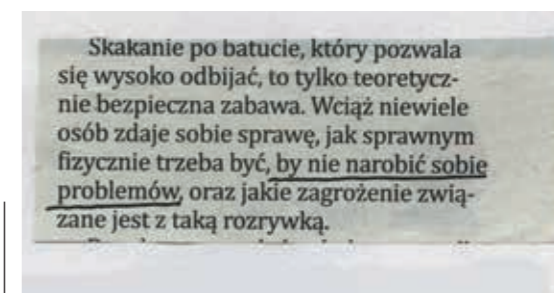
„Belfer” nie nadaje się do nazywania uczciwych i porządnych nauczycieli. To słowo nie jest przecież neutralne znaczeniowo, w słownikach językowych bywa opatrzone kwalifikatorami. Przedwojenni gimnazjaliści ostrzegali się: *Belfrada idzie!* i przerywali sztubackie igraszki. A kiedy indziej śpiewali ze złośliwą satysfakcją: *Oj juchy, juchy, belfry psiajuchy, łotry, gałgany, psy!* Czytelnik „Języka Polskiego” (w 1931 roku) został poinformowany, że zaimki „który” i „co” mogą być stosowane zamiennie, o czym niektórzy miłośnicy języka zapominają: *Trudno to czemu innemu przypisać, jak drewnianości niektórych pedantów nie mogących zrozumieć, że „który”, „która”, „które” nie jest j e d n y m zaimkiem względnym ani „co” w y ł q c z n i e zaimkiem pytajnym; wiadomo, że i w szkołach trafiają się tak uczące... belfry – bo jakże inaczej nazwać takich polonistów?* (zob. *Polszczyzna piękna i poprawna...*, op. cit., s. 364). Skąd to wanie autorstwa odpowiedzi (zapewne Kazimierza Nitscha) przed nazwaniem źle nauczającego polonisty – *belfrem? Belfer* to pogardliwe i lekceważące określenie byle jakiego, nudnego i niezbyt twórczego nauczyciela, podobnie jak „pismak” – dziennikarza, „konował” – lekarza, „klecha” – księdza, „kauzyperda” – prawnika, „pacykarz” – malarza. Jak by to brzmiało – *moi przyjaciele pacykarze, czy moi przyjaciele konowały?*



„Ale Historia” 2019, nr 2, s. 4–5
Koncerz i pałasz pod siodłem? Wolne żarty. Pod kulbaką był czaprak chroniący konia przed obtarciami. Koncerz troczono do siodła od „wsiadanej” (tzn. lewej) strony pod udem towarzysza husarskiego. Pałasz nie był mieczem, broniobitwą określaną tę broń jako pośrednią między mieczem a szabłą; lekko zakrzywiona głownia bywała jedno- i obusieczna. A problem tu też razi.



„Ale Historia” 2018, nr 50, s. 8
Beresteczko leży na Wołyniu, niedaleko stamtąd do Dubna i sławnego Krzemieńca



„Do Rzeczy” 2019, nr 3, s. 41
Po co ten zbędny atrybut powagi stylistycznej? Stosowniejsze byłyby kłopoty.

Tłumaczył kiedyś dziennikarzom nieodżałowanej pamięci Walery Pisarek: *Rzeczownik „belfer” oznacza ‘nauczyciela’, ale jednocześnie wyraża niechętny stosunek do niego. W słowniku znajdziemy objaśnienie: „belfer” – pogardliwie „nauczyciel”. Taką treść ma ten wyraz dla wszystkich, którzy dobrze znają język polski* (Walery Pisarek, *Nowa retoryka dziennikarska*, Kraków 2002, s. 74).

Zapomniał Pisarek jeszcze dodać, że „belfer” może też niekiedy nabrać żartobliwego znaczenia; stanie się tak, gdy nauczyciel powie o sobie: *Mnie, starego belfra, chcesz przechytrzyć?*

Znany polityk litewski tak mówił ostatnio w wywiadzie o Polakach znad Wilii: *Papież Jan Paweł II zaproponował im, aby się uznawali za Litwinów polskiego pochodzenia [sic!]. Dla nich było to raczej nie do przyjęcia. Oni byli już Polakami, a Litwa kojarzyła im się z czymś złym [sic!]. A tu nawet papież mówi im: jesteście Litwinami polskiego pochodzenia. Dobrze, że mówicie po polsku i macie swoją kulturę, ale jesteście Litwinami [sic!]. To było dla nich zbyt skomplikowane. A on mówił to do nich po prostu jako Europejczyk (Byliśmy niewolnikami. (Z Vytautasem Landsbergisem rozmawiał w Wilnie Bogusław Chrabota, „Rzeczpospolita” 2018, nr 51, s. 19).*

Papież miał to mówić jako Europejczyk. A może mówił jak Amerykanin czytany w pracach socjologów rozprawiających o narodzie politycznym, tak różnym od wspólnot językowych i kulturalnych w Europie Środkowej i Wschodniej, gdzie odróżnia się ciągle obywatelstwo od narodowości. Może sekretarze papiescy i tłumacze przejęli się zbyt teoretycznie o narodzie – kategorii fikcyjnej i wymyślonej? Długo by pisać o niefortunnej i źle przyjętej przez tamtejszych Polaków wypowiedzi papieża, o późniejszych próbach tłumaczenia i prostowania. Ale po co dorabiać do papieskiego przejęzyczenia ideologię? Papież do niczego nie przekonywał Polaków stamtąd. Narodowcy litewscy, a często i poważni badacze, że o publicystach nie wspomnę, traktowali Polaków wileńskich jako „opalczonych” przed wiekami Litwinów, których należy jak najszybciej odpolszczyć i umożliwić powrót do korzeni. Język czy świadomość to były dla ideologów mniej ważne wyróżniki. Pochodzenie, i to często tylko wmawiane, było najważniejsze. A tu nagła zmiana. Nazywa się ich, i to powołując się na papieża, *Litwinami polskiego pochodzenia*. A jeszcze niedawno

rozprawiano tam z niechęcią o „spolonizowanych Litwinach” i „tutejszych”, próbowano nawet tworzyć grupę etnograficzną „Wiczów” (mieli do niej należeć nosiciele nazwisk kończących się na -wicz, mówiący z polską po białorusku czy też po polsku z białoruska). O działalności towarzystwa „Vilnija” lepiej nie wspominać. Ale formuła powtórzona przez znakomitego działacza politycznego wcale nie przystaje do rzeczywistości. Litwini polskiego pochodzenia są, a jakże, mieszkają dziś przede wszystkim na Kowieńszczyźnie, koło Kiejdan, Janowa, Datnowa i często nie pamiętają już o swoich przodkach. To wynik polityki narodowościowej niepodległej Litwy prowadzonej przed II wojną światową. A dzisiejsi Polacy litewscy nie wszyscy są polskiego pochodzenia. Przecież nie tylko pochodzenie etniczne, ale i świadomość decyduje o ich przyznawaniu się do polskości. Na pograniczu litewsko-białoruskim przez wieki postępowała sławizacja Litwinów, to prawda, ruszczyli się (tzn. białorutenizowali językowo) tam Litwini, a potem polszczyli niektórzy, ale jednocześnie litwinizowali się i ulegali białorutenizacji Polacy. Paradoksy historii. Nawiasem: któż policzy Polaków, często szlacheckiego pochodzenia, którzy w XIX w. świadomie wspierali litewskie i białoruskie odrodzenie narodowe. Dziś Polacy litewscy noszą nazwiska polskie, litewskie, białoruskie, rosyjskie, niemieckie, a nawet tatarskie. Ale nie zawsze nazwiska, jakże często niemiłosierne zniekształcone, wskazują na pochodzenie nosicieli. Niekiedy są to nazwiska spolszczone (przy zachowanym rdzeniu litewskim czy białoruskim), zlitewszczone, zruszczone i „zreliutuanizowane”. Po co mnożyć byty ponad potrzebę? Na Litwie dzisiejszej – w południowo-wschodniej części, gdzie stanowią większość – mieszkają Polacy, obywatele litewscy. Po co narzucać im zmyślone określenia. I po co budzić demony? Po powstaniu styczniowym rusyfikatory ówczesni odmawiali Polakom na Litwie historycznej prawa do polskości, używali urzędowo takiej formuły: *lica polskago proischożdienija*, z polskością miało ich już łączyć tylko pochodzenie, nie kultura czy świadomość narodowa.

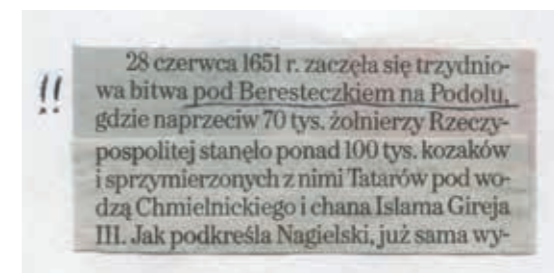
Po co mnożyć byty ponad potrzebę? Jeszcze ktoś przypomni poczynania rusyfikatorów sprzed lat.

Zasłużone wydawnictwo (i to krakowskie!) od tyłu już lat ośmieszka znakomitego pisarza historycznego, Nor-

mana Daviesa, autora sławnej historii Polski – *Bożego igrzyska*. Powtarza z uporem, który trudno zrozumieć, prawie wszystkie potknięcia, zmyślenia i mimowolne pomyłki autora. O historykach wytykających Daviesowi zmyślenia i błędy, redaktor wydawnictwa pisał kiedyś tak: *Nie mogąc znieść jego popularności ani mierzyć się z nim talentem pisarskim, wyżywają się w złośliwych recenzjach, skwapliwie wykazując potknięcia faktograficzne, przekręcone daty bądź imiona panujących. Legion pedantów pracowicie uściślających fakty, sporządzający indeksy, przypisy i erraty jest pożyteczny, ale kreślony przez takich uczonych obraz przeszłości byłby martwą pustynią, byłby może bezbłędny, tyle że mało kogo by obchodził. Dlatego potrzebni są wizjonerzy tacy jak Norman Davies, gdyż tylko oni swoimi śmiałymi syntezami są w stanie poruszyć naszą wyobraźnię, zarysować nowe perspektywy, naprawdę zainteresować nas przeszłością, uczynić z wiedzy historycznej żywy składnik współczesnej świadomości* (Jerzy Illg, *Mój znak*, Kraków 2009, s. 264–265).

Nie znam tych, którzy mieli się wyzywać w złośliwych recenzjach, ale pamiętam rzeczowe, wyważone, napisane z dużą kulturą polemiczną, szkice i noty takich znawców historii i literatury, jak prof. Stefan Kieniewicz, Janusz Tazbir i Henryk Markiewicz. Ale nie chciało się ani autorowi, ani redaktorom, wprowadzić tylu poprawek. A gdzie szacunek dla czytelników, gdzie powinności redakcyjne? Od kilkadziesiąt lat powtarza się w tyłu wydaniach *Bożego igrzyska* zdania, które mogłyby śmieszyć w rubryce dawnego „Przekroju” – *Humor zeszytów szkolnych*. W pierwszym polskim wydaniu dzieła Daviesa znalazły się takie naiwne wypowiedzi: *Kolejna grupa – szlachta zagrodowa – posiadała wprawdzie ziemię, lecz nie miała chłopów pańszczyźnianych i sama musiała uprawiać swoje „zagrody” [sic!]. Pod względem gospodarczym ich pozycja była taka sama jak pozycja chłopów. Niektórzy z nich – szlachta zaściankowa – mieszkali we własnych wsiach, otoczonych murem („ściana”), odgradzającym ich od plebejskiego świata zewnętrznego* (Norman Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tłumaczyła Elżbieta Tabakowska, przekład autoryzowany, Kraków 1989, Wyd. Znak, s. 300).

Jak można uprawiać zagrody – pozostanie tajemnicą autora, redaktorów i tłumacza. Zagroda to dom wiejski z zabudowaniami gospodarskimi; w zagrodzie się mieszka, a uprawia zagony. Ale zdanie o szlachcie zaścian-



„Sieci” 2018, nr 48, s. 88
Już w tamtym czasie, tzn. przed II wojną światową, Brześć stracił swoje wielowiekowe dookreślenie; W Polsce niepodległej Brześć Litewski (ros. Brest-Litovsk) stał się od 1923 r. Brześciem nad Bugiem; zapis ze szkolnego atlasu: *Brześć n. B.*

kowej, mieszkającej we własnych wsiach otoczonych murami [sic!], nadaje się tylko do książki humoru. Żaden propagandzista z lat 50. XX w. by tego nie wymyślił, żaden marksizujący historyk nie zdobył się na takie odkrycie. Zaściankowa szlachta nie budowała nigdy murów, nie musiała ich wznosić, mieszkła często obok siebie; kilka zaścianków mogło stać po sąsiedzku. A ta „ściana” w zaścianku to nie mur, ale granica dzieląca pola uprawne, pojęcie z pomiaru włóczęj z czasów Zygmunta Starego. Inny historyk brytyjski, też znakomity, przeczytał, co trzeba, wie dużo o systemie włóczęj, i wie, co to „zaścianki” (zob. Robert Frost, *Oksfordzka historia unii polsko-litewskiej. Powstanie i rozwój 1385–1569*, przełożył Tomasz Fiedorek, t. 1, Poznań 2018, s. 662).

Jak wyglądała wieś drobnoszlachecka naprawdę? O takiej osadzie na Polesiu pisał Józef Ignacy Kraszewski w latach 30. XIX w.: *Wioska p. Skirmunta za mostem, przedzielona od niej rzeką, jest porządnie pod sznur zbudowana, a nawet nieco wykwintnie; osada zaś szlachecka nie ma prawie ulic, każdy w niej mieszka i buduje się, gdzie chce, na swoim zagonie, każda obórka w inną stronę obraca, każdy dom gdzie indziej patrzy, każdy dziedziniec w inny bok się otwiera, prawdziwy obraz nieładu i swobody szlacheckiej* (Józef Ignacy Kraszewski, *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*, przygotował do druku i wstępem poprzedził Stanisław Burkot, Warszawa 1985, s. 59).

Gdzie indziej przypomina Davies, że drobnej szlachcie nadawano wiele pejoratywnych przezwisk, nazywano takich szlachetków m.in. *zagończykami* (ponieważ musieli sami obrabiać własne zagony) (ibidem, s. 300).

Zagończyk to wcale nie *pejoratywne przezwisko*, zagończycy byli dzielnymi żołnierzami, którzy dokonywali śmiałych wypadów (zagonów) na terytorium nieprzyjaciela. Na nieszczęście dla redaktorów i tłumacza „zagon” ma też inne znaczenie: wąski, długi pas ziemi uprawnej. Drobni szlachcice uprawiający własne zagony byli nazywani zagonowcami. Nawiasem: zagonowcy to było neutralne określenie. Po co powtarzać przez kilkadziesiąt lat zmyślenia i pomyłki za szybko piszącego historyka. Po co mylić *zagonowców* od pług i *zagończyków* od szabli? Po co żartować z czytelnika. A może to nie żarty, może coś jeszcze gorszego? Może nawet redaktorzy zasłużonego wydawnictwa przeoczyli wpadki swojego autora? Jak to pisał Ludwik Bohdan Grzeniewski: *Dzieło konfrontuje czytelnik z rzeczywistością poprzez własne doświadczenia i wiedzę. Jeżeli niewiedza czytelnika dorównuje ignorancji pisarza, wszystko w porządku – błędu się nie dostrzega* (Ludwik Bohdan Grzeniewski, „*Drobiazgów duch, wspaniały i powietrzny...*”. *Szkice o realiach literatury*, wyd. 2 uzup., Warszawa 1981, s. 18).

Zdania przytoczone z *Bożego igrzyska* według wydania z 1989 roku zostały powtórzone bez zmian w roku 2018 (zob. Norman Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, wydanie poszerzone, przekład autoryzowany Elżbieta Tabakowska, t. 1, Kraków 2018, Wyd. Znak, ss. 215, 221).

Zapomniane, zapomniane cnoty redaktorów i wydawców.

KRZYWY ZGRYZ

AGNIESZKA KANIA

BONAPARTE PODBIŁ JAPONIĘ?

Narodowe Centrum Sztuki *Kokuritsu Shin-Bijutsukan* w Tokio wygląda jak fala tsunami. Jak grzywacz, co odebrał się morzu i zatrzymał koło cmentarza tam, gdzie wcześniej stał uniwersytet. Galeria ze szkła, betonu i stali prezentuje nowe trendy, ale i to, co było dawniej.

W 2018 r. gościła sam Luwr. Ponad setkę znakomitości. Same arcydzieła. Sztuka lubi rejsy statkiem i wycieczki po okolicy. Ale podróż Paryż–Tokio to coś więcej niż weekendowy wyskok. Namalowane kurtyzany, panny służące i podręczne, praczki, cerowaczki i kuchenne cisnęły się w samolotach Air France. Natomiast *contessy*, diuszesy i cesarze lecieli królewskimi liniami duńskimi. Ta śmietanka towarzyska spędziła w Japonii całe lato. Podobnie zresztą, jak przybyłe francuskimi liniami niższe sfery.

Wystawę oglądałam ze spóźnialskimi, ostatniego dnia. Bilet kosztował 1600 jenów, tyle co *ramen* – rosół z jajkiem i glonami na stacji *Shibuya*. Sporo osób odjęło sobie od ust miskę zupy i przyszło zobaczyć sławnych paryżan. W salach na parterze szeleściły spodnie z plisami pożyczonymi od samurajskich strojów – *hakama*, czerniły się włosy i jaśniały policzki. Przeważali widzowie o azjatyckich rysach twarzy: powściągliwi, wyciszeni, ze smartfonami w dłoniach. Turyści z Europy, Australii i obu Ameryk woleli w tym czasie zwiedzać pałace szogunów. Byłam ciekawa pomysłu kuratorów na *Portrety z Luwru*. Co zaakcentują? Kogo wyróżnią? Docenią wieloznaczność? Zwrócą uwagę na niedomówienia? Poznają się na żartach? Rozgryzą malarskie dowcipy?

SZATAN I KOKIETKA

Rozgryżli. Między powagą i patos wetknęli figlarzy. W zielonym pokoju rozgościł się Giuseppe Archibaldo (1527–1593). Gdy w 1563 r. ułożył popiersie z kwiatów i podpisał *Wiosna*, to czegoś mu brakowało. Domalował więc pompon z lilii, guziczek z irysa i przekłuł różane ucho kolczykiem. Lecz wciąż było zbyt dosłownie. Szybko zatem zabrał się za *Jesień*. W miejscu nosa powiesił pękatą gruszkę, czoło zrobił z cebuli, a z rajskiego jabłuszka

kroste na policzku. Do tego jeszcze najeżony kasztan udaje usta, dynia – mózgownicę, lubczyk natomiast pogrubia bokobrody, bujne, jak u Habsburga. Jednak nic nie przebije muchomora. Dorodny, z wygiętą nóżką, truje coś do ucha.

Podobno żona zatruwała życie Antoinowi Vestierowi (1740–1824). Flirtowała, bałamuciła lokajów, więc gdy poprosiła o portret, artysta, owszem, skrupulatnym pędzlem odmalował jej rzęsy i loki, dopieścił różem biust, uszył z bieli koronki, a z purpury gorsecik, doczepił pióra do kapelusza i udrapował aksamitną spódnicę. Po czym sam ukrył się za kotarą. – Będę cię mieć na oku, złotko – zdaje się mówić z portretu. W tokijskiej galerii pilnował swojej blond kokietki, ale zezował też na ciemnowłosą Giocondę, która pojawiła się po przekątnej, w tej samej sali.

KSIĄŻĘ DO WZIĘCIA

Kiedy w 1816 r. inny Antoine – Jean Gros (1771–1835), też malarz, dostał zlecenie na Marię Teresę Charlottę Burbon (1778–1851), córkę Marii Antoniny i Ludwika XVI, aż podskoczył z radości. Od dawna marzyła mu się księżniczka.

Pewnego dnia przyszła. Korpulentna, lecz nie zwalista. Smutna, lecz nie żałosna. Mówiono, że zgrzyliwa.

Trudno się jej dziwić. Jako dziecko widziała konającą siostrę i wyjącego z bólu brata, który umierał na gruźlicę kręgosłupa. W 1793 r. rewolucjoniści zgilotynowali jej rodziców, a ona trzy lata odsiedziała w wieży Temple. Wgnana z Francji przybyła do Wiednia. Ale obraziła się na ciotki i wujków Habsburgów. – Nie ruszyliście palcem, gdy matkę i ojca wlekli na szafot – żaliła się. – A teraz chcecie mnie wydać za jednego z waszych? Nie wyjdę za żadnego Habsburga! – uparła się i Austriakom przeszedł koło nosa taki posąg!

Madame Royale, bo tak nazywano Marię Teresę, posłuchała za to Ludwika XVIII. – Księżę Angoulême jest do wzięcia – szepnął jej kiedyś od niechcenia. – Ten chorowity? – Ale bystrzak. Przy nim będziesz królową Francji.



Antoine-Jean Gros, portret Marie Thérèse Charlotte

I była. Pech chciał, że panowała jakieś 20 minut. Jej mąż już po kwadransie zrzekł się korony na korzyść bratanka. – Niedojda – prychnęła ponoć obrażona. – Cenię sobie głowę, moja droga.

Czy Maria Teresa Charlotta wiedziała wcześniej o impotencji wybranka? I czy była mu wierna?

A może było tak.

Do atelier Grosa przychodziła wypudrowana, obwieszona klejnotami (w listopadzie 2018 r. kilka jej wisiorków, kolczyki, naszyjnik i tiarę sprzedano na aukcji w Genewie za 54 mln franków szwajcarskich). I co dzień zjawiała się w innym stroju. – Zlituj się pani! – złościł się artysta. – Jak mam cię malować? Zostaw suknię w pracowni. Już ja się o nią zatroszczę.

Chwilę się zawahała, lecz odpięła guziczek.

Po spotkaniu starannie składał szatę – złotym deseniem na zewnątrz, zamykał w kufrze i przekręcał kluczyk. Następnego ranka misterium drapowania, sznurowania, wywijania staniczka i poprawiania koronek zaczynało się od nowa. Malował powoli...

Pewnego dnia służąca przyniosła mu liścik. Już z daleka wyczuł perfumy swojej księżniczki. Rozerwał pieczęć, przeczytał dwie linijki drobnego pisma, zmiął papier i rzucił w kąt. – Odpowiedzi nie będzie – burknął. I ze złości namalował Madame Royale w pomiętej sukni.

Do Tokio przybył jeszcze jeden obraz Antoine'a Grosa. Olej na płótnie z roku 1796. Napoleon zaciska dłoń na rękojeści szabli. Jej głownia połyskuje w słońcu i odsłania grawerowany napis *Bonaparte Arméed« Italie*. Generał ubrany jest z francuska: wąskie, granatowe spodnie i wykładana na wierzch tunika z purpurowo-złotym kołnierzem. Do tego szeroki pas z kokardą, frędzlami i sygnowaną sprzączką podkreślającą szczupłą sylwetkę młodziana. Rozwiane włosy, spojrzenie sięgające w najdalszą dal, jasna cera, delikatnie wykrojone usta bardziej pasują do poety niż wodza.

Napoleona nie mogło w Tokio zabraknąć. Japończycy go uwielbiają. Sam premier Shinzō Abe pozował do zdjęcia z portretem imperatora w tle. Niedługo abdykuje dobrotliwy cesarz Akihito, skończy się era *Heisei* – co z grubsza oznacza *pokój wszędzie*. Na chryzantemowym tronie zasiądzie książę Naruhito. Kto wie, może będzie waleczny jak Korsykanin? – fantazjują mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni.

W Narodowym Centrum Sztuki pojawiły się też olbrzymi posąg Napoleona w rzymskim stroju triumfalnym – dzieło François'a Frédéric'a Lemota i popiersie

Bonapartego z połączanym wieńcem laurowym na głowie. A w oszklonej gablocie, na czerwonym aksamicie, leżała... maska pośmiertna. To ona przyciągnęła największy tłum ciekawskich.

ROZBIERACZ TRUPÓW

Cofnijmy się o jakieś 200 lat. Na Wyspę Świętej Heleny.

Chciał umrzeć. Od tygodni nic nie jadł. Każdy kęs przeszywał go bólem, dźgał od środka, wyciągał z życia. Każdy łyk palił i wykręcał jelita. Dusił się, dygotał w konwulsjach, skręcał w spazmach, na przemian trząsał się z zimna i pocił, jak palacz w kotłowni. Rumieńce znikły z jego twarzy, źrenice przygasły, a skóra pokryła się trupim meszkiem.

Wcześniej wydierał się na doktora: – Zabiłeś mnie partaczu! Co za maskarada! Nasłali na mnie prosekora. Załatwił mnie ten gruby i gnuśny konował. Masz tu 20 franków. Kup sobie sznur. Nie zbliżaj się do mnie padalca. Albo podejdź. I zabierz ból! Słyszysz? To coś wyżera mi flaki. Słyszysz? Zrób coś!

Napoleon Bonaparte umarł 5 maja 1821 roku. Dwa dni później jego osobisty lekarz Francesco Antommarchi, ów *gruby i gnuśny konował*, zdjął z jego twarzy maskę pośmiertną.

Mogło być tak. Do prosektorium zakradł się po zmroku. Zarygłował drzwi. Imperator leżał na kamiennym stole. Dokładnie tam, gdzie wczoraj, kiedy – już martwy – przyjął dwóch generałów, kilku oficerów sztabowych, kupca i sześciu świątłych lekarzy angielskich. Goście odwiedzili go, by postawić diagnozę: *post mortem*. Wykończył go *squirrhe of the stomach* – oświadczyli po naradzie. Czyli coś pomiędzy wrzodami a skrętem kiszek.

Antommarchi nie wierzył w te brednie. Sam zbadał zniszczone organy denata, wymacał dziurę w jelicie, opukał żołądek, zmierzył wątrobę, śledzionę, policzył plamy i przebarwienia. – Cholerni dranie – zawołał – rozłupali go jak zwierzę. I nawet nie zaszyli. W dzienniku zapisał: *rak żołądka*. W 2005 r. uczeni szwajcarscy potwierdzili tę diagnozę.

Tamtej nocy medyk podszedł do biurka, szarpnął szufladę, kopniakiem rozwalił jej przednią ściankę. I tę drewnianą szuflkę wsunął pod głowę denata. Wiaderko z gipsem ukrył wcześniej za kotarą. Nalał do miski wodę, nasypał proszek i ucierał łopatką, zdecydowanymi ruchami, aby rzadka, lepka pulpa się nie zbrzyliła. Nasączył



Pośmiertna maska Napoleona Bonaparte

bandaże i jeden po drugim układał na twarzy Bonaparte-go. Czekał. Gips tężał. Opuszką palca sprawdził ostrze skalpela. Pierwsze cięcie poprowadził przez garb nosa, filtrum i wargi, aż do brody, płytko, żeby nie uszkodzić skóry. Obrócił nóż pod kątem prostym, skierował wzdłuż trzonu żuchwy, potem w górę, do skroni. Pętlę zamknął na środku czoła. To samo powtórzył po drugiej stronie. Spróbował podważyć plaster, ten poddał się i ustąpił z niemym kłębnięciem. Medyk podmuchał, wsunął palce pod gips i milimetr po milimetrze uwalniał maskę z twarzy Napoleona. Zaczynało świtać, kiedy wycięczony kłębknął na podłodze. – Skończyłem z tobą – wybełkotał.

Gdyby utrzymał Bonapartego wśród żywych, miałby dziewięć tysięcy franków rocznie. Ale skąd mógł wiedzieć, jak leczyć? Ostatnie lata spędził we florenckim prosektorium. Zaglądał do ludzkiego wnętrza i sporządzał *plyty anatomiczne wykonane według naturalnych rozmiarów ciała*. Lubił to zajęcie – nieboszczyk to wdzięczny pacjent, nie skarży się, nie narzeka. Gdy umarł jego promotor, słynny Paolo Mascagni, Antommarchi zaczął się rozglądać za nowym zleceniem. Właśnie wtedy zapukał do niego kardynał Joseph Fesch, wuj Napoleona I. – Zajmiesz się moim siostrzeńcem – rozkazał.

Aptekarz komedii, rozbieracz trupów, intrygant, amator – mówili pogardliwie o doktorze Francescu Antommarchim koledzy po fachu. Ale to właśnie on w październiku 1819 r. postawił nogę na Wyspie Świętej Heleny. Mieszkał tam do maja 1821 roku. Po śmierci imperatora wpadł do Parmy, odwiedził Rzym, a potem szukał szczęścia w Paryżu. Lecz wszędzie szła za nim zła sława: *To ten, co nie upilnował cesarza*.

Wreszcie mu się poszczęściło. Otrzymał posadę generalnego dyrektora szpitali w Księstwie Warszawskim. Wkrótce jednak wybuchło powstanie listopadowe, toteż zawiąnął się i uciekł do Prus. W 1833 r. ktoś podrzucił mu pomysł: *Zrób biznes na cesarskich maskach*. Przygotował kilkadziesiąt gipsowych kopii i sprzedawał martwe twarze imperatora w Paryżu. Rozchodziły się szybko, nawet król Ludwik XVIII kupił sobie 30 sztuk. Czuł się bezpiecznie z Napoleonem – prawdziwym, ale nieżywym – w pobliżu.

Dzięki doktorowi Antommarchiemu Bonaparte dotarł niedawno aż do stolicy Japonii. Gdzie szklane domy błyszczą między pagodami, gdzie wieżowce stykają się bokami, opierają plecami, wchodzą na siebie, piętrzą się, zasłaniają i ocieniają, dłużą się i wystrzają pod niskimi obłokami.

WOJCIECH DINDORF

PTASZEK NA DRUCIE, DZIECKO NA ZJEŹDŹALNI



Zadano mi pytanie: *dla czego jaskółkom nic się nie stanie, jak wylądają („wydrutują”) na linii wysokiego napięcia?*

Odpowiedź najkrótsza brzmi następująco.

Stworzenie może zginąć od prądu (i), jaki przez nie przepłynie. Zależy to od wielu czynników, głównie od tego, czy stworzenie dobrze przewodzi prąd (ϵ), jaka jest różnica potencjałów między łapkami (U) i jak wielki jest ten ptaszek (r).

$$i = \frac{8\pi^2}{\sqrt{6}} \epsilon r f U_0$$

Przybliżone wyliczenia wykazują, że natężenie prądu, jaki od łapki do łapki ptaszka przepłynie, jest tak zniko-

me, że nie powinno to zagrażać zdrowiu i życiu jaskółki czy nawet wrony. Bociany chętnie zakładają gniazda na szczytach uziemionych metalowych konstrukcji podtrzymujących w bezpiecznej od ziemi odległości przewody pod wysokim napięciem. Wielkie porcelanowe izolatory odbierają elektronom chęć do zboczenia z wygodnej, aluminiowej czy miedzianej, szerokiej prądostrady – w drodze do ziemi.

Tu dygresja.

Dyrygent orkiestry symfonicznej potrafi się wzruszyć, patrząc na partyturę (nuty) koncertu fortepianowego Rachmaninowa. On słyszy nie tylko każdy instrument orkiestry symfonicznej i każdy akord pianisty, on także wyczuwa nastrój kompozycji. Potrafi nawet się wzruszyć tym, co dla laika jest chińszczyzną zupełną. Podobnie



Kiedy dziecko potrze pupą o plastikową zjeżdżalnię... włosy unoszą mu się do góry

wykształcony fizyk patrząc na symbole – tylko jemu coś mówiące – widzi zjawisko przyrodnicze wyrażone z matematyczną precyzją. Koniec dygresji. Wracamy do jaskółek.

Przepływ energii każdego rodzaju ma zawsze jeden kierunek: z miejsca, gdzie jest jej nadmiar, do miejsca, gdzie jej brak. Stąd biorą się takie zjawiska, jak wiatr, stąd wodospady, przepływ ciepła, prąd elektryczny.

Podczas przepływu energii z poziomu górnego do zerowego, w miarę oddalania się od źródła, musi występować stopniowa jej utrata. Nagła utrata zwykle oznacza klęskę: tsunami, tornado, potop, pożar, grom z jasnego nieba. Patrząc od góry (od źródła), każdy krok oznacza niższy poziom energetyczny. Przepływ energii trwać powinien tak długo, aż się poziomy nie wyrównają, stąd elektrownie pracują nieustannie przez siedem dni i nocy w tygodniu, by do tego wyrównania nie doszło.

Ptaszek siada na drucie dwiema łapkami. Jedna – bliżej elektrowni, druga dalej. Gdyby stanął albo zawisł na jednej łapce, nie byłoby problemu. Jeśli stanie na dwóch, a do tego w rozkroku, to prąd może zechcieć się rozgałęzić: cała energia pójdzie nadal po wygodnej aluminiowej drodze, a jedynie niezauważalnie mała – po łapce, przez brzuszki, do drugiej łapki i wróci na drut (minischodek niżej). To jednak może wystarczyć, by uszkodzić system

nerwowy ptaszyny... Odbiorcy energii elektrycznej w mieście nie odczuwają, że po drodze ptaszek został ubity albo tylko połaskotany – było nie było, jest to niemierzalny, znikomy ubytek energii.

A co się stanie, kiedy wilgotny, a więc nieźle przewodzący elektryczność ptak dotknie dziobem lub rozpostartym skrzydłem swojego ptasiego sąsiada? Jest wielce prawdopodobne, że dojdzie do śmiertelnego porażenia obu nieostrożnych latawców.

Przy okazji, jakkolwiek przedmiot, przyniesiony przez wiatr, zwisający z linii wysokiego napięcia – to śmiertelne niebezpieczeństwo dla człowieka, który chciałby go dotknąć.

Przykład z placu zabaw. Możemy tam zaobserwować, że kiedy dziecko potrze pupą o plastikową zjeżdżalnię... włosy unoszą mu się do góry. Ale wystarczy, że dotknie ciałem żelaznej barierki, a włosy opadną. Co się stało? Otóż przeskoczyła ledwo widzialna iskierka, może dziecko odczuło coś w rodzaju lekkiego uklucia w paluszek – mówimy, że się elektrycznie rozładowało. A przecież było pod napięciem – powiedzmy – dziesięć tysięcy woltów! Co pokazuje nam, że nawet bardzo wysokie napięcie nie boli. Wystarczy dotknąć ziemi (uziemionego metalu) albo mniej naelektryzowanej mamusi, by przeskoczyła iskierka, minibłyskawica i włosy opadną.

Dziewczynka, swoją drogą, mogłaby posłużyć jako zapalniczka.

BARŁOMIEJ KOZERA

DLACZEGO NIE?

Jest na moim opolskim osiedlu, które obecnie nazywa się AK, a kiedyś ZWM, kawiarnia o takiej właśnie nazwie: *Dlaczego nie?* Przechodząc koło niej, w drodze do pobliskiego parku, myślę, że jest to na wskroś współczesna nazwa, bardzo adekwatna do naszych czasów. Różnica między moim, a więc dawnym, a obecnym światem polega na tym, że kiedyś pytało się o przyczynę: *dlaczego?* Teraz natomiast przyczynę się ignoruje, pytając: *dlaczego nie?*

Szczerze mówiąc najpierw w ogóle nie pytano o nic. Nie pytano nawet: *dlaczego?* Szlachcic nie zadawał sobie pytania o swoje miejsce w społeczeństwie, podobnie i chłop. Bóg tak postanowił, więc po co pytać. To Jego wola zarządziła wszystkim. W konsekwencji z pokorą znoszono swoją dolę, bo nie od człowieka ona zależała. Bóg-reżyser wyznaczył każdemu miejsce na ziemi. To był w konsekwencji czas kontemplacji świata, podziwiania dzieła Bożego. Istniały w takim świecie autorytety – ludzie starsi, doświadczeni kierowali sprawami tego świata.

Antyczni Grecy wierzyli w Mojry, które kierowały losem ludzkim. Na straży zgodności z przeznaczeniem stali bogowie. Widać to u Ajschylosa. Chrześcijanie co prawda uznawali wolną wolę, ale niekonsekwentnie: świat przyrodniczy i społeczny z konieczności jest taki, a nie inny, zawsze zgodny z Bożą wolą.

Potem zaczęto pytać: *dlaczego?* To się stało niedawno, gdzieś na początku XVIII w., gdy zauważono, że ciężkie życie jednych nie jest konsekwencją boskiego planu, ale decyzji innych ludzi. Choć przebliski były wcześniejsze, gdy zaczęto tworzyć alternatywne wizje światów, literackie utopie. Mam na myśli epokę Odrodzenia. W Oświeceniu zapytano: *dlaczego jestem chłopem i za marne grosze pracuję na kogoś?* Pytanie *dlaczego* zrodziło bunt wobec świata społecznego, myśl o jego zmianie.

Obecny człowiek nie pyta *dlaczego* robię to czy tamto, jestem tym, czy czymś innym, ale pyta *dlaczego nie mam robić tego czy czegoś innego?* Ten kaprys dotyczy nie tylko prostych czynności, ale kwestii ważniejszych: wyboru miejsca zamieszkania, miejsca pracy.

W mojej kawiarni pytają: *dlaczego nie zjeść lodów czy wypić kawy?* Pozornie nieistotne czynności, ale kryje się za tym zmiana istotna. Oto mówi się nam, że nie wola rządzi nami, ale zachcianka. Albo że wolna wola nie jest zdeterminowana, a więc – że jest kaprysem. Jej podpowiedzi są wręcz niezależne od woli. Mają swoją przyczynę w zmysłach. *Dlaczego* nie prawa ręka ma to zrobić, lewe oko zobaczyć?

To ja pomyślałem: *dlaczego* nie napisać o tym felietonu?

„781” – INTERMEDIALNA WYSTAWA STUDENTÓW PRACOWNI MULTIMEDIÓW WYDZIAŁU SZTUKI UO

INDEKSOWA GALERIA SZTUKI

09.02.2019 r. w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki odbył się wernisaż wystawy pt. „781”. Prezentowane na niej prace powstały na I roku studiów magisterskich w Pracowni Multimediów Wydziału Sztuki UO.

Wystawa „781” to 16 indywidualnych projektów opowiadających o życiu i śmierci, nadziei i lęku, samotności i opresji, pamięci i emocjach, źródłach zła i obecności dobra.

Anna Frank w dniu swoich trzynastych urodzin, 12 czerwca 1942 roku, otrzymała dziennik i zaczęła prowadzić w nim zapiski. Ostatni wpis datowany jest na 1 sierpnia 1944 roku, pomiędzy pierwszym a ostatnim wpisem upłynęło równo 781 dni – jedynie 24 z nich nie były spędzone w izolacji, która miała być ceną przetrwania. Od wrogiej rzeczywistości okupowanego przez nazistów Amsterdamu rodziny Frank i jej przyjaciół przez ponad dwa lata oddzielał jedynie regał z książkami i zasłony w oknach. Kryjówka została odkryta po denuncjacji przez nieznaną osobę. Wojny nie przeżył nikt z ośmiu jej mieszkańców za wyjątkiem Otto Franka, ojca Anny.

To, co w „Dziennikach” jest najbardziej poruszające to zwyczajność, każdego dnia wygrywająca z grozą i optymizm niepozostawiający wątpliwości, że wszystko skończy się dobrze.

Autorzy prac: **Marta Balsam | Bartek Karwat | Ewelina Kędzia | Weronika Kłoś | Martyna Kowalska | Natalia Kurzyńska | Karolina Mesjasz | Denis Metelin | Lada Shylenko | Marina Siemtsova | Martyna Spólnicka | Maciej Spólnicki | Emilia Świąćka | Anastasiia Tryhubova | Anastasiia Volochai | Klaudia Woźniak**

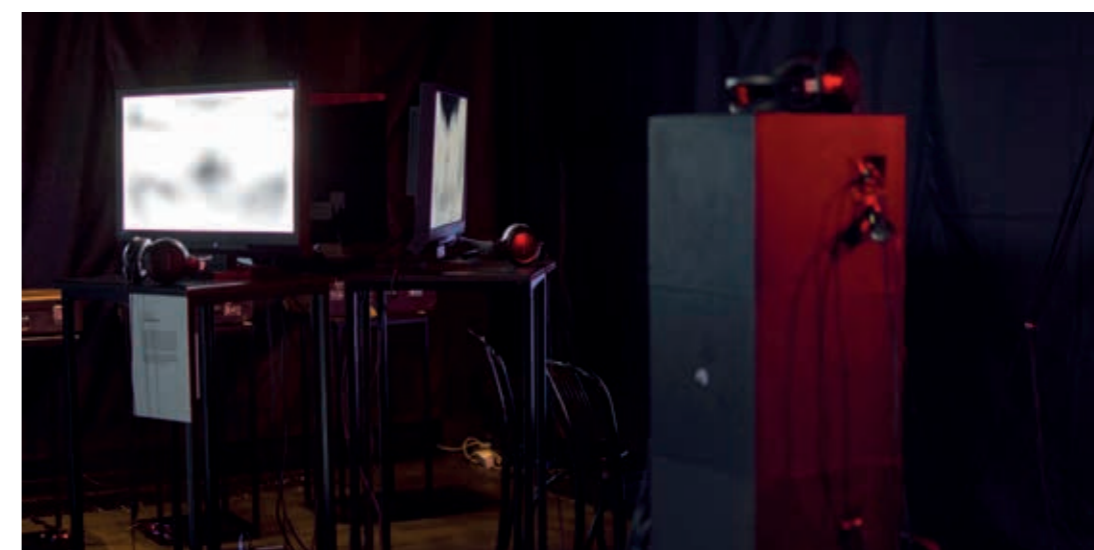
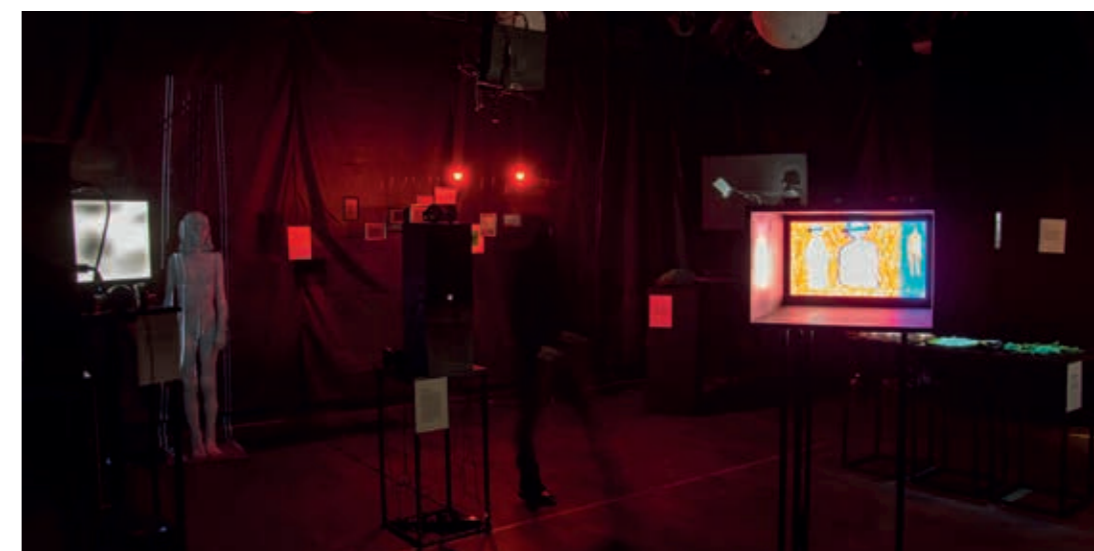
Prace powstały pod opieką artystyczną dr. hab. Bartosza Posackiego i mgr Pauliny Ptaszyńskiej.

Wystawa jest wydarzeniem towarzyszącym premierze sztuki „Dziennik Anne Frank”, można ją oglądać do 15.02.2019 roku.

Fotografie: **Paulina Ptaszyńska**



Wernisaż wystawy „781” w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki



WARTO WIERZYĆ W SIEBIE

Z Nela Lejczak, studentką Uniwersytetu Opolskiego, stypendystką programu 100 na 100 rozmawia Konrad Müller



Nela Lejczak, studentka prawa Uniwersytetu Opolskiego, stypendystka programu 100 na 100

– Jak to uczucie odebrać stypendium od pana premiera?

– Przede wszystkim chciałabym podkreślić, że jest to ogromne wyróżnienie zarówno dla mnie, jak i dla studentów Uniwersytetu Opolskiego, bo nasza uczelnia znalazła się wśród najlepszych uczelni z całej Polski, m.in. takich, jak Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Warszawski czy Politechnika Wrocławska. Gala wręczenia stypendiów odbyła się 10 grudnia 2018 r. w Warszawie, w Polskim Komitecie Olimpijskim. I premier, i prezes Fundacji LOTTO podkreślali, że pokładają w nas nadzieję na przyszłość, a prezes fundacji zapowiedziała, że zorganizują dla wszystkich stypendystów wyjazdy szkoleniowe, kursy i inne ciekawe formy aktywności naukowej.

– Jak to się stało, że zgłosiłaś się do programu?

– Złożyłam wniosek stypendialny za namową kilku bliższych mi osób, ale początkowo podchodziłam do tego z dystansem. Nie sądziłam, że moja działalność w skali Polski zostanie doceniona, tym bardziej że – jak się okazało – złożonych zostało 1815 wniosków. Udało się, i przekonałam się, że trzeba w życiu próbować i wierzyć w swój sukces.

– Jakie osiągnięcia wykazałaś?

– Skupiłam się na głównie na działalności naukowej i społecznej. Od kilku lat jestem wolontariuszem i darczyńcą akcji *Szlachetna Paczka*, działam też aktywnie w ramach stowarzyszeń i wolontariatu dla osób chorych i potrzebujących. Staram się im pomóc, zaktywizować. To przede wszystkim pomoc w bieżących sprawach, w przełamywaniu barier oraz szukanie darczyńców – konkretnych osób czy instytucji. Jeśli chodzi o działalność naukową, wykazałam udział w licznych konkursach, np. Studenckim Turnieju Negocjacyjnym, gdzie jako drużyna zajęliśmy pierwsze miejsce podczas eliminacji we Wrocławiu i zakwalifikowaliśmy się do finału (ostatecznie zajęliśmy ósme miejsce). Jestem też finalistką konkursu *Kazusomaniak*, zorganizowanego na naszym uniwersytecie – zajęłam w nim drugie miejsce. A był jeszcze konkurs recytatorski *Magiczna Młoda Polska*, ogólnopolski konkurs *Aneks Twórczości Artystycznej ATA 2018* i wiele innych... Uczestniczyłam także w konferencjach naukowych, zarówno o zasięgu regionalnym, ogólnopolskim, jak i międzynarodowym. Jestem przewodniczącą działającego na naszym wydziale Koła Naukowego Copyright, sekretarzem Koła Naukowego Magistrat oraz aktywnym członkiem kół naukowych: Wokanda, Pogadalka oraz Koła Naukowego IusNet. Pełnię także obowiązki członka prezydium Rady Studenckiej Wydziału Prawa i Administracji UO, Wydziałowej Komisji Stypendialnej oraz Parlamentu Studentów Uniwersytetu Opolskiego. Taka aktywność pozwala poznać ciekawych ludzi, dzięki którym praca i współpraca stają się też zabawą. Przebywanie z innymi ludźmi daje niesamowitą energię.

– Co radziłabyś komuś, kto chciałby odnieść podobny sukces do Twojego?

– Myślę, że przede wszystkim trzeba nastawić się na pomaganie innym i na myślenie o drugim człowieku we wszystkim, co w życiu robimy. Ale jak już wspomniałam, warto też wierzyć w siebie, w swoją pracę. Wyróżnienie mobilizuje mnie do działania, poszerzenia kompetencji, a stypendium pomoże mi to realizować.

– Co uważasz za swój największy sukces?

– Wydaje mi się, że każde osiągnięcie naukowe ma swoją wagę, jednak największą satysfakcję czuję wtedy, kiedy udaje mi się komuś pomóc. Najlepiej oddają to słowa Alberta Schweitzera: *Szczęście to jedyna rzecz, która się mnoży, jeśli się ją dzieli*. Rodzice zawsze uwrażliwiali mnie na to, aby pomagać osobom słabszym, reagować, nie przechodzić obojętnie obok potrzebujących. Takie wartości są dla mnie bardzo istotne i naturalne.

– Jak być nazwała ten wewnętrzny imperatyw popychający Cię do działania? Altruizmem?

– Siłą, która pomaga mi przejść przez każdy kryzys czy zwalczyć stres, jest wiara – to ona motywuje mnie i podnosi do działania. Bliskie mi są piękne słowa Jana Pawła II, który powiedział: *Wymagajcie od siebie, choćby inni od was nie wymagali*.

– Jak zobaczyłem Cię na Facebooku, to pomyślałem: Co za atrakcyjna i towarzyska dziewczyna! A właśnie, czy w natłoku tyłu zajęć masz jeszcze czas na życie towarzyskie?

– Jest takie powiedzenie Alberta Einsteina: *Wszyscy wiedzą, że czegoś nie da się zrobić, aż znajdzie się taki jeden, który nie wie, że się nie da i on to robi*. Kiedy mam wiele pracy, natłok obowiązków – po prostu działam! Bez zbędnego zastanawiania się i narzekania. I wtedy okazuje się, że zostaje jeszcze sporo czasu na odpoczynek i rozrywkę. To jest tak, jak w tym dowcipie: ile czasu potrzeba na opanowanie języka chińskiego? Poliglota odpowiedział, że przynajmniej pół roku. Student zapytał: *a kiedy egzamin?*

– Dlaczego wybrałaś Opole i Uniwersytet Opolski jako miejsce studiów?

– Początkowo poszłam na studia prawnicze do Katowic, ale trochę mi przeszkadzała odległość dzieląca mnie od rodzinnego domu... Szybko zdecydowałam się, że wy-

bieram Opole i po tych kilku latach mogę powiedzieć, że żyje mi się tutaj bardzo dobrze. Mimo że Uniwersytet Opolski jest mniejszą uczelnią niż główne ośrodki w Polsce, wymaga się tu od studenta nieco więcej. Jest się mniej anonimowym i to powoduje, że trzeba się bardziej pilnować, a poza tym – mamy więcej możliwości rozwoju i lepszy kontakt w relacji: student–uczelnia.

– Jakie masz plany na przyszłość?

– Po ukończeniu studiów chciałabym podejść do konkursu na aplikację sędziowską. To moje marzenie.

– Dziękuję za rozmowę.

Nela Lejczak, studentka V roku prawa i III roku coachingu filozoficznego na UO, znalazła się w gronie stu najlepszych stypendystów w kraju. Jest to program stypendialny z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości – 100 na 100 im. Haliny Konopackiej i Ignacego Matuszewskiego, ogłoszony przez Fundację LOTTO pod honorowym patronatem prezesa Rady Ministrów.

MARCELINA CHROBOT

ZAPŁĄTANA W SIECI

Pierwsza praca zapada w pamięć na długo. Zwykle są to małe zlecenia. Najpopularniejsze z nich to roznoszenie ulotek, sprzedaż owoców latem, *call center* albo praca w sklepie z odzieżą. Mówi się, że żadna praca nie hańbi, mimo to ludzie nie traktują jej poważnie. Inaczej patrz na to osoby pracujące na etacie w korporacji albo posiadający własną działalność. Inaczej podejdzie do tematu młodzież bez doświadczenia.

Pamiętam siebie i swoją drogę. Skończyłam 19 lat, zdałam maturę, później dostałam się na wymarzone studia. Czy może być lepiej? Pewnego ranka dostałam telefon od Łukasza, kierownika sklepu, w którym miałam podjąć swoją pierwszą pracę. Nie zastanawiałam się długo. W zasadzie w ogóle się nie zastanawiałam: stałe źródło dochodu umożliwiło mi wyprowadzkę z rodzinnego miasteczka. Czułam się, jakbym zdobyła świat. Studiuję, mam pracę, którą lubię, mieszkanie, całkiem nowe życie.

Trochę czasu musiało upłynąć, nim spostrzegłam, że wpadłam w gęstą sieć.

Nazwa *sieciówka* pochodzi od sieci sklepów lub zakładów usługowych, najczęściej mieszczących się w centrach handlowych. Praca w nich to świetny sposób zarobku dla osób na studiach dziennych lub takich, które chcą dorobić do domowego budżetu. Największym plusem są zniżki na produkty firmy, elastyczne godziny pracy i... na tym etapie profity mi się kończą. No, może jeszcze nowe przyjaźnie.

Z Wero poznałyśmy się w liceum, ale przyjaźń narodziła się po roku wspólnej pracy. To był dobry czas. Nie czułam, że marnuję popołudnia, przebywając w pracy. Z początku zużyte podpaski i tampony pozostawiane w przymierzalni nas bawiły. Tak samo, jak rozlane napoje czy pusta butelka po wódce w dziecięcej torebce. Po roku stało się to męczące. Szczytem była przyjęta przez nas reklamacja – pani w średnim wieku zwróciła zakupioną torebkę. Wyglądała na kobietę z klasą: elegancka, takt w głosie i niezwykła uprzejmość. Poinformowałyśmy ją o procedurach i pożegnałyśmy. W drodze do magazynu Wero spostrzegła, że w torebce pozostała zużyta prezerwatywa.

O klientkach ciąg dalszy. Od czasu do czasu w gazetach pojawiają się kupony na zniżki do najpopularniejszych sklepów, które upoważniają do zakupu towarów po cenie niższej od ceny detalicznej. Kupony są wycinane przez sprzedawców, a później należy je policzyć – w ten sposób firma sprawdza, czy jej nie naciągnęliśmy, udzielając bezpodstawnego rabatu np. znajomym albo rodzinie. Wero obsługiwała klientkę, która gazety z kuponem nie pokazała, choć rabatu sobie zażyczyła, powołując się na opinię... swojego męża, prawnika z zawodu. On powiedział, że *ten kawałek papierka nie jest potrzebny*. Okazało się, że klientka jednak miała przy sobie gazetę z kuponami. Kiedy Wero poprosiła ją, żeby wycięła z niej kupon rabatowy, pani zaatakowała: *I co pani z tym teraz robi? Zje?* Po czym kilkakrotnie powtórzyła, że jej mąż jest prawnikiem.

Wero skończyła pracę w *sieciówce* w 2017 r., teraz przygotowuje się do obrony pracy licencjackiej. Jest szczęśliwa, tylko skarży się, że nie ma kasy. Radzę jej, żeby zakreśliła się koło jakiegoś prawnika...

W swojej pierwszej pracy poznałam Olcię. Była przesympatyczna, jeździła smartem, kochała ubrania z Zary i miała bardzo charakterystyczną barwę głosu – jakby nałykała się helu. Olcię cechowało niezwykle opanowanie w sytuacjach kryzysowych oraz uprzejmość. Kiedyś opowiedziała mi o sytuacji, która miała miejsce tuż przed świętami. Jest to okres, kiedy ludzie spędzają więcej czasu w centrach handlowych niż we własnych domach.

– Pamiętam, że był bardzo duży ruch, kolejka prawie do wyjścia ze sklepu. Mieliśmy czynne trzy kasy, jak zwykle. Pracując w takim tempie już szóstą godzinę, byłam bardzo zmęczona, bolała mnie głowa i nogi... Kobieta spoza kolejki miała do mnie jakieś pytanie, chciałam jej pomóc, powiedziałam więc do pani, którą obsługiwałam: „chwileczkę...”. Wtedy ona zrobiła mi zdjęcie, po czym zażądała rozmowy z kierownikiem salonu. Jak dobrze, że wyszedł wtedy na lunch.

Są klienci, którzy unikają płacenia za wybrany towar. Jedna z pań próbowała... zębami odgryźć zabezpieczenie. Swoją drogą – wielki szacunek, ponieważ klipsy,

które chronią towar, wykonane są z bardzo mocnego tworzywa. Myślę, że trudno by je było zniszczyć młotkiem, tymczasem mocnej szczęce tej pani się udało. Choć nie do końca, bo próba kradzieży została udaremniona.

Ela z kolei pracowała w TK Maxx. W sklepach tej brytyjskiej sieci znajdziemy odzież, kosmetyki, akcesoria do domu i wiele innych towarów. Łatwiej chyba byłoby powiedzieć, czego tam nie ma. Z opolskim TK Maxx'em Ela była związana prawie trzy lata (na tablicy pracowników widniała jako *L-żunia*). Opowiedziała mi o stałym kliencie tego sklepu.

– Brał naręczne ubrań – zwykle jakieś spodnie, koszule, a raz kurtkę Calvina Kleina... Nie szedł do przymierzalni, tylko zaszywał się w jakimś kącie, po czym... załatwiał się na ubrania. A następnie odwieszał je na miejsce. Okazało się, że gość był recydywistą! Podróżował z miasta do miasta, z *tikeja* do *tikeja*, i czynił swoją powinność. Do dziś nie wiadomo, dlaczego tak robił. Dodam tylko, że to w pełni zdrowy na umyśle mężczyzna.

Praca w handlu niesie ze sobą wiele wyrzeczeń. Brak wolnych wieczorów, brak życia towarzyskiego. Dla młodzieży to nie problem, ale pracownicy mający dzieci są w gorszej sytuacji. Człowiek musi się też uodpornić na pytania typu: *Czy ta czapka jest ciepła?* A skoro o ciepłe mowa – nigdy nie zaprzyjaźniłam się z klimatyzacją, przez to mam przewlekłe problemy z zatokami. Ale nie tylko choroby tam na personel czyhają. Można też nabawić się kompleksów. Nigdy nie zapomnę, gdy jakiś mężczyzna nazwał mnie *maciorą* tylko dlatego, że byłam ubrana w luźne spodnie. Cóż, taki obowiązywał wówczas *dresscode*, z tym pracownik nie dyskutuje... Kiedyś, gdy kierowniczką układała dziecięce ubranka, usłyszałam, jak starsza kobieta powiedziała do wnuczka: *Jeśli nie będziesz się uczył, Maciuś, to będziesz składał ubrania, jak ta pani*. Być może nie miała nic obraźliwego na myśli, ale zabrzmiało to, jak zabrzmiało.

Kiedy odchodziłam z tej pracy, miałam wrażenie, że coś ze mnie ubyło. Do dziś z trudem siebie rozpoznaję.

WŁODZIMIERZ KACZOROWSKI

WCZORAJ RZĄDZIŁ TU KANONIK, DZIŚ REKTOR

Początki szpitala w klasztorze „na Górcie”



St. Adalbert Hospital na przedwojennej pocztówce

Na początku lat 40. XIX w. na terenie rejencji opolskiej zainicjowano akcję budowy szpitala w każdym mieście powiatowym. To wtedy, w 1843 r., Karl Alois Gaerth, proboszcz parafii św. Krzyża w Opolu, radca szkolny rejencji opolskiej, podjął energiczne działania, które doprowadziły do uruchomienia w Opolu szpitala św. Wojciecha „na Górcie” – dziś Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego.

Karl Alois Gaerth urodził się 16 lipca 1789 r. w Głubczycach, gdzie ukończył gimnazjum. Święcenia kapłańskie otrzymał 23 maja 1812 r., po czym rozpoczął pracę duszpasterską jako wikariusz parafii w Grobnikach, gdzie

opracował historię joannitów grobnickich. W latach 1835–1844 pełnił funkcję proboszcza parafii św. Krzyża w Opolu, po odejściu z probostwa księdza Anastasiusa Sedlaga (1823–1834) na biskupstwo chełmińskie – parafia św. Krzyża uroczyście pożegnała Sedlaga 13 maja 1834 roku. Przez rok parafią zarządzał kuratus kościoła „na Górcie” ksiądz Josef Jansky, który w imieniu parafii, 13 kwietnia 1835 r., powitał nowego proboszcza, księdza Gaertha właśnie.

Trzej poprzednicy proboszcza Gaertha: Franz Paul (1812–1818), Anton Seidel (1819–1822), Anastasius Sedlag (1823–1834) byli równocześnie radcami szkolnymi rejencji opolskiej. Gdy ksiądz Sedlag został biskupem chełmiń-

skim, Gaerth przez pewien czas zastępował go na stanowisku radcy szkolnego. Ze względu na fakt, że proboszcz Gaerth znał tylko język niemiecki, urząd miasta nie chciał go mianować na stanowisko radcy szkolnego, proponując na nie Johanna Equarta, proboszcza z Siołkowic. Z kolei nadprezydent prowincji śląskiej Fryderyk Teodor von Merckel desygnował nań Josepha Sauera z Wrocławia. Jednak na wyraźne polecenie Ministerstwa Wyznań i Oświaty zatwierdzono na tym stanowisku proboszcza Gaertha. W marcu 1837 r. „Schlesische Kirchenblatt” donosił, że *Majestat Królewski mianował proboszcza miejskiego Karla Aloisa Gaertha, duchownego katolickiego, radcą szkolnym rejencji opolskiej.*

Miejska szkoła katolicka w Opolu zawdzięcza proboszczowi Gaerthowi, bezpośrednio przełożonemu, nowy budynek szkolny. 14 maja 1841 r. wmurowano uroczyście kamień węgielny pod nową szkołę, a 30 czerwca 1842 r., po uroczystym nabożeństwie, nastąpiło jej poświęcenie.

Funkcję proboszcza parafii św. Krzyża w Opolu Gaerth pełnił przez dziesięć lat. 31 marca 1844 r. otrzymał nominację na kanonika Kapituły Katedralnej i przeniósł się do Wrocławia, rezygnując równocześnie ze stanowiska radcy szkolnego rejencji opolskiej. Opole pożegnało go bardzo uroczyście: 1 maja 1844 r. reprezentacja parafialnej gminy katolickiej w Opolu wręczyła kanonikowi Gaerthowi kielich mszalny, wykonany w Wiedniu, jako dowód wdzięczności za całokształt działalności duszpasterskiej w parafii św. Krzyża. 3 maja 1844 r. kanonik Gaerth, po odprawieniu uroczystej mszy świętej w kościele św. Krzyża, żegnany przez odprowadzających go przedstawicieli katolickiej gminy parafialnej i grona pedagogicznego, opuścił oficjalnie Opole, udając się do Wrocławia. Tam Gaerth pełnił wiele funkcji kościelnych. Był członkiem wrocławskiej Kapituły Katedralnej, scholastykiem, generalnym prokuratorem Kapituły, radcą duchownym generalnego wikariatu, kuratorem sióstr elżbietanek we Wrocławiu. Przez 11 lat pobytu we Wrocławiu żywo interesował się sprawami byłych opolskich parafian. Zmarł 26 września 1855 r. we Wrocławiu, 3 października został pochowany w Opolu na cmentarzu komunalnym.

Komisarze w klasztorze oo. Dominikanów

Wpływ na przyjęcie w pierwszej połowie XIX w. nowej koncepcji opieki nad człowiekiem chorym i ubogim na Śląsku miała wielka sekularyzacja przeprowadzona przez władze pruskie w 1810 r., czyli przejście całego mienia ru-

chomego i nieruchomego instytucji kościelnych przez państwo pruskie – w tym majątku biskupstwa, kapituł, klasztorów, szpitali, szkół. Do realizacji kasaty (zgodnie z edyktem podpisanym 30 października 1810 r. przez Fryderyka Wilhelma III) powołano we Wrocławiu pięćoosobową Główną Komisję Sekularyzacyjną dla Śląska oraz kilka podkomisji mających za zadanie przeprowadzenie kasacji klasztorów w określonych miejscowościach. Organem doradczym Głównej Komisji była Rada Duchowna z komisarzem arcybiskupa wrocławskiego na czele. Do wykonania edyktu przystąpiono 19 listopada 1810 r., ogłaszając jednocześnie jego treść. Komisarze wkraczali do klasztorów, odczytywali normatyw królewski, obwieszczać równocześnie duchowieństwu zwolnienie ze ślubów zakonnych. Na opuszczenie klasztoru pozostawiano zakonnikom cztery tygodnie. Przejmowanie własności rozpoczynano od dokonania szczegółowej inwentaryzacji dóbr klasztornych, kolegiackich i biskupich.

Edykt sekularyzacyjny został obwieszony w Opolu w listopadzie 1810 r. przez królewskiego komisarza Johanna Classa, który wraz z radcą sądowym (miejskim) Josephem Friedrichem przystąpił 23 listopada do likwidacji majątku kościoła św. Krzyża, jak również konwentu franciszkanów. 24 listopada wymienieni komisarze przeprowadzili inwentaryzację majątku klasztoru oo. Dominikanów, gdzie ostatnim przeorem był Andrzej Mondry (1767–1834/35). Majątek dominikanów oszacowano na sumę 23 mln 215 tys. talarów. 25 czerwca 1811 r. Główna Komisja Sekularyzacyjna przekazała kościół „na Górcie” Johannesowi Floegelowi, rektorowi katolickiego gimnazjum dla sprawowania nabożeństw szkolnych. 5 sierpnia 1811 r. nastąpiło przekazanie klasztoru Głównej Komisji Sekularyzacyjnej. Władze pruskie deklarowały, że w zamian za zrabowane mienie kościelne będą z państwowych funduszy utrzymywać świątynie i przeprowadzać ich remonty. W praktyce wyglądało to inaczej, o czym świadczy wywód Franza Idzikowskiego, autora pierwszej monografii dziejów Opola do 1863 r., na temat stanu zespołów poklasztornych w Opolu: „Trudno dzisiaj, po pięćdziesięciu latach [1863 r. – W. K.], na nowo narzekać, ale trzeba podkreślić, że ta decyzja rządowi nie przyniosła wiele korzyści. Potraktowano bezwzględnie wszystkie sprawy, nie licząc się z ludźmi. Klasztory i ich zabudowania, które służyły ludności, zostały zrujnowane i zdewastowane. Nie wiadomo było, co robić z wielkimi zabudowaniami, jak je zagospodarować, gdyż niektóre z nich do dzisiejszego dnia świecą pustkami, niszcząc



Szpitalny korytarz (dziś prowadzący do Sali Senatu UO)

zabytkowe wnętrza i oskarżają obecne pokolenie, że nie potrafi ich utrzymać i spożytkować. Nie ma szyb i okien, wiatr i deszcz hula, niszcząc zabytkowe piece, ścienną malowidła XVIII-wieczne. Gdzieniedzie tylko okna zabito deskami, a w środku zabudowy niszczej narzędzia i gospodarskie urządzenia”.

Podjęta przez księdza Gaertha inicjatywa budowy szpitala w Opolu spotkała się ze zrozumieniem ze strony wiernych parafii św. Krzyża. Dalsze działania na rzecz budowy szpitala w Opolu Gaerth prowadził po przeniesieniu go do Wrocławia. Tam też podjął decyzję dotyczącą nabycia wystawionego na sprzedaż gmachu klasztornego po zsekularyzowanym zakonie dominikańskim, będącego własnością Królewskiego Zarządu Ziemińskiego. Mieszkańcy Opolu i okolicznych miejscowości szczególnie dotkliwie odczuwali brak nowoczesnego szpitala i związany z tym niski poziom opieki zdrowotnej, stąd oczywisty był ich ofiarny udział finansowy w realizacji podjętego zamierzenia przez kanonika wrocławskiego.

Na budowę szpitala sukcesywnie napływały sumy pieniężne, szczególnie od przyjaciół kanonika Gaertha i dobroczyńców.

Początkowo Gaerth podjął działania celem bezpłatnego pozyskania zdewastowanego klasztoru dominikańskiego dla wspólnoty parafialnej św. Krzyża. Nie znalazło to jednak zrozumienia u władz rejencji opolskiej, faworyzujących Kościół protestancki – gmina protestancka otrzymała bardzo szybko na własność bezpłatnie kościół franciszkański wraz z zabudowaniami klasztorowymi, podczas gdy katolicy musieli zabiegać o przyznanie im kościoła poddominikańskiego, który wreszcie udostępniono im w 1819 r., ale tylko w dzierżawę, za symboliczną roczną opłatę 36 talarów. Starania parafii św. Krzyża o przyznanie jej zabudowań klasztoru poddominikańskiego skończyły się fiaskiem. Kanonik Gaerth uzyskał prawo pierwokupu tego klasztoru w publicznym przetargu (rozkaz gabinetowy z 5 lipca 1845 r.).



Szpitalna łazienka

Klasztor na licytacji

Zachowała się kopia umowy sprzedaży Gaerthowi budynku poddominikańskiego wraz z gruntami, zawartej 27 sierpnia 1846 r. między Królewskim Zarządem Ziemijskim jako stroną sprzedającą, reprezentowanym przez Ewalda Kuschkego von Kunowa, i Karlem Aloisem Gaerthem jako kupującym. Z umowy wynika, że licytacja odbyła się 15 czerwca 1846 r. w Opolu, przy udziale kupca Józefa Galli, również zainteresowanego kupnem obiektu. Przetarg wygrał kanonik Gaerth, oferując najwyższą kwotę w wysokości 4095 talarów, do której sam wniósł tysiąc talarów, pokrywając resztę sumy uzyskanymi darowiznami. Według umowy kwotę w wysokości 1365 talarów (1/3 ogólnej wartości) nabywca miał wpłacić do 29 września 1846 r. (na św. Michała), pozostałe dwie części ustalonej kwoty należało uregulować w ratach (do 29 września 1847 r. – 1365 talarów, do 29 września 1848 r. – 1365 talarów). Za zgodą kanonika Gaertha budynek klasztorny został obciążony hipoteką na sumę 2730 talarów, odpowiadającą pozostałej części należnej kwoty.

W skład sprzedanego obiektu klasztornego weszły: budynek dawnego klasztoru, stary browar, znajdująca się przy browarze szopa oraz grunty. Według rejestru sporządzonego w marcu 1846 r. przez królewskiego geodetę Johanna Martiniego, który wykonał również plan sytuacyjny, powierzchnia zabudowana wynosiła 51 prętów² i 75 stóp², powierzchnia podwórzy – 65 prętów² i 50 stóp², ogrodów – 1 morgę, 8 prętów² i 20 stóp². Łącznie grunty stanowiły powierzchnię 1 morgi, 125 prętów² i 75 stóp². Z tej powierzchni zostały wyłączone drogi i przejścia (59 prętów² i 30 stóp²). W zbiorach Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu znajduje się drugi plan sytuacyjny dawnego klasztoru oo. Dominikanów w Opolu wraz z przynależnymi ogrodami, wykonany przez Martiniego po pięciu latach od sporządzenia poprzedniego szkicu.

W warunkach umowy zawarto między innymi klauzulę, że nowy właściciel obiektu obowiązany był udostępnić przejścia do kościoła „na Górcie” umożliwić rozstawianie rusztowań w trakcie remontów kościoła. Umowa nie dopuszczała budowy w obrębie kościoła

jakichkolwiek warsztatów czy wytwórni związanych z głośną pracą, która przeszkadzała w odprawianiu nabożeństw. Gwarantowała również możliwość przejścia do drzwi bocznych i środkowych kościoła od strony gimnazjum. Kupujący był również zobowiązany do odstąpienia za najniższą cenę terenu rozciągającego się od ogrodu wzdłuż kościoła, gdyby zaistniała potrzeba rozbudowy gimnazjum.

Stan techniczny zakupionego przez kanonika Gaertha budynku poklasztornego nie był najlepszy, gdyż przez 30 lat nie był on zamieszkiwany. Jak wynikało z przeprowadzonej ówczesnie ekspertyzy technicznej, fundamenty, mury i sklepienia były dość mocne, ale budynek w tym stanie nie nadawał się do użytku na cele szpitalne. Wymagał całkowitej rekonstrukcji, przebudowy korytarzy i pomieszczeń mieszkalnych znajdujących się na obu piętach, do których w latach 1846–1847 dobudowano nowe piętro. Do kosztów rekonstrukcji budynku dochodziły koszty jego wyposażenia, plantowania otaczających klasztor ogrodów, wybudowania murów okalających, płotów i budowy studni. Na mocy umowy sprzedaży budynek stał się własnością prywatną kanonika Gaertha. Tym samym został obciążony różnymi podatkami państwowymi i komunalnymi. W krótkim czasie należało pozyskać środki finansowe na opłacanie rosnących podatków, jak również na odsetki od przyjętego wcześniej kapitału w wysokości 2000 talarów. W sumie koszty związane z urządzeniem budynku wraz z podniesieniem kondygnacji wyniosły 7680 talarów. Koszty remontu budynku przekroczyły znacznie możliwości finansowe kanonika Gaertha, który, obciążony długami, zmuszony był wynająć niektóre już wyremontowane pomieszczenia. Jednym z najemców pomieszczeń klasztornych został zarząd Towarzystwa Katolickiego, założonego w 1848 r. przez ks. Bernharda Bogedaina, radcę szkolnego i kościelnego, późniejszego sufragana wrocławskiego (1857–1860).

Franciszczanki szpitalne – lokatorki poklasztornego budynku

W 1848 r. swoją działalność na Śląsku rozpoczęły zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Szpitalnych. Troska o ludzi chorych, ubogich i osieroczone dzieci, zgodnie z myślą założyciela o. Christoph Bernsmeyera była wyznacznikiem apostołskiej służby zgromadzenia. Szczególnie wyróżniły się siostry ochotniczek z Telgte: Katharina Hüsing, Paula Bötticher, Elisabeth Schlüter.

Biskup Melchior von Diepenbrock skierował je do Studzionki w powiecie pszczyńskim, gdzie panowała epidemia duru brzuszego. Tam, 11 marca 1848 r., siostry rozpoczęły pracę pielęgniarsko-opiekuńczą w dawnym szpitalu wojskowym. Po wygaśnięciu epidemii, w sierpniu 1848 r., zajęły się wychowywaniem 82 osieroconych dzieci i pielęgnacją chorych w pobliskim Mikołowie.

Dwóm z nich, Pauli Bötticher i Katharinie Hüsing, zgodnie z sugestią Carla Ignatiusa Lorinsera (1796–1853), lekarza i radcy rejencyjnego, powierzono prowadzenie sierocińca w Opolu. Siostry przybyły do miasta 4 kwietnia 1849 r., a dziewięć dni później Lorinser poinformował władze miejskie o uruchomieniu w budynku poddominikańskim sierocińca. Choroba obu sióstr opóźniła jednak rozpoczęcie działalności sierocińca, który faktycznie zaczął funkcjonować od 7 maja 1849 roku. Początkowo opieką w sierocińcu objęto 16 dzieci w wieku szkolnym oraz cztery bezdomne dziewczęta. W 1855 r. w sierocińcu znalazło schronienie 12 bezdomnych dziewcząt, w planach było również przyjmowanie chłopców. Siostry franciszczanki poświęcały się ponadto pielęgnacji chorych – kiedy pod koniec 1849 r. wybuchła w Opolu kolejna epidemia cholery, siostry franciszczanki podjęły się opieki nad chorymi, zyskując uznanie mieszkańców Opoli, jak również władz miejskich i służb sanitarno-medycznych.

W latach 1844–1851 Gaerth ustawicznie zabiegał o środki finansowe na rozbudowę i wyposażenie budynku szpitala w Opolu. 19 listopada 1849 r. na łamach „Schlesische Kirchenblatt” opublikował wzruszające wezwanie do kwesty na rzecz budowy szpitala publicznego w Opolu (*Dank, Rechtfertigung und Bitte*; do tekstu dołączony został rysunek Krügera z 1835 r. przedstawiający klasztor oo. Dominikanów i kościół „na Górcie”). Po barwnym wstępie dziękował wszystkim, którzy podtrzymywali go na duchu w trudnych dniach poprzedzających kupno budynku poklasztornego. Poruszył również sprawę bezpłatnego przekazania ewangelikom klasztoru oo. Franciszkanów w Opolu, pisząc z żalem, że jemu *łaskawie zezwolono na prawo pierwokupu* budynku klasztornego dominikanów. Zalił się, że niepotrzebnie tak wysoko opodatkowano te ruiny. Podał, że ogólne koszty odbudowy zamkną się kwotą 7680 talarów. Informował także, że od dwóch lat niektóre pomieszczenia budynku są wynajmowane, celem zdobycia środków na jego remont, a od 4 kwietnia 1849 r. zamieszkuje tam siostry franciszczanki szpitalne. Z uznaniem wypowiadał się o poświęceniu dwóch sióstr pracujących w opolskim sie-

rocińcu, podkreślając, jak zbawienna dla chorych i sierot jest ta działalność, dla kontynuacji której konieczne jest zwiększenie liczby sióstr. W dalszej części wezwania wyznał, że *On biedny – nie ma już nic, a chce pomagać biednym i opuszczonym, wzywał: Pomóżcie, ile kto może, gdzie wszyscy pomagają to dla jednostek nie jest to tak bardzo trudne. Myślcie o przyszłych pokoleniach*. Kanonik Gaerth gwarantował rzetelne rozliczenie się z zebranych środków finansowych, zapewniał, że uruchomiony szpital zostanie zaliczony do zakładów kościelnych.

Wezwanie wrocławskiego kanonika spotkało się z szerokim odzewem, czego wyrazem były napływające spore sumy od darczyńców na fundusz budowy szpitala w Opolu.

Szpital „dla biednych, niezależnie od wyznania”

23 kwietnia 1851 r. sporządzony został akt założycielski szpitala św. Wojciecha w Opolu. Dokument zawierał 15 paragrafów aktualnych do 1945 r. Kanonik Gaerth przekazał na rzecz szpitala odnowiony budynek poklasztorny dominikanów oraz kapitał w wysokości 1364 talarów, 8 groszy srebrnych i 7 fenigów, z przeznaczeniem na zakup łóżek dla chorych. W paragrafie trzecim zawarł ustalenia obowiązujące *po wsze czasy*, że do szpitala mają być przyjmowani i w nim utrzymywani *biedni chorzy z Opoli i okolic, obojga płci, niezależnie od wyznania*. Rozkazem gabinetowym, wydanym 30 sierpnia 1852 r. w Szczecinie, szpital św. Wojciecha w Opolu otrzymał osobowość prawną (fundacja uzyskała zezwolenie na prowadzenie działalności od krajowego radcy). 1 grudnia 1852 r. biskup wrocławski Melchior von Diepenbrock przyjął tę fundację od Gaertha jako instytucję kościelną, zapewniając, że majątek szpitala będzie pozostawał pod nadzorem książecko-biskupiej kurii we Wrocławiu. 13 grudnia 1852 r. biskup wrocławski przekazał swoje uprawnienia powołanemu przez siebie Kuratorium Szpitala św. Wojciecha w Opolu, w skład którego weszli: Karl Alois Gaerth, kanonik wrocławski, Hermann Gleich, proboszcz Parafii św. Krzyża w Opolu, Franz Jackisch, przewodniczący Rady Kościelnej przy parafii św. Krzyża, dr Johann Heer, radca sanitarny. Pierwszym prezesem Kuratorium został mianowany Gaerth, który kierował remontem i rozbudową opolskiego szpitala, przeznaczając na ten cel wszystkie swoje oszczędności.

Uruchomienie szpitala było dla opolan wielkim wydarzeniem. Z chwilą włączenia szpitala św. Wojciecha w Opolu do szpitalnictwa ogólnokrajowego zarząd nad szpitalem sprawował każdorazowy proboszcz Pa-

rafii św. Krzyża. Tytułowa strona XIX-wiecznego folderu szpitala św. Wojciecha w Opolu zawierała następującą treść: „Szpital św. Wojciecha, zawdzięczający swe imię wielkiemu biskupowi Wojciechowi – temu, który, jak głosi przekaz, przywiódł do Opoli światło wiary świętej, który wygłaszał kazania na naszej górze i w 997 r. umarł śmiercią męczeńską – spogląda na swoje trwanie przez stulecia. We wczesnym średniowieczu był on domem dla synów św. Dominika, szkołą świętości. Święty Herman z Opoli żył i umarł w jego murach w 1245 r. W czasie sekularyzacji przejęty przez władzę państwową służył jej, aż kanonik Gaerth, ówczesny proboszcz opolski, odzyskał go w 1843 r. dla celów charytatywnych. Pracę rozpoczęto z nielicznymi sierotami – a dzisiaj? – następujące zdjęcia ukazują, że Błogosławieństwo Boże spoczywa na tym dziele”.

W czerwcu 1851 r. opiekę nad chorymi rozpoczął dr Johann Heer, radca sanitarny. Personel pomocniczy szpitala stanowiły cztery siostry franciszczanki. Do grudnia 1851 r. przyjęto do szpitala 113 chorych.

1 stycznia 1857 r. Kuratorium Szpitala św. Wojciecha w Opolu sporządziło statut precyzujący prawa i obowiązki zarówno zarządu, jak i chorych, względem szpitala. Statut określał warunki przyjmowania chorych do lecznicy, możliwości uzyskania w niej nieodpłatnej opieki, zalecenia dla osób odwiedzających chorych, jak również obowiązki siostry pełniącej funkcję przełożonej pielęgniarek. Pierwszą przełożoną została w styczniu 1852 r. siostra Franziska Richter z domu macierzystego St. Mauritz koło Münster. Po jej odwołaniu, z powodu choroby, przełożoną została Margarethe Bergmann (w 1852 r.). Trzy siostry franciszczanki: Hedwig Schöfeld z Raciborza, Alexia Salzburg z Opoli, Luzina Fiebig, zatrudnione w szpitalu, zmarły w młodym wieku.

W 1860 r. w szpitalu pracowało osiem sióstr pielęgniarek i dwie zakonne aspirantki. W lecznicy znajdowało się pięć fundowanych łóżek, a majątek zakładu wynosił 13 tys. 832 talary, 2 grosze i 8 fenigów oraz nieruchomości: oprócz podarowanego w 1852 r. przez kanonika Gaertha gruntu, 30 października 1858 r. zakupiono dom nr 57 z ogrodem pod wałem, usytuowany w kierunku Wilhelmsplatz, w którym do 1893 r. umieszczani byli nieuleczalnie chorzy. 11 czerwca 1861 r. zakupiono ogród znajdujący się za kaplicą św. Wojciecha. Tak rozległy grunt stanowił doskonałą działkę budowlaną, która umożliwiła dobudowę kolejnych skrzydeł do istniejącego już gmachu szpitalnego.

W krótkim czasie okazało się, że nowo powstała placówka opieki leczniczej pełni ważną rolę w mieście. Mieszkańcy Opola i okolicznych miejscowości, korzystający z jej usług medycznych, wspierali ją finansowo. Jak wynika z treści kolejnego (siódmego) rocznego sprawozdania z działalności szpitala, od stycznia do końca grudnia 1860 r. leczono w szpitalu św. Wojciecha w Opolu 571 chorych, przyjętych bez względu na wyznanie (szpital był placówką katolicką). W tym czasie szpitalem kierowali dr Johann Glasser, lekarz sztabowy oraz Josef Rabetge. W 1861 r. liczba pacjentów wzrosła do 651, nadto lekarze szpitalni udzielili 203 porad domowych.

Śledząc początki opolskiego kompleksu szpitalnego św. Wojciecha, nie sposób nie wyeksponować ogromnych zasług proboszcza Parafii św. Krzyża w Opolu, a następnie kanonika wrocławskiego Karla Aloisa Gaertha dla rozwoju systemu lecznictwa w Opolu. Jego konsekwentne, pełne determinacji zaangażowanie w stworzenie szpitala św. Wojciecha w Opolu zaowocowało uruchomieniem sprawnie funkcjonującej placówki leczniczej na potrzeby mieszkańców Opola i okolic. Dzięki jego perspektywicznemu podejściu i planom możliwa stała się rozbudowa i modernizacja kompleksu szpitalnego w Opolu, dostosowanego do potrzeb zdrowotnych społeczeństwa górnośląskiego i wyzwań stawianych przez dokonujący się postęp medycyny.

Proboszcz Gaerth pracował w Opolu przez dekadę. Jego działalność duszpasterską ocenia się w sposób niejednoznaczny. Prałat Stefan Baldy stwierdził, że proboszcz nie potrafił nawiązać współpracy z parafianami mówiącymi po polsku, gdyż nie władał tym językiem. Mieczysław Pater uznał, że ksiądz Gaerth opowiadał się za upowszechnieniem języka niemieckiego wśród polskiej ludności. Badacze niemieccy uważają, że nadzwyczajny stosunek księdza Gaertha do parafian, dobroć i obowiązkowość zjednały mu uznanie. Wysoko cenił go dr Franz Lorinser (1821–1893), teolog katolicki, syn znanego na Górnym Śląsku radcy rejencyjnego i sanitarnego Carla Ignatiusa, który napisał o Gaercie, że *był kapłanem wyróżniającym się wielką dobrocią i nadzwyczajnym poczuciem obowiązkowości. Dla ubogich i potrzebujących*

pomocy był dobrotliwym ojcem. Jego gościnność była ogólnie znana. Żaden ksiądz naszej diecezji nie używał tak wielu konfratrom przytułku, jak ten przyjazny ludziom człowiek. Fryderyk Teodor von Merckel, nadprezydent prowincji śląskiej we Wrocławiu, ocenił Gaertha jako człowieka zdolnego, wykształconego i lojalnego wobec władz państwowych.

3

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

93

str.

II 5

BARBARA STANKIEWICZ

12 TOMÓW NIEKOŃCZĄCEJ SIĘ HISTORII

Spotkanie z prof. Stanisławem S. Nicieją



Na zdjęciu (od lewej): Bogusław Szybkowski, prof. Stanisław S. Nicieja, dyrektor WBP w Opolu Tadeusz Chrobak, który podarował bohaterowi spotkania pamiątkowy plakat

12 tomów niekończącej się historii – Kresowa Atlantyda. Taki tytuł nosiło spotkanie z prof. dr. hab. Stanisławem S. Nicieją w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu, które odbyło się 9 stycznia br., a któremu towarzyszyła wystawa zdjęć i plakatów ze spotkań autorskich profesora (24 stycznia profesor Nicieja oprowadzał chętnych po tej wystawie).

Czytelnia biblioteki była wypełniona po brzegi – ci, dla których zabrakło miejsca, oglądali spotkanie na monitorze. Tadeusz Chrobak: – Zawsze martwię się o frekwencję, ale tym razem nie miałem takich obaw. I cieszyłem

się, że po powodzi w bibliotece zostały wzmocnione stropy...

Profesorowi Nicieji towarzyszyła żona Halina, bez której pracy – co podkreślił autor – wydanie 12 tomów *Kresowej Atlantydy* nie byłoby możliwe, oraz Bogusław Szybkowski, właściciel Wydawnictwa MS, wydawca serii. Serii, która miała początkowo liczyć najwyżej pięć–sześć tomów.

Prof. Stanisław S. Nicieja: – Myślałem, że w tylu tomach zawrę historię 200 miast, które Polska straciła po wojnie. W pierwszym, poświęconym dużym miastom, o Lwowie napisałem raptem 40 stron. W 12. tomie, tylko o Zbarażu,



czyli o wsi, a później miasteczku, jest sto stron... Bo stała się rzecz nieprzewidywalna: zasypała mnie lawina korespondencji i ludzkich historii, często bardzo osobistych, wyciągniętych ze wspomnień i domowych archiwów. I to trwa do dziś – nie mogę przestać, nie mogę odpocząć, bo nacisk czytelników jest ogromny. Zaskakująca jest też recepcja tych książek, o czym przekonuję się na spotkaniach autorskich organizowanych w całej Polsce. Jest to dla mnie wielka satysfakcja, mimo zmęczenia czuję wtedy, że ta moja praca ma sens. I że muszę się spieszyć, żeby zdążyć, zanim odejdą ci ostatni, co pamiętają. Bo spojrzmy – ileż Lwowa ubyło wraz ze śmiercią Jerzego Janickiego, który o tym mieście wiedział wszystko...

Profesor przyznał, że nie lubi określenia *Kresy*: – To była przecież Polska, tyle że w innych granicach! Jestem historykiem, a trudno dziś być nim w Polsce, bo różni nadzorczy polityczni, którzy ciągle występują pod innymi znakami, każą pisać tak, jak oni uważają. Dziś można wymyślić komuś biografię, można postawić mu pomnik i nie

weryfikować tego. Kiedyś nie wolno było śpiewać pieśni *My, pierwsza brygada*, dziś odwagi wymaga zaśpiewanie *Oki* (red.: piosenka powstała w lipcu 1943 r. w obozie 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach nad Oką). Kiedyś ważny był gen. Zygmunt Berling, dziś – tylko gen. Władysław Anders. W kolejnym, 13. tomie, piszę właśnie o generale Berlingu – i mam z tym ogromny kłopot... Chcę pokazać, że obaj, i Anders, i Berling, byli ważni, że to był czas, kiedy trzeba było grać na dwóch fortepianach, że gdyby nie działania Berlinga i Wandy Wasilewskiej, te nasze granice wyglądałyby zupełnie inaczej.

W 11. tomie swojego cyklu profesor skupia się na stolicy Polesia – Pińsku i okolicznych wsiach umiejscowionych w międzyrzeczu Prypeci, Piny i Horynia. Opisuje nieistniejące pałace i dwory, które niegdyś należały do dobrze znanych polskich rodów: Wystouchów (Perkowicze), Skirmuntów (Mołodów i Porzecze), Steckich (Międzyrzecz Korecki) czy Kieniewiczów (Dereszewicze).



W 12. tomie autor zabiera nas m.in. do Zbaraża, słynnego za sprawą Henryka Sienkiewicza. I tu zapoznamy się z historią słynnych zamków, pałaców i rezydencji kresowych w Podhorcach, Olesku i Koropcu, które były niegdyś własnością wspaniałych rodów magnackich: Koniecpolskich, Rzewuskich, Sanguszków czy Badenich.

Podobnie jak w poprzednich, i w tych tomach *Kresowej Atlantydzie* opowieść profesora Nicieji przetykana jest unikatowymi fotografiami i anegdotami. O Józefie Weyssenhoffie, który przegrał fortunę w pokera – a grał, pewien zwycięstwa, ze stryjczym bratem cara, Borysem, mając na ręku cztery króle (Borys, okazało się, miał cztery asy!), co zaowocowało nie tylko upadkiem finansowym, ale i rozwodem. Po czym napisał poczytną i bardzo dochodową powieść *Soból i panna*. O Luizie Boyd, amerykańskiej miliarderce, która zakochała się w Polesiu, a cykl jej zdjęć z tej krainy, prezentowany na wystawie

na Manhattanie, przyciągnął tłumy Amerykanów, co zapoczątkowało modę na Polesie. O mszach odprawianych w Stanisławowie – za pokój duszy Wołodyjowskiego, o proteście mieszkańców Zbaraża wobec planów budowy na placu, gdzie miał, według nich, się znajdować grób sienkiewiczowski Longina Podbipięty...

Autor przywołuje także wiele postaci związanych z tymi stronami – Ryszarda Kapuścińskiego, Lwa Rywina, Aleksandra Małachowskiego, Józefa Światło, Romana Sanguszki... Opowiada o ich losach, przypominając zapomniane lub przemilczane fakty z ich życia, okrasza te opowieści wydarzeniami z historii, malując tym samym szeroką, barwną panoramę tych dawnych, polskich miast i miasteczek.

Fot. Jerzy Stemplewski

BIBLIOTEKA PO REMONCIE



Nowoczesna Biblioteka Nauk Ścisłych, Przyrodniczych i Medycznych, która mieści się na drugim piętrze uniwersyteckiego budynku przy ul. Oleskiej 48 została oddana do użytku po gruntownym remoncie. Przestronna czytelnia wraz z wypożyczalnią zostały wyposażone w sprzęt multimedialny i komputerowy, a estetyczne i wielofunkcyjne meble ułatwią zorganizowanie zajęć dydaktycznych, warsztatów oraz konferencji.

MARCELI KOSMAN

MIĘDZY WROCŁAWEM I OPOLEM



Aleksander Gwagnin, *Kronika o państwie ruskim. Kronika o ziemi tatarskiej*. Wydał i posłowiem zaopatrzył Janusz Byliński. Wydawnictwo eBooki. com. pl, Wrocław 2018

Pod koniec 2018 r. badacze i miłośnicy doby staropolskiej otrzymali w darze pod choinkę pięknie wydane, w twardej oprawie, ze starannie dobranymi 24 ilustracjami źródło z drugiej połowy XVI wieku, obszerne dzieło¹, którego publikacja w swoim czasie wywołała żywą dyskusję związaną z osobą jego autora. O tym za chwilę, najpierw bowiem wypadnie wspomnieć o ważnym fragmencie

z dziejów dorobku historiografii w *Almae Matris Opolensis* i jej związkach z wrocławskim ośrodkiem naukowym, a mianowicie o edytorstwie źródłowym.

Duch Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie oraz Stefana Batorego w Wilnie² patronował od 1945 r. we Wrocławiu historiografii polskiej, która zgromadziła szereg wybitnych w przyszłości postaci. Wśród nich szczególne miejsce zajął Władysław Czapliński (1905–1981), habilitowany na krótko przed wybuchem II wojny światowej na podstawie pracy *Władysław IV w czasie wojny trzydziestoletniej w latach 1637–1945*, którego seminarium wykształciło wielu znakomitych badaczy czasów przedrozbiorowych, zapisanych na trwale w dziejach akademickich obu blisko ze sobą związanych ośrodków nad Odrą. Wielu z nich, zafascynowanych osobą Mistrza, nie chciało poprzestać na magisterium, zwłaszcza kiedy najbardziej obiecującym wskazał on tematy dalszych prac, dotyczących głównie XVII wieku. *Profesor, na prośbę uczestników seminarium, kontynuował je do roku 1972 jako seminarium naukowe, które pozwalało nam opanować tajniki sztuki edytorskiej i interpretacji źródeł* – wspomina po latach w liście do autora tej prezentacji jego najnowsze dzieło Janusz Byliński, który doktorat uzyskał w maju 1966 r. na podstawie rozprawy o sejmie 1611 roku.

W Opolu dzieło swego wrocławskiego Mistrza przejął i twórczo rozwijał Jan Serejka, który dzięki swym twórczym i charakterologicznym predyspozycjom potrafił wykształcić znakomity zespół badaczy kultury staropolskiej, do którego należeli m.in. miejscem zamieszkania związani z Wrocławiem profesorowie Józef Długosz³ i Jan Byliński, obaj habilitowani na opolskiej *Alma Mater*. Obaj przez długie lata łączyli pracę badawczą z kierowaniem wielkimi księżnicami naukowymi uczelni w tym mieście,

² Uniwersytet znad Wilii kultywował z pasją Seweryn Wyslouch, który odegrał ważną rolę przy odbudowie i przebudowie uczelni wrocławskiej, której był prorektorem.

³ *Sądcezanin z Piwnicznej*, ur. 1928, habilitowany w 1989 r. w Opolu, był m. in. dyrektorem Biblioteki Głównej WSP, docentem, a następnie profesorem Uniwersytetu Opolskiego. Zob. M. Kosman, „Profesor Józef Długosz. Historyk Sądceczyn, Polski i Europy”, „Rocznik Sąddecki”, t. 44, Nowy Sącz 2016, s. 7–32.

¹ Aleksander Gwagnin, „Kronika o państwie ruskim. Kronika o ziemi tatarskiej”. Wydał i posłowiem zaopatrzył Janusz Byliński. Wydawnictwo eBooki. com. pl, Wrocław 2018, s. 312.

a główny warsztat naukowy dla nich stanowiły przebogate zasoby Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Tam też doskonalili swe umiejętności edytorskie, w toku wieloletniej współpracy. W obu wypadkach studia w stolicy Dolnego Śląska poprzedzała po maturze praca zawodowa, która pozwoliła zdobyć środki na utrzymanie się na uniwersytecie.

Przyszły wydawca dzieła Aleksandra Gwagnina, urodzony na Kujawach Wschodnich (dawny zabór rosyjski), pracę zawodową podjął już po ukończeniu szkoły podstawowej, kiedy pierwsze szlify zdobywał w zawodzie... geodety w referacie pomiarowym starostwa powiatowego we Włocławku, następnie zatrudniony był w Gdańsku i Poznaniu (Przedsiębiorstwo Fotogrametrii i Kartografii), by wreszcie w 1954 r. zamieszkać we Wrocławiu i przez sześć lat zajmować stanowisko technika – geodety w Przedsiębiorstwie Geodezyjnym Gospodarki Komunalnej „Zachód”. Po roku zdał maturę w trybie eksternistycznym i natychmiast rozpoczął studia w Instytucie Filozoficzno-Historycznym tamtejszego uniwersytetu, poprzedzone pomyślnym zdaniem egzaminu wstępnego.

Rozpoczął się wówczas nowy etap w jego zawodowym życiu, który oznaczał przebranzowienie 30-letniego geodety w znakomitego historyka, dziś legitymującego się bogatym dorobkiem, w którym dominują 24 książki i kilkadziesiąt artykułów naukowych, w tym 24 solidnie udokumentowane życiorysy w renomowanym *Polskim słowniku biograficznym*. Te publikacje to owoc kilkudziesięcioletniej pracy – Jan Byliński zatrudniony był na stanowisku kierownika biblioteki Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego (wcześniej wykonywał prace z zakresu pedagogiki i... futurologii dla Komitetu Polska 2000 PAN oraz Instytutu Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego). Etat naukowy uzyskał jako profesor na pięć lat przed osiągnięciem wieku emerytalnego.

Taka była droga niejednego luminarza, historyka polskiego, w drugiej połowie XX wieku.

Janusz Byliński dał się poznać jako badacz parlamentaryzmu doby Wazów, opublikowaną w 1984 r. monografią *Dwa sejmy z roku 1613* oraz szeregiem wydawnictw źródłowych, przygotowanych do druku wspólnie z Józefem Długoszem oraz z Włodzimierzem Kaczorowskim. Wieńczy ją – jak dotychczas – edycja obszernych fragmentów większego dzieła, składająca się z dwóch części: *Kronika Wielkiego Xięstwa Moskiewskiego* (s. 23–196)

oraz *Kronika o Ziemi Tatarskiej* (s. 197–272). Poprzedza ją przedruk dedykacji całości dzieła opublikowanego w Krakowie (1611 r.): *Kronika Sarmacyey Europskiej, w której się zamyka krolestwo Polskie ze wszystkimi Państwami, Xięstwami i y Prowincjami swymi, tudzież też Wiekie Xięstwo Lithew(skie), Ruskie, Pruskie, Zmudzkie, Inflantskie, Moskiewskie y część Tatarów*.

Edycję zamykają *Posłowie* pióra Janusza Bylińskiego (s. 273–290), bibliografia oraz indeksy: osobowy i topograficzny. Wydawca przejrzysto (unikając sensacji, których jednak dostarcza materiał źródłowy, związany z *curriculum vitae* osiadłego w monarchii Jagiellonów włoskiego wojownika, a przy tym dziejopisa) ukazuje biografię Gwagnina (przy tym *niefortunnego przemysłowca*), a następnie recepcję *Sarmacji* w dobie staropolskiej, by całość zakończyć notą edytorską.

Dzieło profesora Janusza Bylińskiego stanowi trwałą wkład w jego dorobek historyka, związanego z nazwiskami dwóch wielkich twórców zespołów: Władysława Czaplińskiego i kontynuatora jego dokonań – Jana Serejki.



Na zdjęciu, od lewej: prof. Małgorzata Świder, Paweł Nowak z II LO w Opolu, prof. Anna Pobóg-Lenartowicz, Dariusz Gołębiowski

ZWYCIĘŻYLI W WOJEWÓDZTWIE, WALCZĄ O FINAŁ

Olimpiada historyczna uczniów szkół średnich

W dniach 12–25 stycznia br. odbyły się eliminacje okręgowe XLV olimpiady historycznej dla uczniów szkół średnich – obok olimpiady z języka polskiego najstarszej organizowanej w Polsce olimpiady.

Od początku jej organizatorami są: Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz Polskie Towarzystwo Historyczne. W tym roku współorganizatorami byli: Instytut Historii Uniwersytetu Opolskiego oraz Archiwum Państwowe w Opolu.

Do etapu okręgowego (obejmującego województwo opolskie) zakwalifikowanych zostało 53 uczniów, po eliminacjach pisemnych zostało ich 25.

W tym roku w ramach pracy pisemnej należało przedstawić: przemiany w Cesarstwie Rzymskim od Dioklecjana po Konstantyna Wielkiego, spór papieża z cesarstwem w średniowieczu, drogę do mocarstwowości Rosji, Austrii i Prus w XVIII w., procesy niepodległościowe i zjednoczeniowe od 1815 r. do 1914 r. oraz ład wersalski.

Recenzentami i ekspertami tegorocznej olimpiady byli pracownicy Uniwersytetu Opolskiego: **prof. Anna Pobóg-Lenartowicz** (przewodnicząca Komitetu Okręgowego), **dr hab. Małgorzata Świder**, prof. UO, **dr hab. Magdalena Ujma**, **prof. UO**, **dr hab. Andrzej Szczepaniak**, **dr Adriana Dawid**, **dr Mariusz Patelski**, **dr Antoni**



Ekspertami tegorocznej olimpiady byli, na zdjęciu od lewej: dr Adriana Dawid, dr Mariusz Patelski, prof. Anna Pobóg-Lenartowicz

Maziarz oraz **dr hab. Monika Ożóg**, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego. Sekretarzem olimpiady był doktorant Uniwersytetu Opolskiego – **mgr Dariusz Gołębiowski**.

Ostatecznie laureatami tegorocznej olimpiady okręgowej zostało dziesięcioro uczniów. Pierwszych trzech ma już zapewniony udział w eliminacjach centralnych. Są to: **Paweł Nowak** z II LO w Opolu, **Mateusz Adamczyk** z I LO w Namysłowie oraz **Filip Derda** z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Kluczborku.

Wszystkim laureatom i ich nauczycielom serdecznie gratulujemy!

(ap)



Dr Andrzej Koziara, dyrektor Biblioteki Głównej Politechniki Śląskiej, w trakcie prelekcji

BARBARA KMIECIK, EWELINA PISAREK

OD REGAŁÓW DO SIECI

IV Forum Bibliotekarzy Województwa Opolskiego

Forum Bibliotekarzy Województwa Opolskiego to cykliczne spotkania opolskiego środowiska bibliotekarskiego (bibliotekarzy oraz nauczycieli-bibliotekarzy), organizowane co dwa lata przez poszczególne księżnice naszego regionu. Organizatorem tegorocznego, czwartego spotkania tego cyklu była, 5 grudnia ub. roku, Biblioteka Główna Uniwersytetu Opolskiego, która podjęła uczestników konferencji w Studenckim Centrum Kultury w Opolu, miejscu dobrze zlokalizowanym, o nowoczesnej i przyjaznej przestrzeni. Podczas spotkania znakomici prelegenci: **prof. dr hab. Ewa Ferenc-Szydełko**, **dr Andrzej Koziara** i **Kamil Śliwowski** zaprezentowali słuchaczom ciekawe i najbardziej aktualne zagadnienia prawa autorskiego, zgodnie z tematem: *Prawo autorskie i prawa pokrewne – jak uniknąć naruszeń w edukacji i udostępnianiu zbiorów przez biblioteki*. Opiekę merytoryczną

nad spotkaniem sprawowała prof. dr hab. Ewa Ferenc-Szydełko, wykładowca Wydziału Prawa i Administracji UO, zaś moderatorem była st. kustosz dyplomowana **Danuta Szewczyk-Kłos**, dyrektor Biblioteki Głównej UO.

Zainteresowanie tematem przerosło oczekiwania organizatorów, bowiem na spotkanie przybyło ponad 70 osób reprezentujących różnego typu biblioteki Opola i regionu opolskiego. Gościliśmy bibliotekarzy i pracowników informacji: Biblioteki Głównej Politechniki Opolskiej, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. E. Smolki w Opolu, Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jana Pawła II w Opolu, Biblioteki Państwowej Medycznej Wyższej Szkoły Zawodowej w Opolu, Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej Regionalnego Zespołu Placówek Wsparcia Edukacji w Opolu wraz z przedstawicielami filii w Nysie i Kluczborku. Przybyli również bibliotekarze bibliotek

gminnych, miejskich oraz szkolnych, m.in. z Dobrzonia Wielkiego, Kędzierzyna-Koźla, Krapkowic, Praszki, Prudnika, Strzelec Opolskich, Zawadzkiego, Zdzieszowic, co dowodzi regionalnego zasięgu spotkania.

Wszystkich uczestników i gości powitała Danuta Szewczyk-Kłos, dyrektor Biblioteki Głównej UO, natomiast uroczystego otwarcia konferencji dokonał **prof. dr hab. Janusz Słodczyk**, prorektor ds. nauki i finansów Uniwersytetu Opolskiego.

Pierwszą sesję rozpoczął **Kamil Śliwowski** z Warszawy, pasjonat tematyki zasobów otwartych, działający w polskim Creative Commons, Fundacji Nowoczesna Polska, Centrum Cyfrowym i Fundacji Panoptykon. Zapropował wszystkim uczestnikom bardzo ciekawą i nowoczesną formę aktywnego uczestnictwa – wykorzystując własne telefony, smartfony, zebrani logowali się pod wskazany adres i odpowiadali na pytania zawarte w miniankietach *on-line*, stanowiących element prowadzonej prelekcji. Przedstawiane na bieżąco w „chmurze” wyniki sondaży angażowały uczestników do dalszego współuczestnictwa i śledzenia wystąpienia pt. *Wolne licencje Creative Commons (i nie tylko) od strony praktycznej. Jak korzystać z otwartych treści i jak je publikować?*

Kamil Śliwowski, prezentując liczne przykłady publikowania treści w wolnym dostępie, wyjaśniał ikonografię licencyjną oraz szczegółowe zastosowania symboliki w prawie autorskim i prawach pokrewnych. Szczególną uwagę zwrócił na powielane mity licencyjne Creative Commons. Pierwszy z nich to przekonanie, że materiałów dostępnych w sieci można w dowolny sposób używać, co jest oczywistą nieprawdą. W myśl drugiego mitu udostępnienie w sieci pociąga za sobą konsekwencje utraty praw autorskich, utraty wynagrodzenia i zwiększa ryzyko plagiatu. Według wskazań prelegenta odpowiednie zastosowanie ograniczeń licencyjnych pomaga udostępnić treści na takich prawach, jakie w istocie autor chce zachować. Uczciwość w podawaniu źródła autorstwa treści czy obrazów pobieranych z Internetu zazwyczaj zwiększa zaufanie do publikowania własnych treści oraz doprecyzowuje zasady dostępności. Prelegent podawał również konkretne wskazówki dotyczące wolnych od obostrzeń licencyjnych stron graficznych oraz propozycje aplikacji automatycznie dodającej podpisy pobieranych w wolnym dostępie treści. Biegłe przedstawienie tematu w obszarze stosowania i wykorzystania zasad licencyjnych oraz niestandardowa prezentacja spotkania pozwoliły nam pojąć nową wiedzę, poznać nowe,

obowiązujące trendy w interesującej nas dziedzinie oraz w formie warsztatu przećwiczyć zdalny i bezpośredni, interakcyjny sposób kontaktu widowni z prelegentem.

Wykład prof. dr hab. Ewy Ferenc-Szydełko *Ustawa Prawo autorskie a funkcjonowanie bibliotek* obejmował zagadnienia dozwolonego użytku publicznego, dozwolonego użytku edukacyjnego, dzieł osieroconych i stosowania cytatu. Prawoznawca zwróciła uwagę, że płaszczyzną rozważań w dyskusji prawnej nad rozluźnieniem lub zaostrzeniem praw autorskich jest relacja ochrony interesów twórcy do interesu społecznego. Wzrastająca świadomość prawa autorskiego, zarówno majątkowego, jak i osobistego, twórców powoduje przesuwanie zaostrzeń prawnych na korzyść autorów. Podstawowym zagadnieniem jest rozgraniczenie dozwolonego użytku prywatnego oraz publicznego. Od przeznaczenia pobieranych treści zależy, czy korzystanie będzie prawnie bezpłatne i czy utwór może być udostępniony, rozpowszechniony, gdy prawo nie ogranicza dostępu do niego.

Prelegentka zaznaczyła, że biblioteki wchodzą w zakres udostępniania w zakresie dozwolonego użytku publicznego, zatem obowiązują je daleko posunięta ostrożność w udostępnianiu treści, zwłaszcza *on-line*. Pomimo dobrych intencji (dostarczanie i rozpowszechnianie informacji czy utworów) należy w wielu przypadkach poprzestać na końcówkach terminali wewnątrzbibliotecznych, aby nie wejść w obszar łamania prawa, a więc i ponoszenia ewentualnych konsekwencji. Wspomnianej bowiem świadomości twórców towarzyszy rosnąca roszczeniowość prawna, coraz częściej zasadna.

Prof. Ewa Ferenc-Szydełko udzieliła zgromadzonym bibliotekarzom szczegółowych odpowiedzi na wiele kwestii budzących ich wątpliwości. Wskazała prawne rozwiązania dotyczące: audiobooków (to też wyrażenie treści słowem! – mówionym), wykonywania kopii utworów w przypadku dzieł cennych czy niezbędnych w procesie dydaktycznym, użytku projektów autorskich zleconych przez instytucję w ramach jej działalności. Mówczynie podjęła także kwestię dzieł tzw. osieroconych i fotografii oraz różnicowania w tym względzie prawa europejskiego i polskiego, a także rozwoju działalności instytucji dbających o interesy twórców – w postaci rekompensat finansowych Copyright Polska oraz Kopipol. Tematyka została zaprezentowana w sposób praktyczny i zrozumiały dla osób, które nie mają na co dzień styczności ze słownictwem prawniczym.

Pomiędzy sesjami zaplanowana była przerwa kawowa, w czasie której bibliotekarze mogli wymieniać spostrzeżenia dotyczące wysłuchanych referatów, podzielić się doświadczeniami zawodowymi. Był to czas na integrację opolskiego środowiska bibliotekarskiego, ludzi podejmujących systematycznie nowe wyzwania w ramach ewoluującego charakteru wykonywanego zawodu, a także zmieniającej się rzeczywistości technologicznej i społecznej.

Referat kończący obrady wygłoszony został przez **dr. Andrzeja Koziarę**, dyrektora Biblioteki Głównej Politechniki Śląskiej. Już we wstępie swego wystąpienia pt. *Ochrona baz danych i danych osobowych w bibliotekach, aspekty prawne i organizacyjne* prelegent zaznaczył, że wkraczamy w okres wzmożonego rozwoju i zmian prawa unijnego w powiązaniu z prawodawstwem polskim. Dr Andrzej Koziara wskazał słuchaczom najważniejsze skutki dla bibliotek polskich wynikające z implementacji dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2014/26/UE z 26 lutego 2014 r. w sprawie zbiorowego zarządzania prawami autorskimi i prawami pokrewnymi oraz udzielania licencji wieloterytorialnych dotyczących praw do utworów muzycznych do korzystania *on-line* na rynku wewnętrznym. Prelegent przedstawił słuchaczom najważniejsze cele dyrektywy, które miały wejść w życie już 10 kwietnia 2016 roku. Druga część wygłoszonego wykładu dotyczyła zarządzania ryzykiem w obszarze bezpieczeństwa informacji, ze szczególnym uwzględnieniem wymogów *Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady Unii Europejskiej dotyczącego ochrony danych osobowych, zarządzania ryzykiem w obszarze bezpieczeństwa informacji w świetle norm ISO 9001:2015 oraz 27001:2014* i ustawą z 10 maja 2018 r. o ochronie danych osobowych. Prelegent, doświadczony praktyk w zakresie przepisów prawnych, wykazywał nieprecyzyjność i sprzeczność poszczególnych dyrektyw związanych z ochroną praw osobowych. Precyzyjne przepisy RODO dotyczą także bibliotek, które są dysponentem informacji wrażliwych, bowiem przetwarzają informacje w związku z obsługą czytelników, realizowanymi kwerendami, zamówieniami bibliotecznymi itp. Analizę porównawczą dr Andrzej Koziara zakończył wnioskiem, że to dbałość o precyzję we wszystkich zapisach gwarantuje zachowanie faktycznej intencji prawodawcy, a nie mnożenie absurdów.

Problematyka poruszana w wystąpieniach jest niewątpliwie aktualna dla bibliotekarzy, szczególnie w dobie organizacji dostępu i upowszechniania informacji *on-line*, korzystania z wielu aplikacji mobilnych, usług sieciowych, funkcjonowania bibliotek cyfrowych, repozytoriów, ale też różnorodnych działań promocyjnych, które należy w myśl przepisów prowadzić w sposób roztropny i zgodny z prawem.

Biblioteka Główna Uniwersytetu Opolskiego składa serdeczne podziękowania panu **Zbigniewowi Szarejce**, przedstawicielowi firmy H+H Software GmbH w Goettingen, za udzielone wsparcie finansowe przy realizacji IV Forum Bibliotekarzy Województwa Opolskiego.



Berndowi Schuchterowi (z lewej) towarzyszył tłumacz jego powieści dr Krzysztof Huszcza (fot. Małgorzata Jokiel)

MAŁGORZATA JOKIEL, MONIKA WÓJCIK-BEDNARZ

BERND SCHUCHTER NA UNIWERSYTECIE OPOLSKIM W poszukiwaniu małej ojczyzny

Poszukiwanie małej ojczyzny i tożsamości narodowej stanowią główne motywy twórczości austriackiego pisarza, **Bernda Schuchtera**, który 29 listopada 2018 r. gościł w Instytucie Filologii Germańskiej UO. Najnowsza powieść Schuchtera (*Föhntage*) opowiada o poszukiwaniu wspólnego języka przez niemieckojęzycznych Tyrolczyków oraz Włochów – z perspektywy odmiennie interpretowanych wydarzeń historycznych ostatniego stulecia. Dwie nacje i dwa pokolenia podejmują próbę rozrachunku z przemilczaną przeszłością. Ma im w tym pomóc ocieplający atmosferę wiatr od gór (niem. *Föhn* czyli *fen*), co w tekście zasygnalizowano refleksją: *Już czas rozwiać tę mgłę, nadciąga fen. Od dzisiaj duje wiatr od gór.*

Wiatr od gór to pierwsza w Polsce powieść poświęcona skomplikowanej problematyce Tyrolu Południowego. Tłumaczenia na język polski powstałego w 2014 r. pod niemieckim tytułem *Föhntage* dzieła podjął się wrocławski germanista i tłumacz, **dr Krzysztof Huszcza**, który wydał ją w 2018 r. we wrocławskim wydawnictwie Atut. Obecny podczas spotkania tłumacz nie tylko zaprezentował wspólnie z autorem fragmenty powieści, ale także podzielił się swoimi doświadczeniami nad pracami translatorskimi.



Podczas spotkania w Instytucie Filologii Germańskiej UO (fot. Małgorzata Jokiel)

Pisarz, eseista, krytyk literacki i wydawca, Bernd Schuchter, urodził się w 1977 r. w Innsbrucku i z miastem tym jest do dziś mocno związany. To tam studiował germanistykę, historię i filozofię, a w 2005 r. założył wydawnictwo Limbus, którym zarządza do dzisiaj. Schuchter wydał wiele powieści, opowiadań, szkiców literackich oraz subiektywne przewodniki po Innsbrucku i Tyrolu, w tym w serii wydawnictwa Piper – *Instrukcję obsługi Tyrolu*.

Spotkanie w Bibliotece Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Opolskiego odbyło się z inicjatywy Biblioteki Austriackiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu dzięki wsparciu Austriackiego Forum Kultury w Warszawie.



 JERZY DUDA

MAGICZNE, WILEŃSKIE PALMY

Nadejście wiosny na ziemi wileńskiej tradycyjnie, od wielu lat, zwiastują pojawiające się na okolicznościowych targach i kiermaszach sławne wileńskie palmy. Temu swoistemu zjawisku kulturowemu, tak mocno wrosłemu w krajobraz Wilna i regionu wileńskiego poświęcony został piękny, skrzący się wieloma kolorami album *Palmy Wileńszczyzny*.

We wstępie do albumu mer Samorządu Rejonu Wileńskiego Maria Rekst napisała: *Bogactwem regionu są oddani swej ziemi ludzie, utalentowani, patrzący w przyszłość, ale i kontynuujący tradycje, rzemiosła. Do takich należy sztuka wicia palm. Nazywane palmami wileńskimi, związane są nierozdzielnie z wiosną, z Niedzielą Palmową rozpoczynającą okres Wielkanocy. Zygmunt Gloger tak opisał obrzędy Kwietnej Niedzieli w Warszawie: na pamiątkę wjazdu do Jerozolimy Zbawiciela, któremu dzieci zachodziły drogę, rzucając kwiaty, radośnie śpiewając,*

panięta polskie, synowie rodzin senatorskich, w białe szaty ubrani, przynosili królowi palmy!

Sztuka artystycznego wicia palm, jako sakralnego symbolu, będącego formą wyrazu ludowej pobożności, rozwinęła się okolicach Wilna dopiero w połowie XIX wieku. Najważniejszą ich częścią były witki wierzbowe oznaczające żywotność, budzenie się życia. Liczba witek odpowiadać powinna liczbie członków rodziny. Dołączano do nich gałązki wieczne zielonego jałowca – tym sposobem tworzone wiązki z wystającymi wierzbinami, przewiązaną czerwoną wstążką. Między gałązki jałowca wplataną mirt, czasami wawrzynek wilcze łyko, widłak i osokę, a całość zdobiona była kwiatami i papierowymi kokardkami, nanizanymi na dłuższe witki.

¹ Zygmunt Gloger, „Encyklopedia staropolska”, t. 3, Warszawa 1986, s. 128.



Kompozycja palm i pisanek

Z biegiem czasu wicie palm stawało się sztuką. Wielka w tym zasługa Ferdynanda Ruszczyca (1870–1936), znakomitego malarza, rysownika, założyciela Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Wskazał on palmiarcom sposoby wicia suchych kwiatów, ich farbowania, splatania, nadawania palmom wałeczkowych kształtów (tzw. ruszcycówki), tworzenia ornamentyki charakterystycznej dla wileńskiego tkactwa ludowego. Kształty nadawane palmom podlegały ciągłej ewolucji. I tak, na wałeczkowych, zwykle dwu- lub trzypalmerowych znajdziemy jeden z kobiercowych ornamentów. Znane są także palmy wianuszkowe, pętelkowe, różeczkowe z leszczynowym trzonkiem, przyozdabiane drobnymi bukietkami. Wyróżniają się one wyszukаныmi kształtami, spotyka się *korony*, *słoneczniki*, *rumianki* i *ananasy* w mocnych, wyrazistych barwach.

W Poniedziałek Wielkanocny palma służyła do święcenia pól, ale używano jej do praktyk magicznych przez cały rok. Fragmenty palmy palono i dymem okadzano pomieszczenia, np. przed przybyciem księdza do chorego albo po wywiezieniu zmarłego z domu. Dużą rolę wyznaczało palmom podczas wypasów bydła: uderzenie palmą każdego zwierzęcia miało uchronić stado przed wilkami, ukąszeniem żmii, a także przed chorobami i *złymi oczami*. Podczas magicznych obrzędów wypowiadano różne formułki – każda wieś, każda parafia, miała swoje tradycyjne zaklęcia. Były także życzenia w rodzaju: *Zdrowiu – w głąb, niedomaganiom – marsz stąd*. Kościół był przeciwny tej magii, ale lud wiedział swoje i hołdował znanej mu od wielu lat tradycji.

W Niedzielę Palmową, po powrocie z kościoła, palmę wkładano do ozdobnej wazy. Kiedy z biegiem czasu palma usychała, pochodzące z niej gałązki jałowca

kładzono przy obrazach świętych, fragmenty palmy przypinano też do kilimu wiszącego nad łóżem – żeby zapewnić sobie spokojny sen i zdrowie.

Po pierwszym wiosennym gromie palmę wtykano pod krokiew, na strychu, by chroniła od piorunów całe domostwo. Po roku, kiedy nadchodził czas wicia nowych palm, starą, która utraciła moc sakralną i magiczną spalało, a popiół z niej służył do popielcowego obrzędu.

Ta palmowa tradycja ma związek ze zwyczajem, który praktykowano podczas wiosennego siewu zbóż: w rogach łąny wtykano w ziemię cztery patyki wierzbowe, co miało chronić zboże przed gradem (środkowy patyk miało chronić zasiew przed gawronami, łąsami na kielki wschodzącego zboża). Magiczne właściwości miała mieć także czerwona wstążka (nić) palmy – przy pracach wymagających stałego pochylania się przewiązywano nią talię, nicią z palmy obwiązywano także chorą nogę zwierzęcia.

Zapewne z myślą o wileńskich palmach pisał w *Kwiatkach polskich* Julian Tuwim:

*Bukiety wiejskie, jak wiadomo
Wiązane były wżwyz i stromo.
W barwach podobne do ołtarza,
Kształt serca miały lub wachlarza.*

W odróżnieniu od wiązanek kwiatów ciętych radujących oczy, dopóki nie zwiędną, palmy w swej krasie trwają przez lata, bo są z wysuszonych kwiatów. Gromadzenie tworzywa do wicia palm rozpoczyna się rok wcześniej, latem – ludowe artystki bacznie pilnują terminów kwitnienia poszczególnych roślin. A kiedy zbiorą naręcza tymotki, dziurawca, kocanek, kupcówki, wrotczyca, wiesiołka, zawciągu dziewięcisiła, wiekuiutki i innego ziela (w liczbie około 150 gatunków), niezwłocznie przystępują do suszenia tych roślin. Związane w małe snopki w zacienionym, przewiewnym pomieszczeniu zawieszają się kwiatostanem skierowanym do dołu – w podobny sposób suszy się kłosa żyta, pszenicy, owsa. Starannie dobierane są też leszczynowe patyki, które służą za rdzenie palm.

Jesienią zaczyna się farbowanie roślin zebranych latem, a w długie zimowe wieczory kobiety siadają do wicia palm. Każda palmiarka ma swoje tajemnice, dzięki czemu powstają palmy o różnorodnych formach, kształtach i wzorach. Szczególnego nakładu pracy i wielkiej zręczności wymaga budowanie palm wałeczkowych.

Ta tradycja jest przekazywana z pokolenia na pokolenie w wielce rozbudowanych drzewach genealogicznych, układających się w palmiarskie dynastie. Twórczym osiągnięciem ostatnich lat jest tradycyjna palma, w którą wkomponowana jest wielkanocna, bajecznie kolorowa pisanaka.

Sztuka wicia palm rozwinęła się szczególnie w najbliższym otoczeniu Wilna, w wioskach o pięknie brzmiących nazwach: Płocieniszki, Szmygły, Krawczuny, Wojewodiszki, Nowosiołki, Ciechanowiszki, Przepoły, Łapowiczki. Wileńskie palmy stały się prawdziwym symbolem sztuki Wileńszczyzny. Najbardziej znane twórczynie wyróżniane są przez Ministerstwo Kultury Litwy zaszczytnym tytułem *twórców artystycznych*. Jedną z nich, Teresa Michałkiewicz, wykonała palmę z kwiatów o barwach narodowych Litwy, palmę tę prezydent Litwy Dalia Grybauskaitė wręczyła papieżowi Franciszkowi podczas oficjalnej wizyty w Watykanie. Podwileńska palma docierała do Watykanu także w latach, kiedy w Stolicy Piotrowej zasiadał nasz wielki rodak, papież Jan Paweł II.

Niebawem wileńskie palmy będą miały swoje muzeum. Rozlokuje się ono w Mazuryszkach, w odrestaurowanym dworcu będącym ongiś własnością pułkownika Jerzego Dąbrowskiego. W jego wnętrzach, obok najpiękniejszych palm, znajdują się także portrety najznakomitszych *twórczyń artystycznych*, m.in. Agaty Granickiej, Łucji Dudojć, Jadwigi Kunickiej, Danuty Kuryło.

Wspaniałe album *Palmy Wileńszczyzny* autorstwa Henryka Mażula i Wojciecha Piotrowicza, z pięknymi zdjęciami Sławomira Subotowicza i Leona Szalkowskiego, zredagowany przez Józefa Szostakowskiego, jest wielkim hołdem złożonym wielkiej sztuce ludowej ziemi wileńskiej i jej wielkim artystkom. Tekst podany jest w trzech językach: polskim, litewskim i angielskim. Dobrze byłoby, gdyby ten niezwykły album trafił na półki bibliotek tych wszystkich, dla których Wilno i Wileńszczyzna są wartością największą, świętą.

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



**PIĄTKOWSKA DANUTA,
PIĄTKOWSKA-STEPANIAK WIEŚŁAWA,**
Na antenie polonijnego radia Rytm w Nowym Jorku, Studia i Monografie nr 566, ISBN 978-83-7395-817-3. Opole: Wyd. UO, 2018, format B5, 340 s., CD, oprawa miękka
cena 33,60 zł

To książka o Polakach rozmowach przez osiem lat niesionych falami nowojorskiego Radia Rytm. Rozmowy, wywiady, wspomnienia, opinie dziś spisane na papierze tworzą wielobarwną mozaikę składającą się na obraz Polonii z globalnego megalopolis. Rozgłoszenia nadająca audycje od 2002 do 2010 r. była ważną instytucją służącą integracji środowisk polskich imigrantów. Przed jej mikrofonami relacje z niełatwego, a czasami tragicznego losu emigrantów przeplatały się z pokrzepiającymi doniesieniami o polskim *succes story* w Nowym Jorku. Dodajmy, że te ostatnie dotyczyły także udanych przedsięwzięć służących integracji środowisk polonijnych.

Tak było – to cykl wyróżniających się audycji Radia Rytm. Pojawiały się tam wybitne osobowości, nietuzinkowe postaci, ludzie niezwykli i zasłużeni: księża, zakonnicy, dziennikarze, profesorowie nowojorskich uczelni, nauczyciele szkół polonijnych i szkoły konsularnej, prezesi i dyrektorzy polonijnych firm lub organizacji, naukowcy z Polski zajmujący się problematyką polonijną.

Program ten, prowadzony przez dr hab. Danutę Piątkowską i red. Renatę Krasoń-Cap, gromadził licznych wiernych słuchaczy, którzy w sondażu przeprowadzonym w 2004 r. przyznali mu najwyższe oceny.

Tom, który oddajemy do rąk czytelnika, zawiera niewielką część z kilkuset zarejestrowanych audycji cyklu *Tak było*. Pozawala on jednak odczuć i zrozumieć na przykładzie indywidualnego losu, czym jest syndrom emigranta lub przekonać się o sprawności, energii i pomysłowości organizacji polonijnych w wielkim mieście. Głosy z nie tak odległej przeszłości, utrwalone na taśmach i spisane w książce, przypominają o nieprzeciętnych postaciach, których działalność zostawiła głębokie, lecz czasami niezauważane ślady. To część historii Polonii nowojorskiej warta ocalenia.



ŻUKIEWICZ ARKADIUSZ,
Helena Radlińska w walce o Polskę (1914–1918), Studia i Monografie nr 567, ISBN 978-83-7395-819-7. Opole: Wyd. UO, 2019, format B5, 208 s., oprawa miękka, **cena 19,95 zł**

Monografia Helena Radlińska w walce o Polskę (1914–1918) jest wynikiem realizacji projektu badawczego, którego przedmiotem była służba żołnierska tytułowej bohaterki, pełniona w szeregach najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Helena Radlińska zawiesiła w 1914 r. pracę naukową na Uniwersytecie Jagiellońskim, by aktywnie włączyć się w ruch niepodległościowy Polaków.

Zrealizowany projekt badawczy wpisał się w obszar historii pracy społecznej i oświatowej. Jest to trzeci filar polskiej pedagogiki społecznej, której twórczynią była Helena Radlińska. Jako absolwentka studiów historycznych autorka ta skonstruowała metodę historyczną dla badań społeczno-pedagogicznych. Prezentowana książka jest efektem zastosowania owej metody w badaniu naukowym, którego głównym celem było poznanie zaangażowania Heleny Radlińskiej w walkę o wolność Polski podczas I wojny światowej. Dotarcie do źródeł i dokumentów umożliwiło nakreślenie portretu bohaterki na tle jej działalności w zastępach obozu niepodległościowego. Zgromadzony

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

materiał empiryczny odsłania fakty z życia i służby państwowej oraz społeczno-oświatowej Heleny Radlińskiej w latach 1914–1918. Wpisujący się w teoretyczne ramy aktywizacji sił ludzkich oraz zmiany społecznej obraz jej aktywności narodowowyzwoleńczej uzupełnia analiza źródeł i dokumentów. Towarzysząca temu rekonstrukcja autobiograficznych wspomnień prof. H. Radlińskiej (w liście z czasu pierwszej wojny) jest swoistym podsumowaniem. Analiza porównawcza zachowanego rękopisu *Listu czwartego*, jego maszynopisu oraz dokumentu dopuszczonego do druku w 1964 r., umożliwiła prezentację aktów działania cenzury politycznej obecnej w życiu publicznym, w tym naukowym, okresu PRL (zamieszczony w aneksie książki *List czwarty*, odtworzony na podstawie rękopisu, stanowi integralny element monografii). Jest to wynik badania naukowego, które ujawniło skalę ingerencji czynników cenzorskich w treść autorskiej wypowiedzi Heleny Radlińskiej, spisanej pod koniec jej życia. W pośmiertnym wydaniu materiału autobiograficznego wykreślono niemal wszystkie fragmenty, z których czytelnik dowiedziałby się o niepodległościowej współpracy autorki *Listu czwartego* z komendantem Józefem Piłsudskim. O zakłamywaniu patriotycznej działalności Heleny Radlińskiej świadczą również wypowiedzi jej współpracowników i uczniów, przywołane w niniejszej monografii. Książka oddaje prawdę o umiłowaniu wolności, służby i ojczyzny, którym Helena Radlińska kierowała

się w działalności naukowej, społecznej oraz oświatowej, a która wprowadziła ją w szeregi obozu niepodległościowego. Dla czytelników poszukujących prawdy o przeszłości książka ta będzie okazją do spotkania z bohaterką polskiej niepodległości. Odnajdą w niej obraz kobiety zaangażowanej w służbę żołnierską, która nie zważała na ryzyko z tą służbą związane. Dziś zdaje się być zapomnianym symbolem bezimiennego poświęcenia i trudu wnoszonego w walkę o Polskę, która po latach zaborów wróciła na mapy świata. Helenę Radlińską można bez wątpienia zaliczyć w poczet matek polskiej niepodległości. Służność powyższego potwierdza niniejsza monografia, której adresatami są nie tylko pedagodzy społeczni, ale również działacze społeczno-oświatowi, wychowawcy, nauczyciele, historycy oraz wszyscy ci, którzy na doświadczeniach przeszłości pragną budować przyszłość w teraźniejszości.

Ponadto ukazały się:

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne” t. XVI/1/[3], Kaczorowski Włodzimierz (red. nauk.), ISSN 1731–8297, Opole: Wyd. UO, 2018, format B5, 200 s., oprawa miękka, cena 16,80 zł
„Studia et Documenta Slavica” nr 1–2 (5–6), Czaplirńska Joanna (red. nauk.), ISSN 2544–5634, Opole: Wyd. UO, 2018, format A5, 182 s., oprawa miękka, cena 15,75 zł

Zapowiedzi:

Czapnik Sławomir, *Mówią jak jest. Marksści objaśniają świat*

Kaczorowski Włodzimierz (red. nauk.), „Opolskie Studia Administracyjno-Prawne” nr XVI/1/[4]

Kaczorowski Włodzimierz (red. nauk.), „Opolskie Studia Administracyjno-Prawne” nr XVI/4/[1]

Sadowski Piotr, *Szkola prawa w rzymskim i bizantyjskim Bejrucie. Studium prawno-historyczne*

Szafrańek Edyta, *Terytorializacja polityki rozwoju. Istota, problemy badania i realizacja*
Słodczyk Janusz (red. nauk.), „Studia Miejskie” t. 31

Przygotowała: **Lidia Działowska**

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



MATEJA ERWIN,
„*Liturgia Sacra*”, czasopismo, nr 2/52, Opole
2018, 300 s., **cena 22,05 zł**

Półrocznik Instytutu Liturgii, Muzyki i Sztuki Sakralnej Wydziału Teologicznego UO.



MORCINIEC PIOTR (red.),
„*Family Forum. Starzenie się i starość*”
(czasopismo, nr 8), Opole, 2018, 250 s.,
cena 26,88 zł

Prezentowana książka jest czasopismem Instytutu Nauk o Rodzinie Wydziału Teologicznego UO. Tematyka „Family Forum” dotyczy zagadnień szeroko pojętej problematyki rodziny.



MATEJA ERWIN (red.),
„*Diakon*”, czasopismo, nr 14–15/2017–2018,
Opole, 2018, 124 s., **cena 23,62 zł**

Niniejsze czasopismo poświęcone jest promocji diakonatu stałego w Polsce. Numery 1–6 (2003–2006) były redagowane przez Marka Marczewskiego (prof. KUL) i wydawane przez Wydawnictwo Polihymnia w Lublinie.

REDAKCJA WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



PORADA RAJMUND (red.),
„*Studia Oecumenica*”, (czasopismo, nr 18),
Opole 2018, 431 s., **cena 38,43 zł**

W niniejszym czasopiśmie publikowane są artykuły dotyczące ruchu ekumenicznego, dialogów międzywyznaniowych oraz doktryny różnych wyznań chrześcijańskich.



JASKÓŁA PIOTR,
„*Bóg rzekł i stało się. Zarys protologii*”,
(seria: Opolska Biblioteka Teologiczna, nr 164),
Opole 2018, 155 s., **cena 16,27 zł**

Niniejsza książka bazuje na zmienionych i rozszerzonych wcześniejszych wydaniach autora: *Elementy protologii* (Opole 1998), *Stwórcze dzieło Boga* (Opole 2002) i *Zarys protologii* (Opole 2010).



JASKÓŁA PIOTR,
„*UT SINT UNUM, Wprowadzenie do ekumenizmu*” (seria:
Podręczniki i skrypty, nr 15), Opole 2018, 212 s.,
cena 19,95 zł

Prezentowany materiał został przygotowany z myślą o studiujących teologię, katechetach i katechetach oraz wszystkich zainteresowanych teologią ekumeniczną. Jest to już wydanie czwarte, częściowo zmienione i rozszerzone.

NOTY O AUTORACH

Marcelina Chrobot – studentka II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Opolskim.

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957), zwycięzca krajowego Konkursu Popularyzator Nauki (2017), w kategorii Animator. Wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP i WSI w Opolu, Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków; redaktor „Mojej Fizyki” – internetowego magazynu dla nauczycieli.

Harry Duda – poeta, pisarz, publicysta, absolwent polonistyki w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Od 1977 r. członek Związku Literatów Polskich (przez dwie kadencje prezes opolskiego oddziału).

Jerzy Duda – emerytowany nauczyciel, b. kurator oświaty i wychowania w Opolu, autor wielu publikacji dotyczących historii oświaty w woj. opolskim.

Dr hab. Grzegorz Gajos – absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, adiunkt w Pracowni Projektowania Graficznego i Pracowni Fotografii Wydziału Sztuki UO. Zajmuje się fotografią, projektowaniem graficznym, grafiką, wideo oraz eksperymentalnym zapisem dźwięku.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Dr Małgorzata Jokiel – adiunkt w Instytucie Filologii Germańskiej UO.

Prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski – pracownik Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Jego badania naukowe dotyczą głównie dziejów powszechnych i Polski XV–XIX wieku, zwłaszcza parlamentaryzmu, wymiaru biologicznego w badaniach historyczno-prawnych oraz biografistyki.

Agnieszka Kania – opolska lekarka dentystka. Od sześciu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum”. Zdobyła dwukrotnie (w roku 2012 i 2013) pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie literackim im. profesora Andrzeja Szczeklika *Przychodzi wena do lekarza*, a w 2016 – pierwszą nagrodę w konkursie poetycko-prozatorskim *Puls słowa*. Wydała tom szkiców i felietonów *Zapatrzenia* (Opole 2011) oraz opowiadań *Którędy do buszu?* (2018).

Barbara Kmiecik – pracownik Biblioteki Wydziału Teologicznego UO.

Sylwester Koral – fotoreporter, przez wiele lat związany z opolskim oddziałem „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

Prof. dr hab. Marcei Kosman – historyk (dzieje kultury polskiej nowożytnej, kultura polityczna), pracownik naukowy Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor kilkudziesięciu książek, m.in. *Na tropach bohaterów „Krzyżaków”*; *Na tropach bohaterów „Quo vadis”*; *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci*, *Dějiny Polska*.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Dr Stanisław Ludwik Krowicki – historyk, dziennikarz i pedagog; były nauczyciel i wieloletni pracownik wojskowości (najdłużej w pionie redakcyjno-wydawniczym); współpracownik „Myśli Polskiej”, „Naszej Polski” i „Gazety Szkolnej”; autor kilku książek i ponad 600 artykułów o tematyce historycznej i pedagogicznej.

Beata Łabutin – wieloletnia dziennikarka opolskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

NOTY O AUTORACH

Konrad Müller – student II roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Opolskim.

Prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786–1986*; *Cmentarz Obrońców Lwowa*; *Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza*; *Łyczaków – dzielnica za Styksem*; *Tam gdzie lwowskie śpią Orłęta*; *Cmentarz Łyczakowski w fotografii*; *Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie*; *Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław*; *Lwowskie Orłęta. Czyn i legenda*; cyklu *Kresowa Atlantyda*.

Filip Ożarowski – realizator filmów i materiałów promocyjnych, pracownik Biura Promocji i Informacji UO; współpracuje ze Studencką Telewizją SETA.

Ewelina Pisarek – pracownik Biblioteki Głównej UO.

Dr Krzysztof Spalek – adiunkt w Samodzielnej Katedrze Biosystematyki Uniwersytetu Opolskiego. Współredagował pierwszą w Polsce regionalną *Czerwoną księgą roślin województwa opolskiego*. Jako pierwszy odkrył stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie. Zainteresowania naukowe: fitosocjologia i geobotanika, ze szczególnym uwzględnieniem zbiorowisk roślin wodnych.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: *Przywracanie pamięci*, 1993, 1997; *Głowy opolskie*, 1999, 2008; *O „nijaczeniu” języka*, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Monika Wójcik-Bednarz – kierownik Biblioteki Austriackiej w Opolu, doktorantka na Wydziale Filologicznym UO.

IMPRESSUM

Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 550 egz.)

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Grzegorz Gajos, Sylwester Koral, Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parce

Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos

Druk: Drukarnia KOLUMB, Katowice / Siemianowice Śląskie

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówek, przypisów itp.,

a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania.

uni
www.
uni.opole.pl